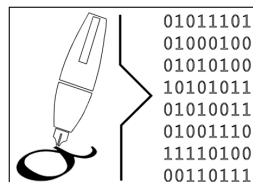


TERRY PRATCHETT

CZARODZICIELSTWO

piąta książka z cyklu „Świat Dysku”

Przełożył: Piotr W. Cholewa



Tytuł oryginału:

Sourcery

Data wydania polskiego: 1993 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1989 r.

Wiele lat temu zobaczyłem w Bath bardzo potężną amerykańską damę z ogromną walizką w szkocką kratę. Ciągnęła ją szybko na małych, stukających głośno kółeczkach, które wpadały w szczeliny bruku i ogólnie przydawały walizce życia. Wtedy właśnie narodził się Bagaż. Niniejszym dziękuję tej damie i wszystkim innym w takich miejscach jak Power Cable, Nebraska, którym należy się trochę zachęty.

Ta książka nie zawiera mapy. Czytelnik może się nie krępować i narysować własną.

Żył sobie raz pewien człowiek, który miał ośmiu synów. Poza tym był za ledwie przecinkiem na stronie Historii. To smutne, ale o niektórych nie można powiedzieć nic więcej.

Ale jego ósmy syn dorósł, ożenił się i też miał ośmiu synów, a że jest tylko jedna profesja odpowiednia dla ósmego syna ósmego syna, jego ósmy syn został magiem. Był mądry i potężny, no... w każdym razie potężny, nosił szpiczasty kapelusz i na tym by się to skończyło...

Powinno się skończyć...

Ale wbrew Sztuce Magicznej i wbrew nakazom rozsądku — a za nakazami serca, które są ciepłe, nieokreślone i... no... nierozsądne — uciekł z komnat magii, zakochał się i ożenił, niekoniecznie w tej kolejności.

I miał siedmiu synów, a każdy od kołyski był potężny jak mag.

A potem urodził się ósmy syn...

Mag do kwadratu. Rodzic magii.

Czarodzieciel.

* * *

Letni grom przetoczył się po piaszczystych wydmach. Daleko w dole fale zasywały kamienie tak hałaśliwie, jak staruszek z jednym zębem, który dostał lizaka. Kilka mew wisiało w prądach wznoszących czekając, aż coś się zdarzy.

Ojciec magów siedział wśród kęp morskiej trawy na krawędzi urwiska, trzymał dziecko na rękach i spoglądał w morze.

Przetaczała się tam czarna chmura. Sunęła ku lądowi, a blask, który spychała przed sobą, miał gęstość syropu, jak często się zdarza przed naprawdę wielką burzą.

Nagła cisza za plecami sprawiła, że ojciec magów odwrócił się i zaczerwienionymi od łez oczami spojrzął na wysoką postać w czarnej szacie z kapturem.

IPSLORE RUDY? zapytał przybysz. Głos był głuchy jak jaskinia, ciężki jak gwiazda neutronowa.

Ipslore uśmiechnął się strasznym uśmiechem człowieka nagle obłąkanego. Podniósł dziecko, pokazując je Śmierci.

— Mój syn — oznajmił. — Nazwę go Coin.

IMIĘ NIE GORSZE OD INNYCH, stwierdził uprzejmie Śmierć.

Puste oczodoły wpatrywały się w małą okrągłą buzię otuloną snem. Wbrew plotkom Śmierć nie jest okrutny; jest po prostu perfekcyjny, straszliwie perfekcyjny w swej pracy.

— Zabrałeś jego matkę — rzekł Ipslore.

Było to obojętne stwierdzenie, na pozór bez gniewu. W dolinie za klifami dom Ipslore'a zmienił się w wypaloną ruinę; wzmagający się wiatr roznosił już po wydmach delikatny popiół.

TAK NAPRAWDĘ TO ZMARŁA NA ATAK SERCA, wyjaśnił Śmierć. SA GORSZE SPOSOBY UMIERANIA. MOŻESZ MI WIERZYĆ.

Ipslore spojrzął w morze.

— Cała moja magia nie zdołała jej ocalić.

ISTNIEJĄ MIEJSCA, GDZIE NIE DOCIERA NAWET MAGIA.

— A teraz przyszedłeś po dziecko?

NIE. TO DZIECKO MA SWOJE PRZEZNACZENIE. PRZYBYŁEM PO CIEBIE.

— Aha. . .

Mag wstał, ostrożnie ułożył śpiące niemowlę na rzadkiej trawie i podniósł leżącą tam długą laskę. Wykonano ją z czarnego metalu, a siatka srebrnych i złotych rzeźbień nadawała jej wygląd bogaty, złowieszczy i niegustowny. Metalem tym był oktiron, immanentnie magiczny.

— To ja ją zrobiłem, wiesz? Wszyscy powtarzali, że nie można zrobić laski z metalu, że musi być z drewna. Ale mylili się. Włożyłem w nią sporo z siebie. Dam mu ją.

Z uczuciem przesunął dłońmi po lasce, a ta zabrzęczała cicho.

TO DOBRA LASKA, pochwalił Śmierć.

Ipslore podniósł ją przed sobą i zerknął na swego ósmego syna, który gaworzył coś przez sen.

— Chciała mieć córkę...

Śmierć wzruszył ramionami. Ipslore obrzucił go wzrokiem pełnym zdumienia i wściekłości.

— Wiesz, kim on jest?

ÓSMYM SYNEM ÓSMEGO SYNA ÓSMEGO SYNA, odparł Śmierć, niewiele wyjaśniając. Wiatr szarpał jego szatą i przetaczał po niebie czarne chmury.

— A czym go to czyni?

CZARODZICIELEM, JAK DOSKONALE WIESZ.

Jakby na zawołanie zahuczał grom.

— Jakie jest jego przeznaczenie? — zawołał Ipslore, przekrzykując narastającą wicherę.

Śmierć znowu wzruszył ramionami. Potrafił to robić.

CZARODZICIELE SAMI SOBIE KSZTAŁTUJĄ PRZEZNACZENIE. LEKKO TYLKO DOTYKAJĄ ZIEMI.

Ipslore wsparł się na lasce, bębniąc po niej palcami, zagubiony w labiryncie myśli. Uniósł lewą brew.

— Nie — szepnął. — Nie. Ja pokieruję jego przeznaczeniem.

ODRADZAM TAKIE KROKI.

— Nie przeszkadzaj! I słuchaj, kiedy mówię: przepędzili mnie swoimi księgami, swoimi rytuałami i swoją Sztuką! Nazywali siebie magami, a w całych swoich tłustych cielskach mieli mniej magii niż ja w małym palcu! Wypędzili! Mnie! Bo pokazałem, że jestem człowiekiem! A czym byliby ludzie bez miłości?

GINĄCYM GATUNKIEM, odparł Śmierć. MIMO TO...

— Słuchaj! Wygnali nas tutaj, na koniec świata, i to ją zabiło. Próbowali mi odebrać laskę! — Ipslore przekrzykiwał wycie wichury. — Ale została mi jeszcze odrobina mocy — oznajmił. — I powiadam, że syn mój uda się na Niewidoczny Uniwersytet i tam będzie nosił kapelusz nadrektora, a wszyscy magowie świata będą kłaniać się przed nim! Pokaże im, co tkwi w najgłębszych zakamarkach ich serc... Ich tchórzliwych, chciwych serc. Pokaże światu prawdziwe przeznaczenie i nie będzie magii potężniejszej niż jego!

NIE.

Śmierć wymówił to słowo dziwnie spokojnie, a jednak zabrzmiało głośniejsz niż ryk burzy. Ipslore na moment odzyskał zmysły. Niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

— Co? — zdziwił się.

POWIEDZIAŁEM: NIE. NIC NIE JEST OSTATECZNE. NIC NIE JEST ABSOLUTNE. OPRÓCZ MNIE, MA SIĘ ROZUMIEĆ. TAKIE IGRASZKI

Z PRZEZNACZENIEM MOGĄ DOPROWADZIĆ DO ZAGŁADY ŚWIATA. MUSI POZOSTAĆ SZANSA, CHOĆBY NAJMNIEJSZA. PRAWNICY LOSU ŻĄDAJĄ FURTKI W KAŻDYM PROROCTWIE.

Ipslore wpatrywał się w nieprzejednane oblicze Śmierci.

— Muszę im dać szansę?

TAK.

Puk puk puk wybijały palce Ipslore'a na metalu laski.

— Więc dostaną tę swoją szansę — oświadczył. — Kiedy piekło zamarznie.

NIE. NIE JESTEM UPOWAŻNIONY, BY INFORMOWAĆ CIE, NAWET SWOIM MILCZENIEM, O BIEŻĄCYCH TEMPERATURACH NA TAMTYM ŚWIECIE.

— Zatem... — Ipslore zawahał się. — Dostaną swoją szansę, kiedy mój syn odrzuci swoją laskę.

ŻADEN MAG NIE ODRZUCI SWOJEJ LASKI, rzekł Śmierć. ZBYT SILNY JEST ZWIĄZEK.

— Ale musisz przyznać, że to możliwe. Śmierć zastanowił się. „Musisz” nie było słowem, do słuchania którego był przyzwyczajony. Po chwili jednak uznał rację maga.

ZGODA.

— Czy to wystarczająco mała szansa?

DOSTATECZNIE MOLEKULARNA.

Ipslore uspokoił się nieco.

— Niczego nie żałuję — powiedział prawie normalnym głosem. — Zrobiłbym to jeszcze raz. Dzieci to nasza nadzieja na przyszłość.

NIE MA NADZIEI NA PRZYSZŁOŚĆ, oświadczył Śmierć.

— Więc co nas tam czeka?

JA.

— Ale poza tobą?

Śmierć spojrzał na niego ze zdziwieniem.

SŁUCHAM?

Sztorm nad nimi osiągnął szczyt. Jakaś mewa przeleciała obok nich, tyłem.

— Chciałem powiedzieć — wyjaśnił z goryczą Ipslore — że na tym świecie jest chyba coś, dla czego warto żyć.

Śmierć zastanowił się przez chwilę.

KOTY, stwierdził w końcu. KOTY SA MIŁE.

— Przeklinam cię!

JAK WIELU PRZED TOBĄ, odparł Śmierć niewzruszenie.

— Ile czasu mi jeszcze zostało?

Z tajemnych zakamarków swej szaty Śmierć wyjął dużą klepsydrę. Dwie jej części umieszczone były w prętach czarnych i złotych, a prawie cały piasek przesypał się już do dolnej.

HM... JAKIEŚ DZIEWIEĆ SEKUND.

Ipslore wyprostował się na swą wciąż robiącą wrażenie wysokość i wyciągnął do dziecka błyszczącą laskę. Podobna do różowego kraba rączka wysunęła się spod kocyka i chwyciła czarny metal.

— Niech zatem będę pierwszym i ostatnim magiem w historii tego świata, który przekazuje laskę swemu ósmemu synowi — oznajmił powoli, głuchym głosem. — I żądam od niego, by wykorzystał ją...

NA TWOIM MIEJSCU BYM SIĘ POSPIESZYŁ...

— ... w pełni — mówił dalej Ipslore. — I stał się najpotężniejszym...

Błyskawica strzeliła z sykiem z samego serca chmury, trafiła Ipslore'a w czubek kapelusza, trzeszcząc spłynęła po rękę, zajaśniała na lasce i uderzyła dziecko.

Mag zniknął w smudze dymu. Laska rozjarzyła się zielenią, potem bielą, a w końcu zwykłym czerwonym żarem. Dziecko uśmiechnęło się przez sen.

Kiedy ucichł grom, Śmierć pochylił się i ostrożnie podniósł chłopca. Ten otworzył oczy.

Lśniły złościście, od wewnątrz. Po raz pierwszy w tym, co z braku lepszego określenia musimy nazwać życiem, Śmierć napotkał spojrzenie, które trudno mu było wytrzymać. Te oczy zdawały się ogniskować na punkcie położonym kilka cali w głębi jego czaszki.

Nie planowałem czegoś takiego, zabrzmiał z powietrza głos Ipslore. Czy coś mu się stało?

NIE. Śmierć oderwał wzrok od niewinnego, mądrego uśmiechu. PRZYJAŁ W SIEBIE TĘ MOC. JEST CZARODZICIELEM.

BEZ WĄTPIENIA PRZEŻYJE O WIELE GORSZE RZECZY. A TERAZ... TERAZ PÓJDZIESZ ZE MNA.

Nie.

TAK. ROZUMIESZ, JESTEŚ MARTWY. Śmierć rozejrzał się za chwiejnym cieniem Ipslore'a. Nie znalazł go. GDZIE JESTEŚ?

W lasce.

Śmierć oparł się na kosie i westchnął.

NIEMĄDRE. JAKŻE ŁATWO MÓGLBYM CIĘ STAMTĄD WYRWAĆ.

Nie, chyba że zniszczysz laskę, odparł głos Ipslore'a. Śmierci wydało się, że brzmi w nim jakiś nowy, wyraźnie tryumfujący ton. Teraz, kiedy dziecko przyjęło laskę, nie możesz jej zniszczyć, nie niszcząc przy tym i jego. A tego zrobić ci nie wolno, gdyż wtedy zmieniłbyś przeznaczenie. To mój ostatni czar. Mam wrażenie, że dość sprytny.

Śmierć dźgnął laskę palcem. Zatrzeszczała i iskry popęzły obscenicznie wzdłuż niej.

To dziwne, ale właściwie się nie złościł. Gniew to emocja, a do emocji potrzeba gruczołów. Z gruczołami Śmierć właściwie wcale nie miał do czynienia i naprawdę musiał się namęczyć, żeby się porządnie rozgniewać.

Był za to lekko zirytowany.

Z drugiej strony zawsze ciekawie było popatrzeć na ludzkie wysiłki. A to przynajmniej okazało się bardziej oryginalne niż typowa symboliczna gra w szachy, której Śmierć bardzo się obawiał, ponieważ w żaden sposób nie mógł zapamiętać, jak porusza się koń.

ODSUWASZ TYLKO NIEUNIKNIONE, zauważył.

Na tym przecież polega życie.

A WŁAŚCIWIE CO PRÓBUJESZ PRZEZ TO OSIAGNAĆ?

Pozostanę u boku mego syna. Będę go uczył, choć bez jego wiedzy. Wskaże drogę jego zrozumieniu. A kiedy dorośnie, wskaże drogę i jemu.

POWIEDZ, JAK WSKAZYWAŁEŚ DROGĘ SWOIM POZOSTAŁYM SYNONOM?

Przepędziłem ich. Ośmielili się ze mną spierać, nie chcieli słuchać, kiedy ich pouczałem. Ale ten zechce.

CZY TO ROZSĄDNE?

Laska umilkła. Obok niej chłopiec zaśmiał się cicho do głosu, który on jeden mógł słyszeć.

* * *

Nie istnieje metafora dla sposobu, w jaki Wielki A'Tuin, żółw świata, porusza się poprzez galaktyczną noc. Kiedy ktoś ma dziesięć tysięcy mil długości, skorupę poznaną kraterami meteorów i przyprószoną lodem komet, nie może być rozsądnie porównany do nikogo prócz siebie.

Zatem Wielki A'Tuin płynął z wolna przez międzygwiazdną pustkę niczym największy z istniejących żółwi, dźwigając na skorupie cztery ogromne słońce, które z kolei trzymały na grzbietach rozległy, błyszczący, otoczony migotliwą frędzlą wodospadu krąg świata Dysku, który istnieje albo ze względu na jakieś niemożliwe załamane krzywej prawdopodobieństwa, albo dlatego, że bogowie lubią żarty nie mniej niż ludzie.

A nawet bardziej niż większość ludzi.

Nad brzegami Okrągłego Morza, w prastarym i rozległym mieście Ankh-Morpork, na aksamitnej poduszce, na wysokiej półce w Niewidocznym Uniwersytecie, spoczywał kapelusz.

Był to piękny kapelusz. Wspaniały kapelusz.

Był szpiczasty, naturalnie, z szerokim miękkim rondem; kiedy projektant za dbał już o te podstawowe elementy, na poważnie wziął się do roboty. Kapelusz zdobiły złote koronki, perły, wstęgi werminiowego futra i błyszczące ramtopowe

kryształ¹, jak również potwornie niegustowne cekiny i — co wyraźnie zdradzało przeznaczenie nakrycia głowy — pierścień oktaryn.

Ponieważ w tej chwili nie znajdowały się w silnym polu magicznym, nie jaśniały zbyt i przypominały dość poślednie diamenty.

Do Ankh-Morpork przybyła wiosna. Ten fakt nie rzucał się w oczy, jednak dla ludzi oświeconych pewne znaki były oczywiste. Na przykład ścieki na rzece Ankh, wielkim, szerokim i powolnym szlaku wodnym, służącym podwójnemu miastu za rezerwar, kanał i często kostnicę, nabrały koloru szczególnie jaskrawej zieleni. Szalone dachy miasta rozkwitły materacami i poduszkami, gdy mieszkańcy pod bladym słońcem wietrzyli zimową pościel. W głębinach zatęchłych piwnic trzeszczały i drżały belki, gdy wyschłe soki odpowiadały na pradawny zew korzeni. Ptaki wily gniazda w rynnach i pod okapami Niewidocznego Uniwersytetu. Dało się zauważyć, że mimo trudności ze znalezieniem miejsca, nigdy, ale to nigdy nie szukały mieszkania w zachęcająco otwartych paszczach gargulców stojących na krawędziach dachów, ku owych gargulców rozczerowaniu.

Coś w rodzaju wiosny trafiło nawet do samego Niewidocznego Uniwersytetu. Dziś przypadała wigilia Pomniejszych Bóstw i wybór nowego nadrektora.

Właściwie nawet nie wybór, ponieważ magowie nie mieli przekonania do tej niezbyt poważnej procedury głosowania. Zresztą doskonale wiadomo, że nadrektora wskazuje wola bogów, a w tym roku można było spokojnie założyć, że bogowie bez zbędnych wątpliwości zawyrokują, iż najlepszym kandydatem jest stary Virrid Wayzygoose, porządny chłop, od lat cierpliwie czekający na swoją kolej.

Nadrektor Niewidocznego Uniwersytetu był oficjalnym przywódcą wszystkich magów na Dysku. Dawno temu oznaczało to, że jest najpotężniejszy i najsprawniejszy w czarodziejskich działaniach. Obecnie jednak, w spokojniejszych czasach, starsi magowie spoglądali na czary jako coś, co jest nieco poniżej ich godności. Preferowali administrację, o wiele bezpieczniejszą, a dającą niemal taką samą przyjemność, plus dodatkowo obfite kolacje.

I tak płynęło to senne popołudnie. Kapelusz leżał na swojej wyblakłej poduszce w komnatach Wayzygoose'a, zaś sam mag siedział w balii przed kominkiem i mydlił brodę. Inni magowie drzemali w pracowniach albo spacerowali niespiesznie po ogrodach, by wypracować sobie odpowiedni apetyt na wieczorny bankiet; mniej więcej dwanaście kroków uznawano zwykle za wystarczający wysiłek.

W Głównym Holu, pod rzeźbionymi lub malowanymi spojrzzeniami wcześniejszych nadrektorów, służba ustawiała długie stoły i ławy. W wysoko sklepionym labiryncie kuchni... cóż, tu wyobraźnia nie potrzebuje chyba pomocy. Powinna przedstawić mnóstwo tłuszczu, gorąca i krzyków, beczki kawioru, pieczone na rożnach woły, sznury kielbas rozwieszane od ściany do ściany jak pa-

¹ Szczególny rodzaj kryształów górskich, występujących w Ramtopach. Jeśli chodzi o błyszczące obiekty, magowie charakteryzują się gustem i opanowaniem obłąkanej sroki.

pierowe łańcuchy, a także samego naczelnego kucharza, który w jednej z chłodni kończył model Uniwersytetu, z jakiegoś tajemniczego powodu wyrzeźbiony w całości z masła. Robił to na każdy bankiet: maślane łąbędzie, maślane budynki, całą jełczejącą maślaną menażerię... Tak bardzo to lubił, że nikt nie miał serca, by kazać mu przestać.

W osobnym labiryncie piwnic podczaszy wędrował między beczkami, nalewał i kosztował.

Atmosfera wyczekiwania sięgnęła nawet kruków zamieszkujących Wieżę Sztuk, wysoką na osiemset stóp i będącą podobno najstarszą budowlą na świecie. Wśród jej pokruszonych kamieni, wysoko ponad dachami miasta, rosły miniaturowe lasy. W górze ewoluowały liczne gatunki żuków i drobnych ssaków, a że — ze względu na niepokojącą tendencję wieży do kołysania się w podmuchach wiatru — ludzie ostatnio rzadko się tu wspinali, kruki miały ją całą dla siebie. Teraz fruwały dookoła w stanie wyraźnego podniecenia, niczym komary przed burzą. Jeśli ktokolwiek na dole zamierzał zwrócić na to uwagę, postąpiłby ze wszechmiar słusznie.

Coś strasznego zdarzy się tu wkrótce.

Odgadliście to chyba, prawda?

* * *

Nie wy jedni.

— Co w nie wstąpiło? — wrzasnął Rincewind, przekrzykując hałas.

Oprawny w skórę zbiór zaklęć wystrzelił z półki i szarpnięty łańcuchem zatrzymał się w powietrzu. Bibliotekarz uchylił się, skoczył, przekoziółkował i wyładował na egzemplarzu „*Discouverie Demonologie de Maleficio*”, wytrwale tłukącym o pulpit.

— Uuk — powiedział.

Rincewind podparł ramieniem rozdygotany regał i kolanem wcisnął na miejsce szeleszczące woluminy. Gwar panował straszliwy.

Księgi magiczne mają coś w rodzaju własnego życia. Niektóre nawet zbyt wiele; na przykład pierwsze wydanie „*Necrotelicomiconu*” trzeba trzymać między żelaznymi płytami, „*Prawdziwa Sztuka Lewitacyi*” spędziła ostatnie sto pięćdziesiąt lat między krokwiemi dachu, a „*Compendyum Magji Seksu Ge Fordge'a*” tkwi w kadzi z lodem, w osobnym pomieszczeniu, zaś surowa reguła stwierdza, że dzieło to mogą czytać jedynie magowie po osiemdziesiątce, w miarę możliwości martwi.

Jednak nawet całkiem zwykłe grimoire'y i inkunabuły z większości półek były niespokojne i nerwowe, jak mieszkańcy kurnika słyszający, że coś paskudnego grzebie pod drzwiami. Spod ich zamkniętych okładek dobiegało przytłumione drapanie, jakby szponów.

— Co mówiłeś? — ryknął Rincewind.

— Uuk!²

— Właśnie!

Rincewind, jako honorowy młodszy bibliotekarz, opanował zaledwie podstawy indeksowania i przynoszenia bananów. Teraz nie mógł nie podziwiać zręczności, z jaką bibliotekarz przesuwiał się wśród regałów, tu gładząc czarną dłonią drżącą okładkę, tam kilkoma małpimi mruknięciami pocieszenia uspokajając przerażony tezaurus. Po chwili Biblioteka zaczęła przycichać i Rincewind poczuł, że rozluźniają mu się mięśnie karku.

Spokój jednak pełen był napięcia. Tu i tam zaszeleściła stronica. Z dalszych półek dobiegł złowroźny trzask grzbietu. Po niedawnej panice Biblioteka pozostała czujna i niespokojna, jak kot o długim ogonie w fabryce foteli na biegunach.

Bibliotekarz pomaszerował z powrotem. Miał twarz, którą mogłaby pokochać jedynie opona ciężarówki, w dodatku na zawsze zastygł na niej lekki uśmiezek. Ale po sposobie, w jaki orangutan wsunął się do swego kąta pod biurkiem i ukrył głowę pod dywanem, Rincewind poznał, że jest głęboko zatroskany.

Przyjrzyjmy się Rincewindowi, który rozgląda się po nerwowych półkach. Na Dysku istnieje osiem poziomów magii; po szesnastu latach studiów Rincewindowi nie udało się osiągnąć nawet pierwszego. Niektórzy z jego nauczycieli rozważali teorię, że nie osiągnął poziomu zero, na którym rodzi się większość zwykłych ludzi. Inaczej mówiąc, sugerowano, że kiedy Rincewind umrze, średnia zdolności okultystycznych rasy ludzkiej podniesie się odrobinę.

Jest wysoki i chudy, ma splątana brodę, wyglądającą jak broda noszona przez człowieka, którego natura nie stworzyła na nosiciela brody. Ubrany jest w ciemnoczerwoną szatę, pamiętającą lepsze dni, może nawet lepsze dziesięciolecia. Jednak od razu można poznać, że jest magiem, ponieważ na głowie ma szpiczasty kapelusz z miękkim rondem. Na kapeluszu błyszczy słowo „Magus” wyhaftowane wielkimi srebrnymi literami przez kogoś, kto w robótkach ręcznych jest jeszcze słabszy niż w ortografii. Na czubku tkwi gwiazda. Większość cekinów odpadła.

Wcisnąwszy mocno kapelusz, Rincewind przestąpił starożytne drzwi Biblioteki i wyszedł na złocisty blask popołudnia. Spokój i ciszę zakłócało tylko krakanie kruków wokół Wieży Sztuk.

Rincewind przyglądał im się przez chwilę. Uniwersyteckie kruki to twarde

²Jak już sugerowano. Biblioteka nie jest miejscem pracy dla zwykłego specjalisty od stempli i Uniwersalnej Klasyfikacji Dziesiątej. Jakiś czas temu magiczny wypadek zmienił bibliotekarza w orangutana. Od tamtej pory opierał się wszelkim próbom przemiany powrotnej. Polubił wygodne, długie ramiona, chwytne stopy i prawo publicznego czochrania się. Najbardziej jednak podobało mu się, że wszystkie wielkie problemy egzystencji ustąpiły nagle przed zainteresowaniem, z której strony nadejdzie kolejny banan. Oczywiście, zdawał sobie sprawę ze szlachetności i tragizmu stanu człowieczego. Po prostu — jeśli chodzi o jego opinię — ludzie mogli się nimi wypchać.

ptaszyska. Niełatwo wyprowadzić je z równowagi.

Chociaż z drugiej strony...

...niebo było jasnoblękitne, z odcieniem złota. Kilka strzępków puszystych chmur lśniło różowo w zachodzącym słońcu. Stare kasztany na dziedzińcu stały obsypane kwiatami. Przez otwarte okno słysząc było, jak student magii gra na skrzypcach, dość fatalnie. Trudno byłoby nazwać tę scenę złowieszczą.

Rincewind oparł się o rozgrzany słońcem mur. I wrzasnął.

Budynek dygotał. Rincewind czuł, jak wibracje przenoszą się na jego dłoń i biegną wzdłuż ramienia w dokładnie takiej częstotliwości, która sugeruje nieopanowane przerażenie. Same kamienie trzęsły się ze strachu.

Ze zgrozą spojrział w dół, skąd dobiegały ciche skrobania. Ozdobna pokrywa kanału ściekowego odpadła na bok, a z otworu wystawił wąsiki jeden z uniwersyteckich szczurów. Obrzucił Rincewinda zdesperowanym spojrzeniem, wyskoczył na zewnątrz i ruszył biegiem, a za nim dziesiątki jego pobratymców. Niektóre nosiły ubrania, ale nie było w tym nic dziwnego: wysoki poziom tła magicznego na Uniwersytecie wyczyniał dziwne rzeczy z genami.

Rozglądając się, Rincewind dostrzegł inne strumienie szarych ciał, każdą rynną opuszczające budynek i płynące ku zewnętrznym murom. Bluszcz przy jego uchu zaszeleścił nagle i kolejna grupa szczurów wykonała serię brawurowych przeskoków na jego ramiona, by zsunąć się po szacie w dół. Poza tym nie zwracały na niego uwagi, ale akurat w tym nie było nic dziwnego. Większość istot ignorowała Rincewinda.

Odwrócił się i pognął na Uniwersytet; szata powiewała mu wokół kolan. Zatrzymał się dopiero przed gabinetem kwestora. Uderzył pięściami o drzwi, które uchyliły się ze zgrzytem.

— Tak? Ach, to... hm... Rincewind, prawda? — zapytał kwestor bez szczególnego entuzjazmu. — O co chodzi?

— Toniemy!

Kwestor przyglądał mu się przez chwilę. Nazywał się Spelter. Wysoki i chudy, wyglądał, jakby w swoich poprzednich wcieleniach był koniem i z trudem uniknął tego w obecnym. Zawsze sprawiał na ludziach wrażenie, jakby patrzył na nich zębami.

— Toniemy?

— Tak. Wszystkie szczury uciekają!

Kwestor rzucił mu kolejne spojrzenie.

— Wejdz, Rincewindzie — rzekł w końcu uprzejmie. Rincewind wkroczył do niskiego, mrocznego pomieszczenia i wraz z gospodarzem podszedł do okna. Spoglądało ponad ogrodami ku rzece, przelewającej się spokojnie do morza.

— Czyżbyś... hmm... ostatnio nieco przesadził?

— Z czym przesadził? — spytał zawstydzony Rincewind.

— Widzisz, to jest budynek — wyjaśnił kwestor. Jak większość magów, stanawszy wobec zagadki zaczął skręcać sobie papierosa. — Nie statek. Istnieją dość wyraźne różnice. Nieobecność delfinów igrających przed dziobem, brak zęzy... takie tam. Możliwość pójścia na dno jest znikoma. W przeciwnym razie musieliśmy... hmm... posłać ludzi do pomp i wiosłować ku brzegowi. Prawda?

— Ale szczury...

— Pewnie statek z ziarnem wpłynął do portu. Albo odprawiają, hm, jakiś wiosenny rytuał.

— Jestem pewien, że wyczułem drżenie ścian — oznajmił Rincewind odrobinię niepewnie. Tutaj, w cichym gabinecie, przy ogniu trzaskającym na kominku, tamto nie wydawało się już tak realne.

— Przypadkowy wstrząs. Czkawka Wielkiego A'Tuina, hm, być może. Wziąć się w garść, hm, oto, co bym ci radził. Nie piłeś dzisiaj?

— Nie!

— Hm. A masz ochotę?

Spelter począłpał do dębowej szafki, wyjął dwa kieliszki i nappełnił je wodą z dzbanka.

— O tej porze dnia najlepiej wychodzi mi sherry — oznajmił, wyciągając ręce nad kieliszkami. — Powiedz tylko, słodkie czy wytrawne?

— Raczej nie — odmówił Rincewind. — Chyba ma pan rację. Pójdę trochę odpocząć.

— Dobry pomysł.

Rincewind powędrował chłodnymi korytarzami. Od czasu do czasu dotykał ściany i nasłuchiwał, po czym kręcił głową.

Kiedy przechodził przez dziedziniec, zauważył stado myszy wysypujących się z balkonu i pędzących w stronę rzeki. Grunt, po którym biegły, także zdawał się poruszać. Gdy Rincewind przyjrzał się dokładniej, odkrył, że ziemię pokrywa warstwa mrówek.

Nie były to zwykłe mrówki. Całe wieki wsiąkających w mury magicznych wycieków przekształciły je w niezwykły sposób. Niektóre ciągnęły maleńkie wózki, inne jechały wierzchem na żukach. Wszystkie jednak starały się jak najszybciej opuścić uniwersyteckie tereny. Trawa na klombach falowała, gdy przechodziły.

Rincewind podniósł głowę i zobaczył stary pasiasty materac, wysuwający się z okna na piętrze i opadający na kamienie bruku. Po krótkiej chwili, zapewne dla złapania tchu, uniósł się lekko nad ziemią. A potem popłynął przez trawnik, zbliżając się do maga, który w ostatniej chwili zdążył odskoczyć na bok. Nim materac ruszył dalej, Rincewind usłyszał piskliwe głosiki i pod wypchaną tkaniną dostrzegł tysiące zdeterminowanych nówek. Nawet pluskwy się wyprowadzały, a na wypadek, gdyby nie mogły znaleźć wygodnego mieszkania, wołały nie ryzykować i zabierały ze sobą stare. Jedna z nich pomachała mu i pisnęła coś na pożegnanie.

Rincewind cofał się wolno, aż coś dotknęło jego nóg i zmroziło go lękiem. Okazało się, że to kamienna ława. Przyjrzał się jej uważnie, ale chyba nie spieszyła się do ucieczki. Usiadł więc z wdzięcznością.

Wszystko to ma zapewne jakieś naturalne wytłumaczenie, pomyślał. Albo całkiem zwykle nienaturalne.

Jakiś zgrzyt zwrócił jego uwagę.

To, co zobaczył, nie miało naturalnego wytłumaczenia. Z niewyobrażalną powolnością, zsuwając się po parapetach i rynnach, w całkowitej ciszy — jeśli nie liczyć rzadkich zgrzytnięć kamienia o kamień — gargulce opuszczały dachy.

Szkoda, że Rincewind nigdy nie oglądał marnej jakości filmu, ponieważ wtedy wiedziałby, jak opisać to, co widzi. Stwory właściwie nie poruszały się, ale przemieszczały ciągami zmienianych w szybkim tempie nieruchomych klatek. Wymięły go w pochodzie sterczących dziobów, grzyw, skrzydeł, szponów i gołębih odchodów.

— Co się dzieje? — wykrztusił.

Stwór z pyskiem goblina, tułowiem harpii i kurzymi łapami serią drobnych szarpnięć odwrócił głowę i przemówił głosem przywodzącym na myśl perystaltykę góry. Co prawda efekt głębokiego, dźwięcznego rezonansu nie był szczególnie udany, ponieważ — oczywiście — gargulec nie mógł zamknąć paszczy.

— Ałożiciel achozi! — powiedział. — Uekaj!

— Słucham? — nie zrozumiał Rincewind. Ale stwór był już daleko i sunął niezgrabnie po starym uniwersyteckim trawniku³.

Rincewind siedział zatem nieruchomo i przez pełne dziesięć sekund wpatrywał się tępo w nic szczególnego, nim wreszcie krzyknął cicho i pognał jak najszybciej potrafił.

Nie zatrzymywał się, póki nie dotarł do swojego pokoju w budynku Biblioteki. Nie był to jakiś specjalny pokój i zwykle używano go do przechowywania starych mebli... ale dla Rincewinda był domem.

Pod jedną z ciemnych ścian stała szafa. Nie jedna z tych nowomodnych szaf, nadających się tylko do tego, by wskakiwał do niej gach, kiedy mąż wcześniej wróci do domu. Nie, była to stara dębowa szafa, czarna jak noc. W jej zakurzonych otchłaniach czaiły się i mnożyły wieszaki. Podłogą władały stada wytartych butów. Całkiem możliwe, że była tajemnym przejściem do jakichś baśniowych światów, jednak nikt nigdy nie próbował tego sprawdzić, a to z powodu nieprzyjemnego zapachu naftaliny.

Na szafie, owinięty w kawałki pożółkłego papieru i stare szmaty, stał duży kufer z mosiężnymi okuciami. Nosił miano Bagażu. Dlaczego zgodził się stać

³Bruzda pozostawiona przez uciekające gargulce sprawiła, że główny ogrodnik Uniwersytetu przegryzł swoje grabie i wypowiedział słynne zdanie: Jak można stworzyć taki trawnik? Podlewa się go i przycina przez pięćset lat, a potem przechodzi po nim banda łobuzów.

własnością Rincewinda, było tajemnicą, którą znał jedynie Bagaż i nie zdradzał jej nikomu.

Prawdopodobnie żaden inny sprzęt podróżny nie mógł się pochwalić tak bogatą historią mrocznych sekretów i groźnych urazów Fizycznych. Bagaż można opisać jako skrzyżowanie walizki z maniakałnym mordercą. Miał wiele niezwykłych cech, które już wkrótce mogą, ale nie muszą się ujawnić. Jednak w tej chwili tylko jedno odróżniało go od zwykłego kufra z mosiężnymi okuciami: chrapał, co brzmiało tak, jakby ktoś bardzo powoli ciął piłą drewnianą belkę.

Bagaż był może magiczny. Może straszny. Ale w głębi tajemniczej duszy był spokrewniony z każdym innym elementem bagażu w całym multiversum i lubił spędzać zimy hibernując na jakiejś szafie.

Rincewind postukał go miotłą i chrapanie ucichło, wypełnił kieszenie różnymi drobiazgami wyjmując je z pełniącej funkcje stolika skrzynki po bananach, po czym ruszył do drzwi. Nie mógł nie zauważyć, że zniknął jego materac, jednak nie miało to znaczenia, gdyż był przekonany, że już nigdy, ale to nigdy nie będzie spał na materacu.

Bagaż z głośnym stukiem wylądował na podłodze. Po kilku sekundach z najwyższą ostrożnością uniósł się na setkach różowych nóżek. Zakołysał się w przód i w tył, naciągając każdą z nich po kolei, potem uchylił wieko i ziewnął.

— Idziesz czy nie?

Wieko zatrzasnęło się z hukiem. Bagaż przesuwając nogi w skomplikowanym układzie, póki nie stanął przodem do drzwi. I podążył za swoim panem.

W Bibliotece wciąż panowało napięcie; od czasu do czasu zabrzączała łańcuch⁴ czy zaszeleściła stronica. Rincewind sięgnął pod biurko i chwycił bibliotekarza, wciąż skulonego pod kocem.

— Powiedziałem: chodź!

— Uuk.

— Postawię ci coś do picia — obiecał zrozpaczony Rincewind. Bibliotekarz wyprostował się niczym czworonogi pająk.

— Uuk?

Rincewind niemal siłą wyciągnął małpę z kryjówki i za drzwi. Nie kierował się w stronę głównej bramy, ale do niczym się nie wyróżniającego fragmentu muru, gdzie kilka obłuzowanych kamieni od dwóch tysięcy lat gwarantowało studentom dyskretną drogę wyjścia po zgaszeniu świateł. Nagle zatrzymał się tak gwałtownie, że bibliotekarz wpadł na niego, a Bagaż na nich obu.

— Uuk!

— O bogowie! Popatrz tylko!

⁴W większości starych bibliotek książki są przymocowane na łańcuchach do półek, żeby uchronić je przed zniszczeniem przez ludzi. W Bibliotece Niewidocznego Uniwersytetu, naturalnie, chodziło o coś odwrotnego.

— Uuk?

Lśniaca czarna fala wypływała zza kraty w pobliżu kuchni. Wczesne wieczorne gwiazdy odbijały się w milionach czarnych pancerzyków.

Lecz to nie widok karaluchów tak zaniepokoił Rincewinda. Rzecz w tym, że maszerowały równym krokiem, po sto w szeregu. Oczywiście, jak wszyscy nieoficjalni mieszkańcy Uniwersytetu, karaluchy także były odrobinę niezwykle, jednak dźwięk miliardów nózek, w równym rytmie uderzających o kamienie, budził zdecydowanie nieprzyjemne skojarzenia.

Rincewind przestąpił ostrożnie nad marszową kolumną. Bibliotekarz ją przeskoczył.

Bagaż naturalnie ruszył za nimi z dźwiękiem jakby ktoś stepował na worku chrupek.

I tak, zmuszając Bagaż do wyjścia okreśną drogą, przez bramę, ponieważ w przeciwnym razie wybiłby tylko dziurę w murze, Rincewind opuścił Uniwersytet ze wszystkimi insektami i przerażonymi gryzoniami. Uznał, że jeśli kilka piw nie pozwoli mu zobaczyć sytuacji w innym świetle, to prawdopodobnie dokona tego kilka następnych. W każdym razie warto spróbować.

Właśnie dlatego nie zjawił się w Głównym Holu na bankiecie. Jak się okazało, był to najważniejszy opuszczony bankiet jego życia.

* * *

Kawałek dalej coś zadźwięczało cicho nad uniwersyteckim murem: to kowczka zaczepiła o kolce na szczycie. Po chwili szczupła, czarno odziana postać zeskoczyła lekko po wewnętrznej stronie i bezgłośnie pobiegła do Głównego Holu, gdzie rozplynęła się w cieniach.

Zresztą i tak nikt by jej nie zauważył. Do bramy po drugiej stronie miasteczka akademickiego zbliżał się Czarodzieciel. Gdzie jego stopy dotknęły bruku, tam strzelały w górę niebieskie iskry, a krople wieczornej rosy zmieniały się w parę.

* * *

Było gorąco. Wielki kominek na obrotowym krańcu sali praktycznie ział żarem. Magowie łatwo marzną, więc podmuch gorąca z trzaskających polan roztopił świece na dwadzieścia stóp od paleniska, a politura na drewnianych stołach pokrywała się bąblami. Powietrze było błękitne od kłębow tytoniowego dymu, układających się w dziwne kształty wywoływane przypadkowymi podmuchami magii. Na głównym stole cała pieczona świnia wydawała się nieco zirytowana

faktem, że ktoś ją zabił nie czekając, aż skończy jeść jabłko. Maślany model Uniwersytetu powoli zmieniał się w kałużę tłuszczu.

Piwa nie brakowało. Tu i tam zaczerwienieni magowie wesoło intonowali stare pijackie pieśni, wymagające częstego klepania się po kolanach i okrzyków „Ha!” Jedynym usprawiedliwieniem takiego zachowania jest fakt, że magowie utrzymują celibat, więc szukają rozrywek wszędzie, gdzie to możliwe.

Kolejnym powodem tej ogólnie przyjacielskiej atmosfery było to, że nikt nie próbował zabić nikogo innego. W kręgach magicznych jest to okoliczność raczej niezwykła.

Wyższe poziomy magii to niebezpieczne miejsce. Każdy z magów usiłuje pozbyć się tych, którzy stoją nad nim, a równocześnie depta po palcach tym z dołu; powiedzieć, że magowie mają w swej naturze zdrowe współzawodnictwo, to jakby powiedzieć, że piranie są z natury nieco łakome. Jednakże od dni, gdy Wojny Magów uczyniły niemieszkalnymi wielkie obszary Dysku⁵, magowie mają zakaz rozstrzygania sporów środkami czarodziejskimi. Przede wszystkim dlatego, że sprawia to liczne problemy okolicznej ludności, a poza tym trudno ocenić, która z dymiących kałuż mazi jest zwycięzcą. Tradycyjnie więc korzystają ze sztyletów, subtelnego trucizn, skorpionów w butach i zabawnych pułapek wykorzystujących ostre jak brzytwa wahadła.

Jednak w wigilię Pomniejszych Bóstw zabicie brata-maga uznawano powszechnie za przejaw wyjątkowo złych manier. Dlatego też magowie pozwalali sobie na odwrócenie się do przyjaciół plecami bez obawy, że nagle poczują w nich nóż.

Fotel nadrektora stał pusty. Wayzygoose jadł samotnie w swym gabinecie, jak przystoi człowiekowi wskazanemu przez bogów po poważnej naradzie z rozsądnymi starszymi magami, która odbyła się wcześniej. Mimo swych osiemdziesięciu lat był nieco zdenerwowany i prawie nie tknął drugiego kurczęcia.

Za kilka minut będzie musiał wygłosić mowę. W latach młodości Wayzygoose szukał wiedzy w niebezpiecznych miejscach, siłował się z demonami w płomiennych oktagramach, spoglądał w wymiary, które nie były ludziom przeznaczone, a nawet zwyciężył komitet dotacji badawczych Niewidocznego Uniwersytetu; jednak nic w ośmiu kręgach nicości nie było tak straszne, jak kilkaset twarzy, spoglądających na niego z wyczekiwaniem poprzez chmury tytoniowego dymu.

Wkrótce przyjdą po niego heroldowie. Westchnął, odsunął talerz z deserem, którego nawet nie skosztował, przeszedł przez pokój, stanął przed wielkim lustrem i sięgnął do kieszeni po notatki.

Po chwili zdołał ułożyć je w mniej więcej właściwej kolejności i odchrząknął.

— Bracia moi w Sztuce — zaczął. — Nie zdołam was przekonać, jak bar-

⁵Przynajmniej dla ludzi, którzy lubili budzić się w tym samym kształcie, czy wręcz należąc do tego samego gatunku, co gdy szli do łóżka.

dzo... eee, jak bardzo... wspaniałe tradycje naszego starożytnego uniwersytetu... ehem... kiedy spoglądam wokół siebie i patrzę na podobizny nadrektorów, którzy odeszli... — Urwał, przeszukał notatki i zaczął znowu, trochę pewniejszym głosem. — Kiedy stoję tak dzisiaj między wami, przychodzi mi na myśl historia o trójnogim handlarzu i... ee... córkach kupca. Jak się zdaje, ów kupiec...

Ktoś zastukał do drzwi.

— Wejść — burknął Wayzygoose i raz jeszcze zajrzał do notatek. — Ten kupiec... Tak, ten kupiec miał trzy córki... Tak to chyba było. Tak, trzy. A potem...

Spojrzał w zwierciadło i odwrócił się.

— Kim je... — zaczął.

I przekonał się, że jednak istnieją rzeczy gorsze niż wygłaszanie przemówień.

* * *

Drobna, czarna postać, skradająca się pustym korytarzem, usłyszała hałas i nie zwróciła na niego uwagi. Zaskakujące hałasy na terenach, gdzie powszechnie praktykowano magię, stanowiły rzecz normalną. Postać czegoś szukała. Nie miała pewności, czego właściwie; miała za to pewność, że kiedy znajdzie, będzie wiedzieć.

Po kilku minutach poszukiwania doprowadziły ją do gabinetu Wayzygoose'a. Powietrze wypełniały kłęby gęstego dymu. Płatki sadzy dryfowały w powietrznych prądach, a na podłodze było kilka wypalonych plam w kształcie stóp.

Postać wzruszyła ramionami. Trudno wyjaśnić zjawiska obserwowane w pokojach magów. Pochwyciła swe wielokrotne odbicie w popękany zwierciadło, poprawiła ułożenie kaptura i wróciła do poszukiwań.

Poruszając się jak ktoś, kto słucha wewnętrznych instrukcji, przemknęła bezszelestnie przez pokój i dotarła do stołu, na którym leżało okrągłe, wytarte skórzane pudło. Podeszła bliżej i uchyliła pokrywkę.

Głos z wnętrza brzmiał tak, jakby dobiegał przez kilka warstw dywanu.

Nareszcie, powiedział. Czemu tak długo!

— Więc pytam, jak się to wszystko zaczęło? Rozumiesz, za dawnych czasów żyli prawdziwi magowie, nie było żadnych stopni. Zwyczajnie, wychodzili sobie i... i robili, co trzeba. Bum!

Jeden czy dwóch klientów w ciemnym końcu baru Załatany Bęben obejrzało się pospiesznie, słysząc hałas. Niedawno zjawili się w mieście. Stali klienci nigdy nie zwracali uwagi na zaskakujące odgłosy, na przykład jęki czy charczenia.

Tak było zdrowiej. W pewnych częściach miasta ciekawość nie była pierwszym stopniem do piekła, ale do rzeki, z ołowianymi ciężarami u nóg.

Rincewind niepewnie wodził dłońmi nad kolekcją pustych naczyń na stole. Już prawie zapomniał o karaluchach. Jeszcze parę piw i zapomni również o pluskwach.

— Ziu! I kula ognista! Bzzz! Znika jak dym! Wiuu! Przepraszam. . .

Bibliotekarz ostrożnie odsunął poza zasięg rąk Rincewinda to, co pozostało z jego piwa.

— Prawdziwa magia. . . — Rincewind stłumił czknięcie.

— Uuk.

Rincewind przyjrzał się pienistym resztkom na dnie swojego kufła, po czym z najwyższą ostrożnością, żeby nie odpadł mu czubek głowy, schylił się i nalał trochę na spodeczek dla Bagażu. Bagaż przyczał się pod stołem i mag był mu za to wdzięczny. Zwykle w lokalach przynosił wstyd, gdyż przysuwał się do pijących i zmuszał ich, żeby karmili go chrupkami.

Przez chwilę Rincewind zastanawiał się, gdzie zboczył tor jego myśli.

— O czym mówiłem?

— Uuk — podpowiedział bibliotekarz.

— A tak. — Rincewind rozpromienił się. — Oni nie mieli tych wszystkich stopni i poziomów. Wtedy żyli jeszcze czarodzieje. Wyruszyli w świat, znajdowali nowe zaklęcia, mieli przygody. . .

Zanurzył palec w kałuży piwa i zaczął kreślić wzór na poplamionym, odrapanym blacie.

Jeden z nauczycieli Rincewinda powiedział o nim kiedyś: „nazwać jego zrozumienie magii tragicznym oznacza, że braknie nam odpowiedniego słowa, by opisać jego opanowanie praktyki”. Zawsze dziwiło to Rincewinda. Nie pojmował, dlaczego koniecznie trzeba umieć czarować, żeby być magiem. Przecież wiedział, że sam jest magiem — wiedział z absolutną pewnością. Umiejętność czarowania nie miała z tym nic wspólnego. Była tylko dodatkiem, nie określała człowieka.

— Kiedy byłem mały — westchnął tęsknie — widziałem w jednej książce obrazek maga. Stał na szczycie góry i wyciągał ręce. . . Fale sięgały ku niemu, wiesz, tak jak w Zatoce Ankh podczas sztormu, a dookoła świeciły błyskawice. . .

— Uuk?

— Nie wiem, dlaczego nie. Może miał gumowe buty — burknął Rincewind i kontynuował z rozmarzeniem: — Miał laskę i kapelusz, taki jak mój, i oczy mu lśniły, a z palców tryskały promienie. . . Pomyślałem, że pewnego dnia ja też tego dokonam. . .

— Uuk?

— Ale tylko połówkę.

— Uuk.

— Jak właściwie płacisz za to wszystko? Przecież jak tylko ktoś daje ci pieniądze, od razu je zjadasz.

— Uuk.

— Zadziwiające.

Rincewind dokończył piwny obraz. Przedstawiał naszkicowaną kreskami postać na szczycie urwiska. Nie była do niego podobna — rysunki kreślone zwierzętym piwem nie są zbyt precyzyjne — ale miała być.

— Kimś takim chciałem zostać — rzekł. — Właśnie. Bez tego wszystkiego. Tych książek i w ogóle... Nie na tym ma polegać magia. Potrzebujemy prawdziwej magii, ot co... .

Ostatnia uwaga zdobyłaby pewnie nagrodę za najbardziej błędną wypowiedź dnia, gdyby Rincewind nie dodał:

— Szkoda, że nie ma już takich na świecie.

* * *

Spelter zastukał łyżeczką o stół.

Wyglądał imponująco w ceremonialnej szacie ze zdobionym purpurą i futrem werminii⁶ kapturem Szacownej Rady Proroków i żółtą szarfą maga piątego stopnia. Piąty stopień osiągnął trzy lata temu i czekał, aż któryś z sześćdziesięciu czterech magów szóstego stopnia zwolni stanowisko padając trupem. Tym niemniej był dziś w przyjaznym nastroju. Nie tylko skończył właśnie dobry obiad, ale też miał w swoich pokojach fiolkę gwarantowanej, pozbawionej smaku trucizny, która — prawidłowo użyta — powinna zapewnić mu awans w ciągu kilku miesięcy. Przyszłość zapowiadała się jak najlepiej.

Wielki zegar pod ścianą zdrzał na krawędzi godziny dziewiętej.

Łyżeczkowy werbel nie przyniósł dostrzegalnych efektów. Spelter chwycił cynowy kufel i mocno uderzył w stół.

— Bracia! — zakrzyknął i kiwnął głową, gdy gwar ucichł z wolna. — Dziękuję. Powstańcie, proszę, i przygotujcie się do ceremonii, hm, kluczy.

Zabrzmiały śmiechy i wyraźny szmer oczekiwania. Magowie odsuwali krzesła i niepewnie stawali na nogi.

Podwójne drzwi do sali były zamknięte i zabezpieczone potrójną sztabą. Zanim zostaną otwarte, nadrektor musiał po trzykroć prosić o pozwolenie wejścia. Miało to symbolizować, że został naznaczony za zgodą wszystkich. Albo coś w tym rodzaju. Początki obyczaju ginęły w pomroce dziejów, co było nie gorszym od innych powodów, by go podtrzymywać.

⁶Werminia jest niewielkim, biało-czarnym krewniakiem leminga, żyjącym w zimnych regionach wokół Osi. Jej futro jest wysoko cenione, zwłaszcza przez samą werminę; samolubna bestia posunie się do wszystkiego, byle się z nim nie rozstawać.

Rozmowy umilkły. Zebrani magowie spoglądali na drzwi.

Rozległo się ciche stukanie.

— Idź sobie! — krzyknęli magowie. Niektórzy pokładali się ze śmiechu, poruszeni subtelnością żartu.

Spelter uniósł wielki żelazny pierścień, na którym wisały klucze do Uniwersytetu. Nie wszystkie były z metalu. Nie wszystkie były widzialne. A niektóre wyglądały naprawdę dziwnie.

— Kimże jest ten, kto stuka do naszych drzwi?

— To ja.

Było coś dziwnego w tym głosie: każdy z magów miał wrażenie, że mówiący stoi tuż za nim. Większość odruchowo obejrzała się przez ramię.

W owej chwili zdumienia i ciszy zamek w drzwiach szczęknął lekko. Patrzyli z fascynacją i grozą, jak cofają się żelazne sworznie, jak wysuwają się z gniazd ciężkie dębowe belki, zmienione przez Czas w coś twardszego niż kamień. Zawiasy rozpały się czerwienią, żółcią, w końcu bielą... I eksplodowały. Powoli, ze straszliwą nieuchronnością, wrota runęły do holu.

Niewysoka postać stała wśród dymu płonących zawiasów.

— Niech to licho, Virrid — mruknął jeden z magów, stojący niedaleko. — To był niezły numer.

A kiedy przybysz wszedł do jasnej sali, wszyscy mogli zobaczyć, że jednak nie jest Virridem Wayzygoosem.

Był przynajmniej o głowę niższy niż każdy z obecnych magów i miał na sobie prostą białą szatę. Był też o kilkadziesiąt lat młodszy: wyglądał na mniej więcej dziesięć. W rękę trzymał znacznie wyższą od siebie laskę.

— Zaraz, przecież on nie jest magiem... .

— Gdzie ma kaptur?

— Gdzie ma kapelusz?

Obcy przeszedł wzdłuż szeregu zdziwionych magów, aż dotarł do szczytu stołu. Spelter spojrzał z góry na jego szczupłą młodą twarz obramowaną masą jasnych włosów, a przede wszystkim spojrzał w parę złocistych oczu. Wydawało się, że są rozświetlone od wewnątrz i patrzą w punkt umieszczony sześć cali za jego karkiem. Spelter odniósł wrażenie, że stoi chłopcu na drodze i że jest całkiem zbędny w obecnej sytuacji.

Przywołał całą swoją godność i wyprostował się na pełną wysokość.

— Co to ma znaczyć? — zapytał. Sam musiał przyznać, że nie było to dostatecznie stanowcze, ale nieruchomość tego promiennego spojrzenia zdawała się wymazywać z pamięci potrzebne słowa.

— Przybyłem — oznajmił obcy.

— Przybyłeś? Przybyłeś po co?

— By zająć swoje miejsce. Gdzie mam usiąść?

— Jesteś studentem? — Spelter pobladł ze złości. — Jak ci na imię, młody człowieku?

Chłopiec nie zwracał na niego uwagi. Przyjrzał się zgromadzonym.

— Kto z was jest najpotężniejszym magiem? — zapytał. — Pragnę się z nim spotkać.

Spelter skinął głową. Dwaj woźni, którzy od paru minut przesuwali się dyskretnie w stronę przybysza, stanęli mu za plecami.

— Wyprowadźcie go stąd i wyrzućcie na ulicę — polecił Spelter. Woźni, poważni i potężni mężczyźni, kiwnęli głowami. Dłońmi jak kłacie bananów chwycili chłopca za chude ramiona.

— Twój ojciec dowie się o wszystkim — oznajmił surowo Spelter.

— Już wie — odparł chłopiec. Zerknął na woźnych i wzruszył ramionami.

— Co się tu dzieje?

Spelter obejrzał się. Za nim stał Skarmer Billias, przewodniczący Obrządku Srebrnej Gwiazdy. O ile Spelter był raczej chudy, to Billias tęży, podobny do niedużego balonu na uwięzi, z jakiegoś powodu przystrojonego w szatę z błękitnego aksamitu i werminii. Obaj razem dawali średnio dwóch mężczyzn normalnych rozmiarów.

Na nieszczęście Billias należał do ludzi, którzy są dumni ze swojego stosunku do dzieci. Pochylił się tak nisko, jak tylko pozwalał mu obiad, i przysunął do chłopca swoją czerwoną, przyozdobioną bokobrodami twarz.

— O co chodzi, mój chłopcze? — spytał.

— To dziecko wdarło się tutaj, ponieważ, jak twierdzi, chce spotkać potężnego maga - - wyjaśnił z dezaprobatą Spelter.

Spelter nie znosił dzieci i może właśnie dlatego uważały go za fascynujące zjawisko. W tej chwili nie pozwalał sobie na myślenie o drzwiach. I udawało mu się.

— Nie widzę w tym nic zdrożnego — stwierdził Billias. — Każdy chłopak, który nie jest oferumą, pragnie zostać magiem. Ja sam chciałem zostać magiem jako chłopiec. Mam rację, chłopcze?

— Czy jesteś mocny? — zapytał chłopiec.

— Słucham?

— Pytałem, czy jesteś mocny. Jak bardzo jesteś potężny?

— Potężny? — powtórzył Billias. Wyprostował się, przesunął palcami po swojej szarfie maga ósmego stopnia i mrugnął do Speltera. — Dość potężny. Całkiem potężny jak na maga.

— To dobrze. Wyzywam cię. Pokaż mi swój najlepszy czar. A kiedy cię pokonam, wtedy ja zostanę nadrektorem.

— Ty bezczelny... — zaczął Spelter, lecz jego słowa zagłuszył chóralny wybuch śmiechu.

Billias poklepał się po kolanach, a przynajmniej tak blisko nich, jak potrafił sięgnąć.

— Zatem: pojedynek? — stwierdził. — Odważny jesteś.

— Pojedyunki są zakazane, jak doskonale wiesz — przypomniał Spelter. — Zresztą to przecież śmieszne! Nie wiem, kto załatwił dla ciebie te drzwi, ale nie mam zamiaru spokojnie patrzeć, jak marnujemy czas. . .

— Spokojnie — wtrącił Billias. — J ak ci na imię, chłopcze?

— Coin.

— Coin, proszę pana — warknął Spelter.

— A więc, mój Coinie, chcesz zobaczyć, do czego jestem zdolny?

— Tak.

— Tak, proszę pana — powtórzył Spelter. Coin spojrzał na niego nieruchomo, wzrokiem starym jak Czas, wzrokiem, który wygrzewa się na kamieniach na wulkanicznych wyspach i nigdy się nie nudzi. Spelter poczuł, że zasycha mu w ustach.

Billias wznosił ramiona i uciszył zebranych. Potem, teatralnym gestem, podwinął lewy rękaw i wyciągnął rękę.

Magowie przyglądali mu się z zaciekawieniem. Ci z ósmego poziomu byli już powyżej zwykłego czarowania. W zasadzie większość czasu poświęcali na kontemplację — zwykle najbliższego posiłku — i nie zwracali na siebie uwagi ambitnych magów siódmego stopnia. Ten pokaz powinien być wart oglądania.

Billias uśmiechnął się do chłopca, który odpowiedział spojrzeniem skupionym w punkcie o kilka cali za karkiem starego maga.

Nieco zdenerwowany Billias zgiął i rozprostował palce. Nagle wszystko to przestało być zabawą. Poczuł przemożną chęć zaimponowania przybyszowi. I natychmiast uczucie to przesłoniła fala irytacji na własną głupotę, że pozwolił się zdenerwować.

— Pokażę ci. . . — zaczął i nabrał tchu. — Pokażę ci Cudowny Ogród Maligreego.

Wśród zebranych rozszedł się szmer. W historii Uniwersytetu tylko czterech magów zdołało uzyskać pełny Ogród. Większość potrafiła stworzyć drzewa i kwiaty, kilku udały się ptaki. Nie było to najpotężniejsze zaklęcie, nie zdołałoby przesunąć góry, ale uzyskanie drobnych szczegółów wbudowanych w złożone sylaby Maligreego wymagało wyjątkowego kunsztu.

— Zauważ — powiedział Billias. — Niczego nie mam w rękawie.

Jego wargi poruszyły się. Ręce zatańczyły w powietrzu. Kałuża złocistych iskier zaskwierczała w otwartej dłoni, wygięła się, uformowała ledwie widoczną sferę, z wolna wypełniającą się szczegółami. . .

Legenda głosiła, że Maligree, ostatni z prawdziwych czarodziei, stworzył Ogród jako niewielkie, pozaczasowe, osobiste uniwersum, gdzie mógł w spokoju zapalić i pomyśleć, nie dbając o troski tego świata. Co samo w sobie było zagadką,

gdyż zaden mag nie mógł pojąć, skąd miałyby się brać troski u istoty tak potężnej jak czarodzieciel. Jakiegokolwiek były powody, Maligree coraz dalej i dalej zagłębiał się w swój świat, aż pewnego dnia zamknął za sobą przejście.

Ogród stał się błyszczącą kulą w dłoni Billiasa. Najbliżsi magowie z podziwem wyciągali szyje i zaglądali mu przez ramię. Widzieli dwustopową sferę, a w niej delikatny, kwietny pejzaż; w pobliżu leżało jezioro — kompletne, co do zmarszczki; fioletowe góry wyrastały za interesującym z wyglądu lasem. Małeńkie ptaki wielkości pszczoł przelatywały z drzewa na drzewo, a para skubiących trawę saren, nie większych od myszy, podniosła głowy i spojrzała na Coina.

Ten zaczepnie powiedział:

— Całkiem nieźle. Daj mi to.

Wziął niematerialny glob z rąk maga i uniósł go w górę.

— Dlaczego nie jest większy? — zapytał.

Billias otarł czoło koronkową chusteczką.

— No cóż... — odparł słabym głosem, tak zdumiony tonem Coina, że nawet nie poczuł urazy. — Od dawnych dni efektywność zaklęcia nieco...

Coin przez chwilę stał nieruchomo, przechylając głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. Potem wyszeptał kilka sylab i pogładził powierzchnię kuli.

Zaczęła rosnać. W jednej chwili była tylko zabawką w rękach chłopca, a w następnej...

... magowie stali w bujnej trawie, na cienistej łące opadającej do brzegu jeziora. Od gór dmuchał lekki wietrzyk, pachnący tymiankiem i sianem. Niebo miało barwę ciemnego błękitu, w zenicie przechodzącego w fiolet.

Sarny spoglądały podejrzliwie na nowo przybyłych ze swego pastwiska pod drzewami.

Zaszokowany Spelter opuścił głowę. Paw ciągnął go za sznurówki.

— ... — zaczął mag i urwał.

Coin wciąż trzymał w ręku sferę. Wewnątrz, zniekształcony, jakby oglądany przez obiektyw „rybie oko” albo przez dno butelki, znajdował się Główny Hol Niewidocznego Uniwersytetu.

Chłopiec rozejrzał się, popatrzył na drzewa, mrużąc oczy zerknął na dalekie, okryte śniegiem góry, i skinął głową zdumionym magom.

— Całkiem ładnie — stwierdził. — Chętnie przyjdę tu znowu.

Poruszył rękami w złożonym geście, jakby w niewytłumaczalny sposób odwracał je wnętrzem na wierzch.

Magowie znowu znaleźli się w holu, a chłopiec trzymał w dłoni malejący Ogród. Wśród ciężkiego, zdumionego milczenia włożył go z powrotem do rąk Billiasa.

— Bardzo ciekawe — rzekł. — A teraz ja wam pokażę magię.

Wybuchło pandemonium, jak często się zdarza przy takich okazjach. A pośrodku stał Coin, zupełnie spokojny, otoczony rosnącą chmurą tłustego dymu.

Ignorując zamieszanie, Spelter schylił się powoli i z najwyższą ostrożnością podniósł z posadzki pawie pióro. Przesunął nim w zamyśleniu po wargach, spoglądając na drzwi, na chłopca, na pusty fotel nadrektora... Wąskie usta rozciągnęły mu się w uśmiechu.

* * *

Godzinę później, kiedy grom przetoczył się po czystym niebie nad miastem, kiedy Rincewind zaczynał cicho śpiewać i zapominał o karaluchach, kiedy samotny materac wędrował ulicami, Spelter zamknął drzwi gabinetu nadrektora i stanął przed kolegami — magami.

Było ich sześciu i wszyscy wyraźnie zatroskani. Tak bardzo, jak zauważył Spelter, że słuchali jego: maga zaledwie piątego stopnia.

— Poszedł do łóżka — oznajmił. — A przedtem napił się gorącego mleka.

— Mleka? — powtórzył jeden z magów znużonym i zaleknionym głosem.

— Jest za młody na alkohol — wyjaśnił kwestor.

— A tak... Zapomniałem.

— Widzieliście, co zrobił z drzwiami? — zapytał siedzący naprzeciw mag o pustym spojrzeniu.

— Widziałem, co zrobił z Billiasem.

— A co zrobił z Billiasem?

— Nie chcę tego wiedzieć!

— Bracia, bracia — zawołał uspokajającym tonem Spelter. Przyjrzał się ich zatroskanym twarzom i pomyślał: zbyt częste bankiety. Zbyt wiele wieczorów spędzonych na oczekiwaniu, aż służący poda herbatę. Zbyt wiele godzin w dusznych pokojach, godzin poświęconych czytaniu książek spisanych przez ludzi umarłych. Zbyt wiele złotego brokatu i śmiesznych ceremonii. Zbyt wiele tłuszczu. Cały Uniwersytet czekał tylko na solidne pchnięcie... Albo pociągnięcie...

— Zastanawiam się, czy istotnie mamy do czynienia z, hm, problemem — rzekł.

Gravie Derment z Mędrców Nieznanego Cienia uderzył pięścią w stół.

— Na bogów, człowieku! — wykrzyknął. — Jakiś dzieciak przychodzi do nas nie wiadomo skąd, pokonuje dwóch najlepszych na Uniwersytecie, zasiada w fotelu nadrektora, a ty się zastanawiasz, czy mamy problem? Ten chłopak to naturalny talent! Po tym, cośmy dzisiaj widzieli, nie wierzę, żeby znalazł się na Dysku mag, który mógłby z nim walczyć!

— A dlaczego mamy z nim walczyć? — zapytał Spelter rozsądnie.

— Bo jest potężniejszy od nas!

— Tak?

Wobec głosu Speltera, szklana szyba wyglądałaby jak zaorane pole, a miód smakował jak żwir.

— To logiczne. . .

Gravie zawahał się. Spelter obdarzył go zachęcającym uśmiechem.

— Ehem. . .

Chrzążającym okazał się Marmaric Carding, przywódca Sztukmistrzów. Złożył dłonie i nad czubkami upięścienionych palców spojrział surowo na Speltera. Kwestor żywił do niego głęboką antypatię. Miał też poważne wątpliwości co do jego inteligencji: podejrzewał, że może być wysoka, że za tym porysowanym siatką żył tłustym obliczem kryje się umysł pełen wypolerowanych zębatych kółek, wirujących w szaleńczym tempie.

— Nie wydaje się przesadnie chętny do używania tej mocy — zauważył Carding.

— A Billias i Virrid?

— Dziecinne dąsy.

Magowie spoglądali to na niego, to na kwestora. Wyczuwali, że dzieje się coś ważnego, jednak nie bardzo wiedzieli co.

Powód, dla którego magowie nie władali Dyskiem, był całkiem prosty: wystarczy wręczyć dwóm magom kawałek liny, a natychmiast zaczną ciągnąć w przeciwne strony. Coś w genach, czy może jakiś element szkolenia, budził w nich taki stosunek do owocnej współpracy, że stary słoń-samotnik ze śmiertelnie bolącym kłem przypominałby przy nich mrówkę-robotnicę.

Spelter rozłożył ręce.

— Bracia — zaczął znowu. — Czy nie pojmujecie, z czym mamy do czynienia? Oto uzdolniony młodzian, być może dorastający w odosobnieniu gdzieś na pozbawionej edukacji, hm, prowincji. Czując w głębi serca prastary zew magii, wyruszył w drogę przez groźne okolice, pokonując któż wie jakie niebezpieczeństwa, aż wreszcie dotarł do celu, samotny i zalękniony, szukając jedynie oparcia i pomocy od nas, jego wychowawców. Czekać, byśmy ukształtowali i pokierowali jego talentem. Jakież mamy prawo, by go odepchnąć, wypędzić w mroźną zamieć i zimowe wichry, wzgardzić jego. . .

Orację przerwał Gravie, głośno wycierając nos.

— Nie ma zimy — stwierdził chłodno któryś z magów. — A noc jest całkiem ciepła.

— Na zdradziecko zmienną wiosenną aurę — warknął Spelter. — I niech przekłety będzie ten, kto w takiej chwili nie zdoła. . .

— Już prawie lato.

Carding w zamyśleniu potarł czubek nosa.

— Chłopiec ma laskę — przypomniał. — Kto mu ją dał? Pytałeś?

— Nie — odparł Spelter, wciąż wściekły na tego znawcę kalendarza, który mu przerwał.

Carding spojrział na swoje paznokcie w sposób — według Speltera — bardzo znaczący.

— No cóż, problem, choćby i poważny, z pewnością może poczekać do rana — rzekł głosem, według Speltera, ostentacyjnie znudzonym.

— Na bogów, przecież on rozniósł Billiasa! — zawołał Gravie. — A w pokoju Virrida zostały podobno tylko sadze!

— Byli chyba nierozsądni — odparł gładko Carding. — Jestem przekonany, mój drogi bracie, że w sprawach Sztuki nie pokonałby cię jakiś młodzik.

Gravie zawahał się.

— No więc, tego... Nie, oczywiście, że nie. — Zerknął na niewinny uśmiech Cardinga i zakaszłał głośno. — Z całą pewnością nie. Billias zachował się głupio. Jednak rozsądna przezorność nie zaszkodzi...

— Wszyscy zatem bądźmy ostrożni rankiem — zakończył uprzejmie Carding. — Bracia, zamknijmy tę naradę. Chłopiec śpi i w tym przynajmniej wskazuje nam właściwą drogę. W świetle dnia wszystko wygląda lepiej.

— Widziałem już rzeczy, które wcale nie wyglądały lepiej — burknął Gravie. Nie ufał Młodości. Uważał, że nie prowadzi do niczego dobrego.

Najstarsi magowie rzędem wyszli na korytarz i wrócili do Głównego Holu, gdzie bankiet dotarł już do dziewiątego dania i właśnie nabierał tempa. Trzeba czegoś więcej niż odrobiny czarów i kogoś zmienionego w kłęb dymu, żeby zniechęcić maga do jedzenia.

Z jakichś sobie tylko znanych powodów Spelter i Carding zostali najdłużej. Siedzieli naprzeciw siebie przy długim stole i patrzyli na siebie jak koty. Koty potrafią siedzieć po dwóch stronach alejki i obserwować się godzinami; przy takich myślowych manewrach nawet arcymistrz szachów wydałby się człowiekiem impulsywnym. Jednak koty nie dorównują magom. Żaden z nich nie miał zamiaru się ruszyć, dopóki nie przeanalizuje w myślach całej zbliżającej się rozmowy, żeby sprawdzić, czy nie zdoła uzyskać przynajmniej jednego ruchu wyprzedzenia.

Spelter osłabł pierwszy.

— Wszyscy magowie są braćmi — rzekł. — Powinniśmy sobie ufać. Mam informację.

— Wiem — odparł Carding. — Domyślasz się, kim jest chłopiec.

Wargi Speltera poruszały się bezgłośnie, kiedy usiłował przewidzieć następne zdania rozmowy.

— Nie możesz być tego pewien — stwierdził po chwili.

— Mój drogi Spelterze, rumienisz się, kiedy mimowolnie powiesz prawdę.

— Nie zarumieniłem się!

— Otóż właśnie.

— No dobrze — ustąpił Spelter. — Ale ty sądzisz, że wiesz jeszcze o czymś.

Tęgi mag wzruszył ramionami.

— To zaledwie sugestia domysłu — wyznał. — Ale dlaczego miałbym się sprzymierzyć... — Smakował językiem obce słowo. — Sprzymierzyć z tobą, magiem ledwie piątego stopnia? Łatwiej uzyskam tę informację, rozkładając twój żywy mózg. Nie chcę cię urazić, rozumiesz chyba. Szukam jedynie wiedzy.

W ciągu następnych kilku sekund wydarzenia potoczyły się zbyt szybko, by mógł je pojąć ktoś nie będący magiem. Ich przebieg w przybliżeniu był taki:

Pod osłoną blatu Spelter kreślił w powietrzu znaki Akceleratora Megrima. Teraz wymruczał pod nosem jedną sylabę i odpalił Zakłęcie nad stołem. Przemknęło, zostawiając dymiący ślad na politurze, by mniej więcej w połowie drogi zderzyć się ze srebrnymi żmijami Potężnego Deszczu Węży Brata Milczka, spływającymi z palców Cardinga.

Dwa zakłęcia uderzyły o siebie, zmieniły się w kulę zielonego płomienia i eksplodowały, wypełniając pokój drobnymi żółtymi kryształkami.

Magowie wymienili spojrzenia: długie i powolne, z rodzaju tych, w jakich można by piec kasztany.

Szczerze mówiąc, Carding był zaskoczony. A nie powinien. Magowie ósmego stopnia rzadko są wyzywani na próbę magicznej mocy. W teorii istnieje tylko siedmiu innych magów o równej potędze, a każdy słabszy mag jest z definicji... no, słabszy. To daje im poczucie pewności siebie. A Spelter był na poziomie piątym.

Życie na szczycie jest twarde, jeszcze twardsze jest pewnie na samym dole, ale w połowie drogi jest tak twarde, że można by z niego kuć podkowy. Przez ten czas wszyscy słabeusze, lenie, głupcy czy zwyczajni pechowcy zostali usunięci, pole jest oczyszczone i każdy z magów walczy sam, ze wszystkich stron otoczony przez śmiertelnych wrogów. Poniżej tkwią ambitne czwórki, czekające tylko, żeby odsunąć go z drogi. Powyżej zarozumiałe szóstki, z satysfakcją duszące wszelkie ambicje. I — oczywiście — wokół czają się koledzy-piątki, szukający okazji, żeby ograniczyć trochę konkurencję. Ani przez chwilę nie ma spokoju. Magowie piątego stopnia są chytry i twardzi, mają błyskawiczny refleks, oczy wąskie i zmrużone od wpatrywania się w przysłowiową ostatnią milę, za którą czeka najwyższa z nagród: kapelusz nadrektora.

Carding zaczynał dostrzegać pewne zalety w nieznannej sobie dotąd idei współpracy. Spotkał się z godną uwagi mocą, którą da się pewnie przekupić, by stała się użyteczna. Dopóki to będzie konieczne. Oczywiście, potem trzeba ją będzie... zniechęcić...

Spelter myślał: patronat. Słyszał już to słowo, choć nigdy w murach Uniwersytetu. Wiedział, co oznacza: że stojący wyżej podaje rękę, by pomóc wspiać się w górę temu, który utknął niżej. Naturalnie, żaden mag nawet by nie pomyślał o podaniu koledze ręki, chyba po to, żeby zrzucić go w przepaść. Sam pomysł pomocy dla konkurenta... Chociaż z drugiej strony ten stary dureń może się przydać... przez jakiś czas. A potem, cóż...

Spoglądali na siebie z niechętnym podziwem i wzajemną bezgraniczną nieufnością. Ale przynajmniej była to nieufność, na której mogli polegać. Przez jakiś czas.

— Ma na imię Coin — poinformował Spelter. — Mówił, że jego ojciec nazywał się Ipslore.

— Zastanawiam się, ilu ma braci — mruknął Carding.

— Słucham?

— Od wieków nie widziano na Uniwersytecie takiej magii — wyjaśnił Carding. — Może od tysięcy lat. Ja sam tylko o niej czytałem.

— Wypędziliśmy Ipslore'a trzydzieści lat temu — przypomniał Spelter. — Według naszych danych, ożenił się. Rozumiem, że gdyby miał synów, zostaliby magami, ale nie wiem. . .

— To nie była magia. To było czarodziejstwo. — Carding rozparł się wygodnie.

Spelter przyglądał mu się ponad nadpaloną politurą.

— Czarodziejstwo?

— Ósmy syn maga byłby czarodziejem.

— Tego nie wiedziałem!

— Nie jest to powszechnie ogłaszane.

— Tak, ale. . . Czarodzieje istnieli bardzo dawno temu. To znaczy, magia była wtedy o wiele silniejsza, hm, ludzie byli inni. . . To nie miało żadnego związku z, hm, rozmnażaniem.

Ośmiu synów, myślał Spelter. To znaczy, że zrobił to osiem razy. Co najmniej. A niech to. . .

— Czarodzieje mogli robić wszystko — mówił dalej. — Byli niemal tak potężni jak bogowie. Hm. Bez przerwy sprawiali kłopoty. Bogowie po prostu nie pozwolą już na coś takiego. Można im wierzyć.

— Sprawiali kłopoty, ponieważ stale ze sobą walczyli — wyjaśnił Carding. — Ale jeden czarodziej nie stanowi problemu. To znaczy: jeden czarodziej wspomagany dobrą radą. Starszych i mądrzejszych umysłów.

— Ale on chce dostać kapelusz nadrektora!

— Dlaczego mu go nie dać?

Spelter rozdziawił usta. Tego już było za wiele, nawet dla niego.

Carding uśmiechnął się przyjaźnie.

— Przecież kapelusz. . .

— To tylko symbol — przerwał mu Carding. — Nic szczególnego. Jeśli go pragnie, niech bierze. Drobiazg. Symbol, nic więcej. Figurelusz.

— Figurelusz?

— Noszony przez figuranta.

— Przecież sami bogowie wskazują nadrektora!

Carding uniósł brew.

— Doprawdy? — spytał i odchrząknął.
— No... Myślę, że chyba tak. W pewnym sensie.
— W pewnym sensie? — Carding wstał i poprawił szatę. — Sądzę — rzekł — że wiele jeszcze musisz się nauczyć. A przy okazji, gdzie jest ten kapelusz?
— Nie wiem — wyznał Spelter, wciąż trochę zaszokowany. — Chyba gdzieś, hm, w apartamentach Virrida.

— Lepiej chodźmy po niego.

Przystanął jeszcze w drzwiach i w zadumie pogładził brodę.

— Pamiętam Ipslore'a — mruknął. — Studiowaliśmy razem. Dziwny chłopak. Dziwaczne obyczaje. Znakomity mag, oczywiście, dopóki nie zszedł na złą drogę. Przypominam sobie, że kiedy był podniecony, tak śmiesznie poruszał brwiami.

Carding spojrział w głąb czterdziestu lat wspomnień i zadrzał.

— Kapelusz — przypomniał samemu sobie. — Poszukajmy go. Szkoda by było, gdyby coś mu się przytrafiło.

Tymczasem kapelusz nie miał zamiaru pozwalać, żeby coś mu się przytrafiło. W tej chwili spieszył pod Załatany Bęben pod pachą nieco zdezorientowanego, czarno odzianego złodzieja.

Złodziej, jak wkrótce się okaże, był bardzo szczególnym złodziejem. Był artystą złodziejstwa. Inni złodzieje zwyczajnie kradli wszystko, czego nie przybito do podłoża, ale ten złodziej kradł również gwoździe. Wywołał w Ankh liczne skandale, ponieważ szczególnie mocno — i ze zdumiewającymi sukcesami — interesował się przedmiotami nie tylko przybitymi do podłoża, ale też strzeżonymi przez bystrookich strażników w niedostępnych skarbcach. Istnieją artyści, którzy potrafią wymalować cały sufit kaplicy; ten złodziej należał do takich, którzy potrafią go ukraść.

Temu wyjątkowemu złodziejowi przypisywano kradzież wysadzanego klejnotami ofiarnego noża do wypruwania flaków ze świątyni Offlera, Boga-Krokodyla, w samym środku psalmu, i srebrnych podków najlepszego konia patrycjusza, gdy zwierzę zajęte było wygrywaniem wyścigu. Kiedy Gritoller Mimpsey, wiceprzewodniczący Gildii Złodziei, został potrącony na placu targowym, a po powrocie do domu odkrył, że świeżo skradziona garść diamentów zniknęła ze swej kryjówki, wiedział, kogo za to winić⁷. Ten złodziej potrafił przejąć inicjatywę, ukraść całusa i wyjąć człowiekowi słowa z ust.

Mimo to po raz pierwszy złodziej ów ukradł coś, co nie tylko tego zażądało — głosem cichym acz stanowczym — ale też wydało ścisłe i w jakiś sposób nie znoszące sprzeciwu instrukcje, co powinien z tym zrobić.

Właśnie zaczynała się noc, punkt zwrotny roboczego dnia Ankh-Morpork, gdy ci, którzy zarabiają na życie w świetle słońca, udają się na spoczynek, ci zaś,

⁷To dlatego, że Gritoller dla bezpieczeństwa połknął diamenty.

którzy uczciwego dolara zdobywają w zimnym blasku księżyca, właśnie zbierają siły do pracy. Dzień osiągnął ten niewyraźny punkt, kiedy jest już za późno na rozbój, a za wcześnie na włamania.

Rincewind siedział samotnie w zatłoczonej, zadymionej sali i nie zwrócił uwagi na cień, który przemknął nad stołem, ani na złowieszczą postać, która zajęła miejsce naprzeciwko. W tym lokalu złowieszcze postacie nie były niczym wyjątkowym. Załatany Bęben zazdrośnie strzegł swego wizerunku stylowej tawerny o najgorszej reputacji w Ankh-Morpork; wielki troll, pilnujący drzwi, starannie selekcionował klientów, dbając o takie elementy jak czarne płaszcze, błyszczące oczy, magiczne miecze i tym podobne. Rincewind nigdy się nie dowiedział, jaki los spotykał tych, którzy się nie zakwalifikowali. Może troll ich zjadał.

Kiedy postać przemówiła, gardłowy głos rozległ się z głębi czarnego aksamitnego kaptura obszytego futrem.

— Przepraszam — powiedział głos.

— Nie gniewam się — odparł Rincewind, który osiągnął już taki stan umysłu, że nie mógł się powstrzymać. — Ale pracuję nad tym.

— Szukam maga — wyjaśnił głos. Brzmiał chrapliwie od prób zamaskowania samego siebie, ale znowu, pod Bębem nie było to nic niezwykłego.

— Jakiegoś konkretnego maga? — spytał ostrożnie Rincewind. Zadając pytania można się wpędzić w kłopoty.

— Takiego, który jest wierny tradycji i który zechce podjąć ryzyko dla wielkiej nagrody — oznajmił inny głos. Zdawało się, że dobiega z okrągłego skórzanego pudła pod pachą przybysza.

— Ach... — mruknął Rincewind. — To zawęża krąg poszukiwań. Czy przewidywana jest niebezpieczna wyprawa do nieznanych i prawdopodobnie groźnych krain?

— W rzeczy samej.

— Spotkania z niezwykłymi stworami? — Rincewind uśmiechnął się.

— Możliwe.

— Niemal pewna śmierć?

— Prawie na pewno.

Rincewind kiwnął głową i sięgnął po kapelusz.

— No cóż, życzę ci szczęścia w poszukiwaniach — rzekł. — Chętnie bym pomógł, ale nie mam zamiaru.

— Co?

— Przykro mi. Sam nie wiem czemu, ale perspektywa pewnej śmierci w obcej krainie, w szponach niezwykłego stwora, jakoś do mnie nie przemawia. Próbowałem, ale nie potrafię zrozumieć, o co w tym chodzi. Każdemu, co mu się należy, a ja zostałem stworzony do nudy.

Wbił kapelusz na głowę i wstał trochę chwiejnie. Dotarł już do schodów wiodących na ulicę, gdy głos za jego plecami oświadczył:

— Prawdziwy mag by nie odmówił.

Mógł iść dalej. Mógł wspiąć się na schody, wyjść na ulicę, wziąć pizzę z klat-
chiańskiego baru przy Alei Prychnięć, położyć się spać.

Historia świata potoczyłaby się całkiem inaczej i byłaby znacznie krótsza. Ale
przynajmniej przespałby noc spokojnie, chociaż na podłodze.

Przyszłość wstrzymała oddech, czekając, aż Rincewind odejdzie.

Nie zrobił tego z trzech powodów. Pierwszym był alkohol. Drugim maleń-
ka iskierka dumy, płonąca w sercu nawet najostrożniejszego tchórza. Natomiast
trzecim był głos.

Brzmiał cudownie. Brzmiał wprost jedwabście.

Sprawa magów i seksu jest skomplikowanym problemem. Ale, jak już nie-
jednokrotnie wskazywano, w największym skrócie sprowadza się do tego: jeśli
chodzi o wino, kobiety i śpiew, magowie mogą upijać się do nieprzytomności
i zawodzić, ile tylko dusza zapagnie.

Młodym adeptom wyjaśnia się, że praktyka magiczna jest trudna, wymagająca
i nie do pogodzenia z nieestetycznymi, ukradkowymi zajęciami. O wiele rozsąd-
niej będzie, tłumaczy się im, jeśli przestaną się martwić tymi sprawami i wezmą
się porządnie za „Elementarz okultyzmu”. To zabawne, ale młodych magów wca-
le to nie satysfakcjonuje. Podejrzewają, że prawdziwym powodem jest fakt two-
rzenia reguł przez starych magów. O słabej pamięci. Mylą się całkowicie, choć
istotnie, prawdziwy powód już dawno uległ zapomnieniu: gdyby magom pozwo-
lono mnożyć się na prawo i lewo, światu groziłoby czarodzielstwo.

Oczywiście, Rincewind bywał tu i tam, widział to i owo, i zdołał w dużym
stopniu pozbyć się studenckich uwarunkowań. Potrafił na przykład spędzić kil-
ka godzin w towarzystwie kobiety bez konieczności wejścia pod zimny prysznic
i odetchnięcia świeżym powietrzem. Ale ten głos nawet posąg skłoniłby do zej-
ścia z piedestału, kilku szybkich okrążeń boiska i pięćdziesięciu pompek. Zwykle
„dzień dobry” wypowiedziane tym głosem brzmiałoby jak zaproszenie do łóżka.

Postać zrzuciła kaptur i wstrząsnęła długimi włosami. Były niemal idealnie
białe. A że skórę miała opaloną na złoto, ogólny wygląd trafiał w męskie libido
niczym ołowiana rura.

Rincewind zawahał się i stracił doskonałą okazję, by żyć w spokoju. Ze szczy-
tu schodów dobiegł chrapliwy głos trolla:

— Zara, mówiłem chyba, że nie macie tu włączyć. . . Dziewczyna przyskoczyła
i wcisnęła w ręce Rincewinda okrągłe skórzane pudło.

— Szybko! Musisz pójść ze mną — rzuciła. — Grozi ci wielkie niebezpie-
czeństwo!

— Dlaczego?

— Bo cię zabiję, jeśli nie pójdziesz.

— Tak, ale chwileczkę, w takim przypadku. . . — protestował słabo Rince-
wind.

Na schodach stanęło trzech członków osobistej gwardii patrycjusza. Ich przywódca z zadowoleniem rozejrzał się po sali. Uśmiech sugerował, że on jeden miał się cieszyć swoim żartem.

— Niech nikt się nie rusza — zaproponował.

Rincewind usłyszał tupot za plecami — kolejni gwardziści nadchodzili przez tylne drzwi.

Pozostali klienci Bębna znieruchomieli z dłońmi na rękojeściach. Przybysze nie byli zwykłymi miejskimi strażnikami, ostrożnymi i sympatycznie skorumpowanymi. Ci byli chodzącymi zwałami mięśni, przy tym absolutnie nieprzekupnymi, choćby dlatego, że patrycjusz mógłby przelicytować każdego. A poza tym nie zwracali uwagi na nikogo prócz kobiety. Reszta klienteli rozluźniła się i przygotowała do przedstawienia. Być może warto będzie włączyć się do zabawy, kiedy stanie się jasne, która strona wygrywa.

Rincewind poczuł, że ktoś ściska go za rękę.

— Oszalałaś? — syknął. — Chcesz Jemu wchodzić w drogę?

Coś świsnęło i w ramieniu sierżanta pojawiła się nagle rękojeść noża. Dziewczyna odwróciła się błyskawicznie i z chirurgiczną precyzją trafiła drobną stopą w krocze pierwszego gwardzisty, który przestąpił próg. W dwudziestu parach oczu stanęły łyzy współczucia.

Rincewind przytrzymał swój kapelusz i spróbował zanurkować pod najbliższy stół, jednak dziewczyna trzymała go w żelaznym uścisku. Następny gwardzista, który usiłował atakować, dostał nożem w udo. Potem wydobyła miecz podobny do bardzo długiej igły i uniosła go groźnie.

— Ktoś jeszcze? — zapytała.

Jeden z napastników wymierzył kuszę. Bibliotekarz, siedzący w kucki nad swoim piwem, leniwie wyciągnął rękę — podobną do związanych gumą dwóch kijów od mioteł — i przyłożył mu z lekkiego rozmachu. Bełt odbił się od gwiazdy na kapeluszu Rincewinda i trafił w ścianę obok szacownego sutenera, siedzącego o dwa stoły dalej. Jego ochroniarz rzucił nożem, o włos chybiając pewnego złodzieja na drugim końcu sali. Ten chwycił ławę i walnął nią w dwóch gwardzistów, którzy potracili najbliższych pijących. Potem sytuacja rozwinęła się jakoś naturalnie i wkrótce wszyscy już walczyli, żeby się wyrwać, uciec albo wyrównać rachunki.

Rincewind poczuł, że jest nieustępliwie wciągany za bar. Właściciel siedział na swoich workach pieniędzy pod ladą, z dwoma maczetami skrzyżowanymi na kolanach, i przy drinku rozkoszował się chwilą spokoju. Od czasu do czasu krzywił się tylko, słysząc trzask łamanych mebli.

Zanim stracił z oczu salę, Rincewind zdążył jeszcze zobaczyć bibliotekarza. Orangutan wyglądał co prawda jak owłosiony gumowy worek pełen wody, ale wagą i zasięgiem ramion nie ustępował nikomu w tawernie. W tej chwili siedział na ramionach strażnika i z pewnymi sukcesami próbował odkręcić mu głowę.

Rincewinda bardziej zaniepokoił fakt, że jest wciągany na Piętro.

— Droga pani — odezwał się z desperacją w głosie. — Co pani zamierza uczynić?

— Czy jest tam wyjście na dach?

— Tak. Co znajduje się w tym pudle?

— Pssst!

Zatrzymała się na zakręcie brudnego korytarza, sięgnęła do sakiewki u pasa i rozsypała po podłodze za sobą garść niewielkich metalowych obiektów. Każdy z nich wykonany był z czterech gwoździ zlutowanych razem tak, że jakkolwiek by nie upadły, jeden zawsze sterczał do góry.

Krytycznie przyjrzała się najbliższym drzwiom.

— Nie masz przypadkiem przy sobie czterech stóp linki? — spytała rozmazana. Wyjęta jeszcze jeden nóż i podrzucała go w dłoni.

— Raczej nie — odparł słabym głosem Rincewind.

— Szkoda. Skończyła mi się. No dobrze, chodźmy.

— Dlaczego? Ja przecież nic nie zrobiłem!

Podeszła do okna, pchnęła okiennice i przystanęła z nogą na parapecie.

— Doskonale — rzuciła przez ramię. — Zostań więc i wytłumacz to gwardzistom.

— Dlaczego cię ścigają?

— Nie wiem.

— Niemożliwe! Musi być jakiś powód.

— Och, jest mnóstwo powodów. Po prostu nie wiem, o który im chodzi. Idziesz czy nie?

Rincewind zawahał się. Osobista gwardia patrycjusza nie była szeroko znana ze swego odpowiedzialnego podejścia do utrzymywania porządku wśród miejscowej społeczności; zwykle woleli odrąbywać z tej społeczności niewielkie kawałki. Wśród obiektów, których nie aprobowali, znajdowali się, hm... wszyscy ludzie żyjący w tym samym universum. Ucieczka przed nimi zostanie pewnie uznana za ciężkie przestępstwo.

— Myślę, że chyba z tobą pójdę — oznajmił rycersko. — Młoda dziewczyna nie powinna samotnie chodzić po mieście.

* * *

Marznąca mgła zasnęła ulice Ankh-Morpork. Pochodnie ulicznych straganów wyglądały jak niewielkie żółte aureole wśród mętnych oparów. Dziewczyna wyjrzała za róg.

— Zgubiliśmy ich — oznajmiła. — Przestań się trząść. Nic ci już nie grozi.

— Chcesz powiedzieć, że zostałem sam na sam z żeńskim maniakalnym mordercą? Doskonale.

Odpreżyła się i uśmiechnęła do niego.

— Obserwowałam cię. Jeszcze godzinę temu obawiałeś się, że twoja przyszłość będzie nudna i nieciekawa.

— Chcę, żeby była nudna i nieciekawa — odparł Rincewind z goryczą. — Boję się, że będzie krótka.

— Odwróć się — poleciła, skręcając w ciemny zaułek.

— Nigdy w życiu.

— Zamierzam zdjąć ubranie.

Rincewind odwrócił się błyskawicznie, czerwony jak burak. Za sobą usłyszał szelest, owionął go zapach...

— Możesz się już obejrzieć — zezwoliła po chwili.

Nie obejrzał się.

— Nie martw się. Włożyłam inne.

Otworzył oczy. Dziewczyna miała na sobie skromną suknię z białej koronki z pięknymi bufiastymi rękawami. Otworzył usta. Z absolutną wyrazistością uświadomił sobie, że do tej chwili jego kłopoty były proste, dziecinne... Nic, z czego nie potrafiłby się wyłgać, gdyby tylko dano mu szansę, albo przynajmniej chwilę przewagi w ucieczce. Mózg zaczął wysyłać pilne wiadomości do mięśni przygotowując je do biegu, zanim jednak dotarły do celu, znowu chwyciła go za rękę.

— Nie wiem, czemu jesteś taki nerwowy — powiedziała słodko. — Chodź, przyjrzyjmy się temu...

Zdjęta wieko z pudła tkwiącego w zdętwiałych dłoniach Rincewinda i wyjęła kapelusz nadrektora.

Oktaryny zajaśniały wszystkimi ośmioma barwami widma, stwarzając w zamglonej alei wizję, dla realizacji której środkami nie magicznymi trzeba by zaangażować doświadczonego eksperta od efektów specjalnych i wyposażyć go w całą baterię gwiazdzistych filtrów. Kiedy uniosła go w górę, rozbłysnął mgławicą kolorów, jakie niewielu ludzi ma szansę legalnie oglądać.

Rincewind osunął się na klęczki.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Kolana ci zmiękły?

— To... to ten kapelusz. To kapelusz nadrektora! — wykrztusił z trudem Rincewind. Oczy mu błysnęły. — Ukradłaś go! — wykrzyknął.

Poderwał się i sięgnął do błyszczącego ronda.

— To tylko kapelusz.

— Oddaj mi go natychmiast! Kobietom nie wolno go dotykać! Należy do magów!

— Czemu się tak irytujesz?

Rincewind otworzył usta. Rincewind zamknął usta.

Chciał powiedzieć: czy nie rozumiesz, że to kapelusz nadrektora? Noszony jest przez głowę wszystkich magów, to znaczy na głowie głowy wszystkich magów, nie, metaforycznie rzecz ujmując noszony jest przez wszystkich magów, przynajmniej potencjalnie, i każdy mag pragnie go włożyć, to symbol zorganizowanej magii, szczyt kariery, cel, wszystko, co znaczy dla każdego maga. . .

I tak dalej. Już pierwszego dnia na Uniwersytecie Rincewind miał wykład o kapeluszu i wiadomości zapadły w jego chłonny umysł niczym ołowiany ciężarek w galarecie. Niewielu rzeczy na świecie był pewien, ale przynajmniej tego, że kapelusz nadrektora jest bardzo ważny. Może nawet magom potrzebna jest w życiu odrobina magii.

Rincewindzie, odezwał się kapelusz.

Rincewind spojrzał na dziewczynę.

— Przemówił do mnie!

— Taki głos w głowie?

— Tak!

— Do mnie też się odzywał.

— Ale wiedział, jak mam na imię!

Pewnie, że mierny, durniu jeden. W końcu jesteśmy magiczni.

Głos był nie tylko tkaninowy. Miał również dziwnie chóralne brzmienie, jakby mnóstwo głosów mówiło równocześnie i niemal idealnie równo.

Rincewind opanował się.

— O wielki i wspaniały kapeluszu — zaczął pompatycznie. — Poraż tę zuchwałą dziewczynę, która miała czelność, nie, miała. . .

Zamknij się, dobrze? Ukradła nas, ponieważ jej to poleciliśmy. I zdążyła w ostatniej chwili.

— Ale przecież ona. . . — Rincewind zająknął się. — Ona jest żeńskiego rodzaju. . . — wymamrotał.

Tak jak twoja matka.

— Niby tak, ale moja matka uciekła, zanim się urodziłem — mruknął Rincewind.

Ze wszystkich marnych tawern w całym mieście, do których mogłaś wejść, weszłaś akurat do tej, poskarżył się kapelusz.

— Nie mogłam znaleźć innego maga — wyjaśniła dziewczyna. — A ten wyglądał odpowiednio. Miał „Maggus” wypisane na kapeluszu i w ogóle.

Nie wierz we wszystko, co przeczytasz. Zresztą teraz już za późno. Zostało nam niewiele czasu.

— Zaraz, zaraz — wtrącił nerwowo Rincewind. — Co się właściwie dzieje? Sam chciałeś, żeby cię ukradła? Dlaczego niewiele czasu nam zostało? — Oskarżycielskim gestem wyciągnął rękę i wskazał kapelusz. — A poza tym nie możesz

tak sobie pozwalać się ukraść! Powinieneś znajdować się... na głowie nadrektora. Wieczorem odbywa się ceremonia, sam miałem tam być...

Cos strasznego dzieje się na Uniwersytecie. Jest niezwykle ważne, abyśmy tam nie wracali. Rozumiesz? Musicie zabrać nas do Klatchu, gdzie żyje ktoś odpowiedni, by nas włożyć.

— Dlaczego?

W głosie było coś niezwyklego, uznał Rincewind. Nieposłuszeństwo wydawało się niemożliwe, jakby słowa przedstawiały niewzruszone przeznaczenie. Gdyby ten głos kazał mu skoczyć w przepaść, byłby już pewnie w połowie drogi, zanim przyszyłoby mu do głowy, żeby zaprotestować.

Zbliża się zguba całej magii.

Rincewind rozejrzał się niepewnie.

— Dlaczego? — zapytał.

Świat się kończy.

— Co, znowu?

Nie przesadzamy, dodał smętnie kapelusz. Tryumf Lodowych Gigantów, Apokryf, Podwieczorek Bogów i cała reszta.

— Możemy temu zapobiec?

Przyszłość w tym względzie jest niepewna.

Z twarzy Rincewinda powoli zniknął wyraz stanowczej grozy.

— To jakaś zagadka — domyślił się.

Może będzie łatwiej, jeśli zrobisz, czego się od ciebie wymaga i nie będziesz się starał rozumieć, odparł kapelusz. Młoda kobieto, włożysz nas z powrotem do pudła. Już wkrótce będzie nas poszukiwać bardzo wielu ludzi.

Zaraz, momencik — wtrącił Rincewind. — Widywałem cię i przecież od lat i nigdy nie słyszałem, żebyś mówił.

Nie mieliśmy nic, co należałoby powiedzieć.

Rincewind kiwnął głową. To brzmiało rozsądnie.

— Może wepchnij go do pudła i chodźmy stąd — zaproponowała dziewczyna.

— Trochę szacunku, panienko — rzeki z godnością Rincewind. — Tak się składa, że zwracasz się do symbolu pradawnej magii.

— Więc ty go nieś.

— Zaczekaj — zawołał, maszerując w ślad za dziewczyną. Minęli kilka alejek, przekroczyli wąską ulicę i wkroczyli w zaułek między parą domów pochylających się do siebie tak pijacko, że ich górne piętra się stykały. Zatrzymała się.

— Słucham? — rzuciła.

— Jesteś tym tajemniczym złodziejem, prawda? — zapytał. — Wszyscy o tobie mówią. Podobno umiesz wynieść coś nawet z zamkniętych skarbców i w ogóle. Inaczej sobie ciebie wyobrażałem...

— Doprawdy? — spytała zimno. — A jak?

— No więc jesteś... niższa.

— Daj spokój.

Uliczne latarnie, w tej części miasta i tak niezbyt popularne, zniknęły zupełnie. Otaczała ich czujna ciemność.

— Chodźmy — powiedziała. — Czego się boisz?

Rincewind nabrał tchu.

— Morderców, rabusiów, złodziei, zamachowców, kieszonkowców, rzeźmieszków, zbójców, łupieżców, szmuglerów, gwałcicieli i włamywaczy — wyrzucił z siebie. — Przecież wchodzimy na Mroki!⁸

— Owszem, ale za to nie będą nas tutaj szukać.

— Ależ będą. Przyjdą za nami, tyle że już nie wyjdą. My też nie. Rozumiesz, taka piękna kobieta jak ty... Nawet nie chcę o tym myśleć. Niektórzy z tutejszych mieszkańców...

— Przecież będziesz mnie bronił — odparła.

Rincewind miał wrażenie, że o kilka ulic dalej słyszy czyjeś kroki.

A wiesz. — westchnął. — Domyślałem się, że to powiesz. Po tych groźnych zaułkach mężczyzna musi maszerować bez wahania. A w niektórych może się puścić biegiem.

* * *

W tę mglistą wiosenną noc na Mrokach jest tak czarno, że w ciemności nie dałoby się czytać opisu wędrówki Rincewinda przez złowieszcze uliczki. Deskryptywny fragment wzniesie się zatem ponad poziom ozdobnych dachów i las poskręcanych kominów, by podziwiać kilka migotliwych gwiazd, których blask zdołał przebić kłęby mgły. Postara się ignorować dobiegające z dołu dźwięki: tupot nóg, świsty, trzaski, jęki, zduszone krzyki. Możliwe, że jakieś dzikie zwierzę spaceruje po Mrokach, po dwóch tygodniach głodowej diety.

Niedaleko centrum Mroków — w regionie, którego dokładnych map nigdy nie wykreślono — znajduje się niewielki dziedziniec. Tutaj przynajmniej wiszą na murach pochodnie, choć światło, jakie rzucają, jest światłem samych Mroków: groźne, poczerwieniałe, ciemne u swego jądra.

Rincewind wtoczył się na dziedziniec i oparł ciężko o mur. Tuż za nim stanęła w rdzawym blasku dziewczyna; podśpiewywała coś pod nosem.

— Nic ci nie jest? — zapytała.

— Nurrghnie — odparł Rincewind.

⁸W publikowanym przez Gildię Kupców Ankh-Morpork przewodniku „Witajcie w Ankh-Morpork, grodzie tysiąca niespodzianek”, dzielnica Starego Morpork znana jako Mroki opisywana jest jako „malowniczy labirynt starych zaułków i uliczek, gdzie przygoda i romans czyhają za każdym rogiem, gdzie słyszać tradycyjne uliczne wołania z dawnych czasów; także roześmiane oblicza lokatorstwa, zajmującego się własnymi sprawami”. Innymi słowy, zostaliście ostrzeżeni.

— Słucham?
— Ci ludzie — wybełkotał. — No wiesz, to jak kopnęłaś go w... I jak złapałaś tamtych za... I kiedy dźgnęłaś tamtego prosto w... Kim ty jesteś?
— Mam na imię Conena.
Przez chwilę Rincewind przyglądał się jej tępo.
— Przykro mi — stwierdził. — Jakoś sobie nie przypominam.
— Przyjechałam tu niedawno.
— Rzeczywiście. Nie podejrzewałem, żebyś pochodziła z tych okolic. Coś bym słyszał.
— Wynajęłam tu kwaterę. Może wejdziemy?

Rincewind zerknął na nierówny drąg, ledwie widoczny w mglistym świetle skwierczących pochodni. Informował, że gospoda za niskimi drzwiczkami nazywa się „Pod Łbem Trolla”.

Można by sądzić, że Załatany Bęben — scena niegodnych zajęć sprzed godziny — to nędzna, podejrzana tawerna. Tymczasem jest to tawerna znana ze swojej złej reputacji. Jej klienci posiadają swoją szorstką dumę. Mogą spokojnie wymordować się nawzajem, jak równi równych, ale nie robią tego złośliwie. Dziecko mogłoby wejść do środka i kupić szklanekę lemoniady, ryzykując tylko, że dostanie w ucho, kiedy matka usłyszy jego wzbogacone słownictwo. W spokojne noce, kiedy właściciel był pewien, że bibliotekarz nie przyjdzie, podobno stawiał nawet na barze miseczki fistaszków.

„Łeb Trolla” był bagnem zupełnie innej barwy. Jego klienci, gdyby poprawili się, umyli i ogólnie zmienili swój wizerunek nie do poznania, mogliby — ale nie na pewno — uchodzić za najgorsze męty ludzkiego rodzaju. A na Mrokach męt to męt.

Przy okazji: ten przedmiot na drażu to nie szyld. Kiedy już postanowili nazwać gospodę „Pod Łbem Trolla”, to nie dla żartów.

Czując mdłości, przyciskając do piersi mrukliwe pudło na kapelusz, Rincewind wszedł do środka.

Cisza. Omotała ich niemal tak gęsta, jak dym z dziesiątka substancji, które gwarantowały przerobienie na ser każdego normalnego mózgu. Przez zasłonę dymu spoglądały na nowo przybyłych podejrzliwe oczy.

Para kości zagrzecotała i znieruchomiła na stole. Zdawało się, że dźwięk ten jest bardzo głośny. Prawdopodobnie nie pokazały szczęśliwej liczby Rincewinda.

Podążając za pełną godności, drobną postacią Coneny, świadom był spojrzeń kilkudziesięciu klientów. Zerknął na boki; zobaczył złowrogie oblicza mężczyzn, którzy szybciej by go zabili niż pomyśleli, a nawet przyszloby im to z większą łatwością.

Tam, gdzie przyzwoita tawerna miałaby bar, tu stał tylko rząd grubych czarnych butelek i parę wielkich beczek na kozłach pod ścianą.

Cisza zaciskała się jak gumowa opaska. Lada chwila, pomyślał, Rincewind...

Potężny, gruby mężczyzna, ubrany jedynie w futrzaną kamizelę i skórzaną przepaskę, odsunął stołek, podniósł się i mrugnął chytrze do kolegów. Kiedy otworzył usta, przypominały obrębianą czarną dziurę.

— Szukasz chłopca, maleńka? — zapytał.

Przyjrzała mu się.

— Proszę dać mi spokój.

Wąż śmiechów przesunął się po sali. Usta Coneny zamknęły się niczym skrzynka na listy.

— Ho ho — bulgotał grubas. — To dobrze. Lubię takie zadziorne. . .

Dłoń Coneny poruszyła się nagle. Zmieniła się w jasną smugę zatrzymującą się tutaj. . . i tutaj. . . Po kilku sekundach głębokiego zdumienia napastnik stęknął cicho i bardzo powoli osunął się na podłogę.

Rincewind cofnął się, gdyż wszyscy obecni w gospodzie pochylili się do przodu. Instynkt kazał mu uciekać, ale wiedział, że ten instynkt natychmiast doprowadziłby go do zguby. Na zewnątrz czaiły się Mroki. Cokolwiek go teraz czeka, przydarzy się tutaj. Nie była to pocieszająca myśl.

Czyjaś dłoń zastoniła mu usta. Dwie inne wyrwały z rąk pudło. Conena wymięła go i, unosząc suknię, trafiła zgrabną stopą w cel tuż przy pasie Rincewinda. Ktoś jęknął mu do ucha i upadł. Dziewczyna zakreśliła się z gracją, chwytając po drodze dwie butelki, odbijając im denka o półkę i nieruchomiejąc z wysuniętymi do przodu nierównymi krawędziami szkła. Morporskie sztylety, jak je nazywano w ulicznej gwarze.

Widząc je, klientela „Łba Trolla” straciła zainteresowanie.

— Ktoś porwał kapelusz — wymamrotał Rincewind przez zaschnięte wargi. — Uciekli tylnymi drzwiami.

Spojrzała gniewnie i skoczyła do wyjścia. Bywalcy „Łba” rozstąpili się przed nią odruchowo, niczym rekiny rozpoznające pobratymca. Rincewind pomknął jej śladem, nie czekając, aż podejmą decyzję w jego sprawie.

Wybiegli w sąsiedni zaułek i popędzili przed siebie. Rincewind starał się dostrzymać kroku Conenie; ludzie biegnący za nią często wpadali na ostre przedmioty. A nie był pewien, czy będzie pamiętać, że jest po jej stronie, niezależnie od tego, która to strona.

Padła rzadka, niepewna mżawka. Na końcu zaułka coś jaśniało słabym, błękitnym światłem.

— Czekaj!

Przerażenie w głosie Rincewinda wystarczyło, by zwolniła.

— Co się dzieje?

— Dlaczego się zatrzymał?

— Zapytam go — oznajmiła stanowczo.

— Dlaczego jest obsypany śniegiem?

Zatrzymała się, wsparta dłońmi pod boki i niecierpliwie tupiała nogą o mokre kamienie.

— Rincewindzie, znam cię dopiero od godziny i jestem zdumiona, że przeżyłeś tak długo.

— Tak... Ale jednak przeżyłem, prawda? Mam do tego talent. Pytaj kogokolwiek. Jestem nałogowcem.

— Nałogowcem czego?

— Życia. Przyzwyczailem się bardzo wcześnie. A teraz nie chcę rezygnować, nie chcę, żeby ktoś mi je zabrał. To zwyczajnie nie wypada.

Conena obejrzała się na postać złodzieja, otoczonego błękitną aurą. Wydawało się, że patrzy na coś, co trzyma w rękach.

Śnieg opadał mu na ramiona jak ciężki łupież. Śmiertelny łupież. Rincewind miał instynkt w takich sprawach i żywił głębokie podejrzenie, że człowiek ten odszedł tam, gdzie nie pomoże mu żaden szampon.

Podeszli bliżej, trzymając się blisko wilgotnego muru.

— Jest w nim coś dziwnego — przyznała po chwili.

— Chodzi ci o to, że ma osobistą zamieć?

— Ale chyba mu to nie przeszkadza. Uśmiecha się.

— Sztwywny uśmiech, można by powiedzieć.

Obwieszona soplami dłoń mężczyzny zdejmowała z pudła wieko, a oktaryny świeciły jasno prosto w parę chciwych oczu, grubo już pokrytych szronem.

— Znasz go? — spytała Conena. Rincewind wzruszył ramionami.

— Widziałem go parę razy — mruknął. — Nazywają go Larry Lis, Fezzy Gronostaj czy jakoś tak. W każdym razie jakiś gryzoń. Po prostu kradnie różne rzeczy. Jest nieszkodliwy.

— Wygląda na bardzo zmarzniętego. — Conena zadrżała.

— Przypuszczam, że odszedł do cieplejszego miejsca. Nie sądzisz, że powinniśmy zamknąć pudło?

Teraz nic już wam nie grozi, zabrzmiał z wnętrza pudła głos kapelusza. Tak zginą wszyscy nieprzyjaciele magii.

Rincewind nie miał zamiaru ufać tym słowom.

— Przydałoby się coś do zasunięcia wieka — stwierdził. — Nóż albo coś takiego... Nie masz przypadkiem?

— Odwróć się — ostrzegła Conena.

Coś zaszeleściło, zapachniały perfumy.

— Już możesz patrzeć.

Wręczyła Rincewindowi dwunastocalowy nóż. Wziął go ostrożnie. Na klindze błyszcząły drobne cząsteczki metalu.

— Dziękuję. — Odwrócił się. — Nie będzie ci potrzebny?

— Mam więcej.

— Nie wątpię.

Ostrożnie wyciągnął rękę. Zbliżając się do pudła, ostrze pobiełało i zaczęło parować. Rincewind jęknął cicho, gdy chłód dotarł do dłoni — palący, kłujący chłód, płynący wzdłuż ramienia i szturmujący umysł. Mag zmusił zdrętwiałe palce do działania i z wielkim wysiłkiem pchnął wieko czubkiem noża.

Blask przygasł. Śnieg zmienił się w deszcz, potem w lekką mżawkę.

Conena wyjęła pudło z zamrzniętych rąk.

— Szkoda, że nic dla niego nie możemy zrobić. Jakoś nieładnie tak go tutaj zostawiać.

— Nie będzie mu to przeszkadzać — zapewnił Rincewind z przekonaniem.

— Tak... Ale moglibyśmy przynajmniej oprzeć go o mur. Albo co...

Rincewind skinął głową i chwycił zamrzniętego złodzieja za ozdobione soplami ramię. Ten wysliznął się i upadł na kamienie bruku.

I roztrzaskał się na kawałki.

— Oj — powiedziała.

Jakiś hałas dobiegł z końca zaułka, od strony tylnych drzwi „Łba Trolla”. Rincewind poczuł, że wyrwano mu nóż z ręki, a potem ten sam nóż przefrunął koło jego ucha po płaskiej trajektorii, kończącej się we framudze o dziesięć sążni od nich. Wsunięta zza drzwi głowa cofnęła się pospiesznie.

— Lepiej już chodźmy — rzuciła Conena. — Czy możemy się gdzieś ukryć? Może u ciebie?

— Zwykle śpiam na Uniwersytecie — wyjaśnił Rincewind, goniąc ją truchtem.

Nie wolno wam wracać na Uniwersytet, oznajmił kapelusz z głębin swojego pudła. Rincewind przytaknął obojętnie. Ten pomysł i tak niezbyt mu się podobał.

— Zresztą, nie wpuszczają tam kobiet po zmroku.

— A przed zmrokiem?

— Też nie.

Conena westchnęła.

— To głupie. Co właściwie wy, magowie, macie do kobiet?

Rincewind zmarszczył brwi.

— Właśnie nic nie powinniśmy mieć do kobiet. Na tym cała rzecz polega.

* * *

Posępne szare mgły kłębiły się w dokach Morpork, ściekały kroplami z olinowania, zwiąjały się wokół pijanych dachów, czały w zaułkach. Niektórzy uważali, że nocą doki są jeszcze bardziej niebezpieczne od Mroków. Dwaj rabusie, drobny złodziejasek i jeszcze ktoś, kto po prostu puknął Conenę w ramię, zdążyli się już o tym przekonać.

— Czy pozwolisz zadać sobie pytanie? — odezwał się Rincewind, przestępując nad nieszczęśliwym przechodniem, zwiniętym w kłębek wokół swojego osobistego cierpienia.

— Słucham.

— Rozumiesz, nie chciałbym cię urazić.

— Słucham.

— Rzecz w tym, że trudno nie zauważyć. . .

— Tak?

— Dość dziwnie traktujesz obcych ludzi. — Rincewind uchylił się, ale nic groźnego nie nastąpiło.

— Co ty tam robisz na dole? — spytała zgryźliwie Conena.

— Przepraszam.

— Wiem, co sobie myślisz. Nic nie poradzę, mam to po ojcu.

— A kim on był? Cohenem Barbarzyńcą? — Rincewind uśmiechnął się, by pokazać, że to tylko żart. A przynajmniej desperacko wykrzywił wargi w półksiężyc.

— Nie ma w tym nic zabawnego, magu.

— Co?

— To przecież nie moja wina.

Rincewind bezgłośnie poruszał ustami.

— Przepraszam — wykrztusił wreszcie. — Ale czy dobrze zrozumiałem? Cohen Barbarzyńca naprawdę jest twoim ojcem?

— Tak. — Dziewczyna spojrzała z ukosa. — Każdy przecież musi mieć ojca. Nawet ty, jak sądzę.

Wyjrzała za róg.

— Nikogo. Możemy iść — rzuciła, a potem, kiedy szli już po mokrym bruku, podjęła: — Przypuszczam, że twój ojciec był magiem?

— Nie sądzę. Magom nie wolno zakładać rodzin. — Zawahał się. Znał Cohena, był nawet gościem na którymś z jego wesel, kiedy żenił się z dziewczyną w wieku Coneny. Cohen, można powiedzieć, każdą godzinę wypychał minutami. — Wielu ludzi chciałoby mieć coś po Cohenie. Wiesz, był najwspanialszym wojownikiem, najsprytniejszym złodziejem, umiał. . .

— Wielu mężczyzn, z pewnością — burknęła Conena. Przystanęła i oparła się o mur. — Jest takie długie słowo. . . Zdradziła mi je pewna czarownica. Nie mogę sobie przypomnieć. . . Wy, magowie, znacie się na długich słowach.

Rincewind poszukał w pamięci długich słów.

— Marmolada? — spróbował.

Z irytacją potrząsnęła głową.

— Oznacza, że bierzesz coś od rodziców.

Rincewind zmarszczył brwi. W kwestii rodziców nie był najlepiej zorientowany.

— Kleptomania? Recydywista? — zaryzykował.

— Zaczyna się na D.

— Dalekowzroczność?

— Dziedzyczność — oznajmiła Conena. — Czarownica mi to wytłumaczyła. Moja matka była tancerką w świątyni jakiegoś obłąkanego boga, a ojciec ją uratował i... i przez jakiś czas byli razem. Mówią, że po niej mam twarz i figurę.

— Bardzo piękne — stwierdził Rincewind z beznadziejną galanterią.

Zarumieniała się.

— Może i tak... Ale po nim mam ścięgna, na których można by zacumować łódź, refleks węża na gorącej blasze, potworną chęć wykradania obiektów i to straszne uczucie, że kiedy tylko kogoś spotykam, powinnam trafić go nożem w oko z dziewięćdziesięciu stóp. I umiem — dodała z odcieniem dumy w głosie.

— Do licha...

— To zniechęca do mnie mężczyzn.

— Trudno się dziwić — przyznał Rincewind słabym głosem.

— Rozumiesz, kiedy się dowiadują, trudno chłopaka przy sobie zatrzymać.

— Chyba że za gardło...

— Nie ma czasu zbudować podstawy trwałego związku.

— Nie. Rzeczywiście — zgodził się Rincewind. — Ale masz świetne podstawy, żeby zostać sławnym barbarzyńskim rabusiem.

— Ale nie żeby zostać fryzjerką — odparła Conena.

— Aha.

Wpatrywali się w mgłę.

— Naprawdę fryzjerką? — upewnił się Rincewind.

Conena westchnęła.

— Nie istnieje chyba odpowiednia klientela dla barbarzyńskiej fryzjerki — stwierdził Rincewind. — Nikt chyba nie miałby ochoty na mycie i ścięcie głowy.

— A za każdym razem, kiedy widzę zestaw do manicure, ogarnia mnie potworne pragnienie, żeby rąbać dookoła dwuręcznym nożem do skórek — wyznała Conena. — To znaczy mieczem.

Rincewind westchnął.

— Wiem, jak to jest — pocieszył ją. — Sam chciałem być magiem.

— Przecież jesteś magiem.

— No tak, ale...

— Cisza!

Rincewind został nagle przyciśnięty do muru, gdzie strużka skondensowanej mgły w nie wyjaśniony sposób zaczęła mu ściekać po szyi. Szeroki nóż do rzutów tajemniczo pojawił się w dłoni Coneny, która przyczaiła się niczym dzikie zwierzę z dżungli, albo — co gorsza — dzika kobieta z dżungli.

— Co... — zaczął Rincewind.

— Zamknij się! — syknęła. — Coś tu idzie!

Wyprostowała się, płynnym ruchem obróciła na jednej nodze i cisnęła nożem. Rozległ się pojedynczy, głuchy, drewniany stuk.

Conena patrzyła nieruchomo. Przynajmniej raz jej bohaterska krew, która płynęła w żyłach, topiąc wszelkie szanse na spokojne życie i różowy fartuszek, nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Właśnie zabiłam drewniany kufer — oznajmiła Conena.

Rincewind wyjrzał zza rogu.

Bagaż stał na mokrym bruku, z nożem drżącym jeszcze w wieku, i patrzył na nią. Potem nieco zmienił pozycję, małe nóżki poruszyły się w złożonym kroku tanga, i spojrzał na Rincewinda. Bagaż nie miał żadnych rysów twarzy, jeśli nie liczyć zamka i pary zawiasów, ale umiał się wpatrywać lepiej niż stado iguan. Mógłby wytrzymać pojedynek na spojrzenia ze szklanookim posągiem. A jeśli chodziło o wygląd zdradzonego nieszczęśnika, Bagaż mógłby zapędzić z powrotem do klatki przeciętnego kopniętego spaniela. Z boków sterczało mu kilka gro-tów strzał i połamanych mieczy.

— Co to jest? — szepnęła Conena.

— To tylko Bagaż — odparł znużonym tonem Rincewind.

— Jest twoją własnością?

— Właściwie nie. Częściowo.

— Czy jest niebezpieczny?

Bagaż znowu się przemieścił i spojrzał na nią.

— W tej kwestii są dwie szkoły — odparł Rincewind. — Niektórzy uważają, że jest niebezpieczny. Inni sądzą, że jest bardzo niebezpieczny. A co ty o tym myślisz?

Bagaż odrobinę uchylił wieko.

Bagaż zrobiony jest z drewna myślącej gruszy, rośliny tak magicznej, że na Dysku niemal wymarłej. Przetrwała w jednym czy dwóch miejscach. Przypomina wierzbówkę, tyle że zamiast w lejach bombowych, wyrasta w miejscach, które przetrwały potężne wyładowania magiczne. Tradycyjnie robi się z niej laski magów.

Wśród jego magicznych własności była również całkiem prosta i oczywista: za swoim adoptowanym właścicielem podążał wszędzie. Nie „wszędzie” w jakimś konkretnym układzie wymiarów, kraju, wszechświecie czy życiu. Wszędzie. Pozbyć się Bagażu było mniej więcej tak łatwo, jak pozbyć się kataru. I było to równie, może nawet bardziej, nieprzyjemne.

Ponadto Bagaż ochraniał swojego właściciela. Trudno byłoby opisać jego stosunek do reszty stworzenia, zacząć jednak można od określenia „piekielna złośliwość”, a potem posuwać się dalej.

Conena patrzyła na wieko. Bardzo przypominało usta.

— Sądzę, że wybrałabym „śmiertelnie niebezpieczny” — orzekła.

— Lubi chrupki — oświadczył Rincewind. Po czym dodał: — Nie, to może za mocno powiedziane. Zjada chrupki.

— A co z ludźmi?

— Ludzi też. Jak dotąd z piętnastu.

— Byli dobrzy czy źli?

— Myślę, że po prostu martwi. Zajmuje się też praniem. Wkłada mu się do środka ubranie, a potem wyjmuje się czyste i wyprasowane

— I poplamione krwią?

— A wiesz, to właśnie jest zabawne — zauważył Rincewind.

— Zabawne? — powtórzyła Conena, nie spuszczać wzroku z Bagażu

— Tak. Ponieważ, rozumiesz, wewnątrz nie zawsze jest takie samo. Istnieje tak jakby wielowymiarowo i...

— A jak traktuje kobiety?

— Nie jest wybredny. W zeszłym roku zjadł nawet księgę zaklęć. Przez trzy dni chodził osowiały, a potem ją wypluł.

— To okropne... — Conena cofnęła się nieco.

— A tak — zgodził się Rincewind. — Bez wątpienia.

— Chodzi mi o to, jak się gapi!

— Dobrze mu to wychodzi, prawda?

Musimy płynąć do Klatchu, zabrzmiał głos z pudła. Jedna z tych łodzi będzie odpowiednia. Zarekwirujcie ją.

Rincewind zerknął na niewyraźne, spowite mgłą kształty pod wznoszącym się wysoko lasem masztów. Tu i tam lampa pozycyjna wytwarzała rozmytą w mroku kulę światła.

— Trudno się sprzeciwić, co? — spytała współczująco Conena.

— Właśnie próbuję — odparł Rincewind. Krople potu błyszcząły mu na czole.

— *Wejdz na pokład*, nakazał kapelusz. Stopy Rincewinda poruszyły się wbrew woli właściciela.

— Dlaczego mi to robisz? — jęknął.

Ponieważ nie mam wyboru. Wierz mi, gdybym mógł znaleźć maga ósmego stopnia, wybrałbym jego. Nie wolno mnie wkładać!

— Dlaczego nie? Jesteś kapeluszem nadrektora.

I poprzez mnie przemawiają wszyscy nadrektorzy, jacy żyli na tym świecie — To ja jestem Uniwersytetem. Ja jestem Sztuka. Jestem symbolem magii opanowanej przez ludzi... I nie pozwolę, żeby mnie nosił czarodzielel.

Nie może być więcej czarodzieleli. Świat jest zbyt zużyty, żeby sobie pozwolić na czarodzielelstwo.

Conena odchrząknęła.

— Zrozumiałeś coś z tego? — spytała niepewnie.

— Zrozumiałem trochę, ale w to nie uwierzyłem — odparł Rincewind. Jego stopy tkwiły w miejscu, jakby wrosnięte w chodnik.

Nazwali mnie figureluszem. Głos wręcz ociekał sarkazmem. Grubi magowie, którzy zdradzają wszystko, czym był Uniwersytet, i jeszcze nazwali mnie figureluszem! Rincewindzie, nakazuje ci. I pani, madam. Służcie mi dobrze, a spełnię wasze najskrytsze pragnienia.

— Jak możesz spełnić moje najskrytsze pragnienie, skoro świat, ma się skończyć?

Kapelusz chyba się zastanawiał. *A nie masz przypadkiem najskrytszego pragnienia, które da się spełnić w parę minut?*

— A właściwie jak możesz czarować? Jesteś tylko... — Rincewind nie do końca.

Ja JESTEM magią. Prawdziwą magią. Poza tym nie można przez dwa tysiące lat dać się nosić największym magom świata, żeby się nie nauczyć tego czy owego. Ale do rzeczy. Musimy uciekać. Oczywiście z godnością.

Rincewind spojrział żałośnie na Conenę. Ta wzruszyła ramionami.

— Mnie nie pytaj — rzekła. — To mi wygląda na przygodę, a obawiam się, że jestem na nie skazana. Oto dziedziczość w działaniu⁹.

— Ale ja sobie z nimi nie radzę! Możesz mi wierzyć, przeżyłem, ich już dziesiątki! — zawodził Rincewind.

Ach... doświadczenie, pochwalił kapelusz.

— Wcale nie. Jestem okropnym tchórzem i zawsze uciekam. — pierś Rincewinda zafalowała gwałtownie. — Niebezpieczeństwo patrzyło mi prosto w kark chyba... no, setki razy!

Nie chcę, żebyś narażał się na niebezpieczeństwo.

— To świetnie.

Chcę, żebyś się od niebezpieczeństwa oddalił.

Rincewind oklapł.

— Dlaczego ja? — jęknął.

Dla dobra Uniwersytetu. Dla honoru wszystkich magów. Dla przyszłości świata. Dla spełnienia pragnień swego serca. I dlatego, że jeśli odmówisz, zamrozę cię żywcem.

Rincewind odetchnął niemal z ulgą. Nie znał się na przekupstwie, kuszeniu czy apelach do lepszych stron natury. Ale groźby... Na groźbach znalazł się doskonale. Wobec groźb wiedział przynajmniej, na czym stoi.

* * *

⁹Badania genetyczne na Dysku zostały zarzucone na wczesnym etapie, gdy magowie próbowali eksperymentalnie krzyżować tak znane obiekty jak groszek pachnący i muszka owocowa. Niestety, nie całkiem pojmowali podstawowe zasady i powstały w wyniku doświadczenia potomek - rodzaj zielonego, groszkowatego stworza, który brzęczał - wiódł krótkie i smutne życie, nim został pożarty przez przypadkowego pająka.

W dzień Pomniejszych Bóstw słońce weszło nad światem Dysku podobne do nie dogotowanego jaja. Mgły opłotły Ankh-Morpork wstęgami srebra i złota — wilgotne, ciepłe, bezgłośnie. Gdzieś w dali, na równinach, zagrział wiosenny grom. Wydawało się, że jest cieplej, niż być powinno.

Magowie zwykle śpią długo. Tego ranka jednak wielu z nich wstało wcześniej i włączyło się bez celu po korytarzach. Wyczuwali zmianę w powietrzu.

Uniwersytet wypełniał się magią.

Oczywiście, i tak zawsze był pełen magii, ale magii starej, wygodnej, równie ekscytującej i groźnej co domowy papuś. Lecz dzisiaj przez tę pradawną osnowę przesączała się nowa magia, ostra jak nóż i wibrująca, jasna i zimna jak błysk komety. Spływała przez kamienie i iskrzyła na krawędziach niby wyładowania elektrostacyjne na dywanie Stworzenia. Brzęczała i syczała. Zwijała brody magów, strzelała smugami oktarynowego dymu z palców, które od trzech dziesięcioleci nie robiły nic ponad drobne iluzje. Jak można delikatnie i gustownie opisać ten efekt? Większość magów przeżywała coś takiego, jak starzec, który spotkawszy młodą i piękną kobietę odkrywa nagle z przerażeniem i radością, że ciało jest równie chętne jak duch.

W halach i korytarzach Uniwersytetu powtarzano szeptem jedno słowo: Czarodzieństwo!

Sporo magów ukradkiem wypróbowało zaklęcia, których od lat nie mogli opanować, i patrzyło w zadziwieniu, jak rozwijają się perfekcyjnie. Z początku ostrożnie, potem z coraz większą pewnością, wreszcie z krzykami radości i entuzjazmu ciskali w siebie kulami ognistymi, wyciągali z kapeluszy żywe gołębie albo sprawiali, że barwne cekiny materializowały się w powietrzu,

Czarodzieństwo! Jeden czy dwóch magów, statecznych i poważnych, którzy jak dotąd nie uczynili nic bardziej niestosownego niż zjedzenie żywej ostrygi, stało się niewidzialnymi i goniło po korytarzach pokojówki i sprzątaczk.

Czarodzieństwo! Niektóre co śmielsze duchy wypróbowały starożytne zaklęcia lewitacji i teraz kołysały się niepewnie pod stropami.

Czarodzieństwo! Jedyne bibliotekarz nie podzielał tej maniakalnej radości. Przez pewien czas obserwował wybryki magów, ściągając swe chwytny wargi, po czym pospiesznie, na wszystkich czterech kończynach, ruszył do Biblioteki. Gdyby ktoś zwrócił na niego uwagę, usłyszałby jak rygluje drzwi.

W Bibliotece panowała śmiertelna cisza. Książki nie szarpały się już gorączkowo. Przeszły etap strachu i wpłynęły na spokojne wody absolutnej grozy. Kulily się na półkach niczym króliki w światłach samochodu.

Długie, kosmate ramię sięgnęło pewnie, pochwytyło „*Kompletny Leksykon Magii z Uwagami dla Oświeconych Mężów*”, zanim ten zdążył się cofnąć, pogładziło go uspokajająco dłonią o długich palcach, po czym otworzyło na „C”.

Bibliotekarz wygładził drżącą stronicę i przesuując po niej zrogowaciały paznokieć odszukał hasło:

Czarodzieciel, rz. (mityczne). *Proto-mag, brama, która magia nowa wkracza do świata tegoż, mag nie ograniczony przez możliwości ciała swego, ani też Przeznaczenie, ni Śmierć. Zapisano, że żyli kiedyś czarodzieiele w młodości świata, lecz być ich już nie może i błogostawione to Losu zrządzenie, Czarodzieielstwo bowiem, nie będąc ludziom przeznaczonym, powrotem swym do Końca Świata tego niechybnie by doprowadziło... Gdyby Stwórca chciał, by ludzie byli niczym Bogowie, dałby im skrzydła. PATRZ RÓWNIEŻ: Apokralipsa, legenda o Lodowych Gigantach, także Podwieczorek Bogów.*

Bibliotekarz sprawdził odwołania, wrócił do pierwszego hasła i przez długi czas wpatrywał się w nie ciemnymi oczami. Potem odłożył książkę na miejsce, wpełzł pod biurko i naciągnął sobie dywan na głowę.

Jednak na galerii minstrelów nad Głównym Holem Carding i Spelter obserwowali wydarzenia w całkiem innym nastroju.

Stojąc tak obok siebie, wyglądali niemal dokładnie jak liczba 10.

— Co się dzieje? — zapytał Spelter. Miał za sobą bezsenność i nie myślał zbyt jasno.

— Magia napływa do Uniwersytetu — odparł Carding. — To właśnie oznacza czarodzieiel. Kanał dla magii. Prawdziwej magii, mój chłopcze. Nie tej smętnej i zużytej, jaka musiała nam wystarczać przez ostatnie kilka wieków. To świt... e...

— Nowego, hm, świtu?

— Właśnie. Czas cudów, ten, no...

— *Anus mirabilis?*

Carding zmarszczył czoło.

— Tak — przyznał po chwili. — Przypuszczam, że właśnie coś takiego. Potrafisz dobierać słowa.

— Dziękuję, bracie.

Starszy z magów zignorował tę poufałość. Oparł się na rzeźbionej poręczy i obserwował magiczne efekty w dole. Odruchowo sięgnął do kapciucha z tytoniem, ale cofnął dłoń. Uśmiechnął się, pstryknął palcami i zapalone cygaro zmateriałizowało mu się w ustach.

— Od lat mi to nie wychodziło — westchnął. — Wielkie zmiany, mój chłopcze. Oni jeszcze tego nie rozumieją, ale nadszedł koniec Obrządków i Stopni. Były tylko... systemem racjonowania. Nie będą już potrzebne. Gdzie chłopak?

— Jeszcze śpi... — zaczął Spelter.

— Tu jestem — oznajmił Coin.

Stał w przejściu prowadzącym do kwater starszych magów. Trzymał w ręku oktironową laskę, półtora raza wyższą od siebie. Cienkie żyłki żółtego ognia jarknęły się na czarnej matowej powierzchni, tak ciemnej, że przypominała rozcięcie

w rzeczywistości świata.

Spelter poczuł, że spojrzenie złocistych oczu przenika go, jak gdyby najskrytsze myśli wyświetlały się na wewnętrznej stronie czaszki.

— Ach — zawołał głosem, który uważał za wesoły i przyjazny, ale który przypominał raczej śmiertelny rechot. Po takim początku sytuacja mogła się tylko pogorszyć. I rzeczywiście. — Widzę, że, hm, wstałeś — powiedział.

— Drogi chłopcze — dodał Carding.

Coin zmierzył go przeciągłym, lodowatym spojrzeniem.

— Widziałem cię wczoraj — oświadczył. — Czy jesteś potężny?

— Tylko trochę — zapewnił pospiesznie Carding, pamiętając o skłonnościach chłopca, by magię traktować jak grę na śmierć i życie w kulki. — Ale z pewnością nie tak potężny jak ty.

— Czy zostanę mianowany nadrektorem, jak chce moje przeznaczenie?

— Ależ oczywiście. Bez wątplenia. Czy mogę obejrzeć twoją laskę? Bardzo interesujące rzeźbienia. . .

Wyciągnął pulchną dłoń.

W każdym przypadku byłoby to wstrząsające naruszenie etykiety. Żaden mag bez wyraźnego przyzwolenia nie powinien nawet myśleć o dotykaniu laski innego maga. Jednak są ludzie, którzy nie wierzą, by dzieci były do końca ludźmi. Sądzą, że w stosunku do nich funkcjonowanie zwykłych dobrych manier ulega zawieszeniu.

Palce Cardinga objęty czarną laskę.

Zabrzmiał dźwięk, który Spelter raczej wyczuł niż usłyszał, a Carding przeleciał przez całą galerię i uderzył o ścianę z odgłosem worka smalcu spadającego na chodnik.

— Nie rób tego — powiedział Coin. Odwrócił się i spojrzał poprzez poblądłego Speltera. — Pomóż mu wstać — dodał. — Chyba nie odniósł większych obrażeń.

Kwestor podbiegł do ściany i pochylił się nad dyszącym ciężko Cardingiem, którego twarz przybrała dziwną barwę. Poklepał go po ręku. Carding otworzył jedno oko.

— Widziałeś, co się stało? — wyszeptał.

— Nie jestem pewien — syknął Spelter. — Hm. A co się stało?

— Ugryzła mnie.

— Następnym razem, kiedy dotkniesz mojej laski — rzucił obojętnie Coin — zginiesz. Czy to jasne?

Carding podniósł głowę, ostrożnie, żeby się nie rozpadła.

— Całkowicie — zapewnił.

— A teraz chciałbym obejrzeć Uniwersytet — poinformował chłopiec. — Wiele o nim słyszałem. . .

Spelter pomógł Cardingowi stanąć na drżących nogach i podtrzymywał go, gdy posłusznie truchtali za czarodzieciem.

— Nie dotykaj jego laski — wymruczał Carding.

— Oczywiście, hm, zapamiętam — obiecał Spelter. — Jakie to było uczucie?

— Czy kiedyś ukąsiła cię żmija?

— Nie.

— W takim razie zrozumiesz, jakie to uczucie.

— Hm?

— To wcale nie było podobne do ukąszenia żmii.

Spiesznie podążali za Coinem, który stanowczym krokiem zszedł po schodach i przez zniszczone drzwi wkroczył do Głównego Holu i Spelter wysunął się naprzód, pragnąc wyrzucić dobre wrażenie.

— To jest Główny Hol — oznajmił. Coin skierował na niego swe złociste oczy i mag poczuł, że zasycha mu w ustach. — Został tak nazwany, ponieważ jest to hol, rozumiesz. I jest główny.

Odchrząknął.

— To duży hol — dodał, usiłując ocalić resztki rozsądku przed wypaleniem w blasku tego spojrzenia. — Wielki główny hol. I dlatego tak go nazywamy.

— Kim są ci ludzie? — spytał Coin. Wyciągnął laskę.

Przyglądający mu się magowie odskoczyli, jakby laska była miotaczem ognia.

Spelter podążył spojrzeniem za wzrokiem czarodziecia. Coin wskazywał dekorujące ściany portrety i posągi dawnych nadrektorów. Brodaci, w szpiczastych kapeluszach, ściskający ozdobne pergaminy lub trzymający tajemnicze i symboliczne przyrządy astrologiczne, spoglądali w dół z szaleńczym poczuciem własnej ważności.

— Dwustu wspinających magów spogląda na ciebie z tych ścian — oznajmił Carding.

— Nie dbam o nich — odparł Coin, a z jego laski trysnął oktarynowy płomień. Nadrektorzy zniknęli.

— I okna są za małe. . .

— Sufit za wysoko. . .

— Wszystko takie stare. . .

Magowie padli na ziemię, a laska płonęła i pluła ogniem. Spelter naciągnął kapelusz na oczy i wtoczył się pod stół, a wokół niego falowała sama tkanka Uniwersytetu. Trzeszczało drewno, stękały kamienie.

Coś stuknęło go w głowę. Wrzasnął.

— Przestań! — zawołał Carding, przekrzykując hałas. — I popraw kapelusz! Okaż trochę godności!

— To dlaczego jesteś pod stołem? — spytał z przekąsem Spelter.

— Musimy wykorzystać okazję!

— Co? Jak wtedy z laską?

— Za mną!

Spelter wypełził na jasny, nowy, jaskrawy świat.

Zniknęły szorstkie kamienne mury. Zniknęły ciemne krokwie, gdzie mieszkały sowy. Zniknęła posadzka z oszałamiającym wzrok układem białych i czarnych kafelków.

Zniknęły również wysokie, małe okienka z ich delikatną patyną starożytnego brudu. Do sali po raz pierwszy wpadały jaskrawe strugi słonecznego światła.

Magowie spoglądali po sobie rozdziawiając usta, a to, co widzieli, różniło się od tego, co zawsze myśleli, że widzą. Surowy blask transmutował bogate złote hafty w zakurzoną poźłotę, kosztowne tkaniny w wytarty i wyblakły aksamit, przemienił piękne i obfite brody w poplamione nikotyną kłaki, zdradził, że wspaniałe diamenty są drugorzędnymi ramtopowymi kryształami. Czyste światło badało i sondowało, odpędzając znajome i wygodne cienie.

Spelter musiał przyznać, że to, co pozostało, nie poprawiało samopoczucia. Nagle aż nadto wyraźnie zdał sobie sprawę, że pod szatą — pogniecioną i wyblakłą, co uświadomił sobie z kolejnym spazmem wyrzutów sumienia; szatą dziurawą w miejscu, gdzie dostały się do niej myszy — wciąż nosi domowe kapcie.

Sala była teraz prawie w całości zbudowana ze szkła. A co nie zostało zrobione ze szkła, wykonano z marmuru. Wyglądała tak porażająco wspaniale, że Spelter poczuł się niegodny.

Obejrzał się na Cardinga i zobaczył, że mag spogląda na Coina błyszczącymi oczyma.

Na twarzach większości zebranych tu magów malowało się coś bardzo podobnego. Gdyby nie pociągała ich moc, nie byłiby magami, a tu zobaczyli prawdziwą potęgę. Laska oczarowała ich jak flet zaklinacza kobrę.

Carding wyciągnął rękę, by poklepać Coina po ramieniu, ale po chwili wahania zrezygnował.

— Wspaniale — powiedział tylko.

Uniósł ręce i zwrócił się do obecnych magów.

— Bracia moi! — zaintonował. — Mamy wśród nas maga o wielkiej potędze!

Spelter pociągnął go za rękaw.

— Niewiele brakowało, a by cię zabił — szepnął.

Carding zignorował go.

— Proponuję zatem... — Odchrząknął. — Zgłaszam jego kandydaturę na nadrektora!

Przez chwilę trwała cisza, potem zabrzmiały krzyki entuzjazmu pomieszane z protestami. Gdzieś w tylnych szeregach wybuchły kłótnie. Magowie z przednich woleli się nie sprzeciwiać. Widzieli uśmiech na twarzy Coina. Był jasny i zimny, niczym uśmiech na tarczy księżyca.

Nastąpiło poruszenie i do przodu precyzyjnie przesunął się stary mag. Spelter rozpoznał Ovina Hakardly'ego, maga siódmego stopnia i wykładowcę Sztuki. Był cały czer-

wony z gniewu — z wyjątkiem tych miejsc, gdzie zbladł z wściekłości. Kiedy przemówił każde słowo przewiercało powietrze jak nóż, przycięte jak krzew i twarde jak sucharek.

— Oszalałeś?— zapytał.— Jedyne mag ósmego stopnia może zostać nadrektorem! I musi być wybrany przez innych najpoważniejszych magów wspólnie zgromadzonych! (Należycie kierowanych przez bogów, ma się rozumieć.) Tak każe Sztuka! (Co za pomysł!)

Hakardly studiował Sztukę magii od lat, a że magia zwykle bywa procesem obustronnym, wycisnęła i na nim swoje piętno. Robił wrażenie kruchego jak serowy paluszek, a w jakiś nie wyjaśniony sposób oschłość jego wiedzy dała mu zdolność wymawiania znaków interpunkcyjnych.

Coin uniósł łaskę.

Hakardly ostrzegawczo uniósł palec.

— Nie przestraszysz mnie, młody człowieku — warknął. — Może i jesteś utalentowany, ale same magiczne talenty nie wystarczą. Są inne cechy, niezbędne wielkiemu magowi. Na przykład zdolności administracyjne, mądrość albo...

Coin opuścił łaskę.

— Zasady Sztuki odnoszą się do wszystkich magów, prawda? — zapytał.

— Bez wyjątku! Zostało to zapisane...

— Ale ja nie jestem magiem, lordzie Hakardly.

Mag zawahał się.

— Aha — mruknął i zawahał się znowu. — Słuszna uwaga — dodał.

— Jestem za to świadom, że niezbędne mi są mądrość, zdolność przewidywania i dobra rada. Będę zaszczycony, jeśli zechcesz zapewnić mi te cenne towary. Na przykład: dlaczego magowie nie rządzą światem?

— Co?

— To proste pytanie. W tej sali znajduje się... — Przez ułamek sekundy wargi Coina poruszały się bezgłośnie. — ...czterystu siedemdziesięciu dwóch magów, wyćwiczonych w najsubtelniejszej ze sztuk. A jednak wszystko, czym władacie, to paręset sążni dość marnej architektury. Dlaczego tak się dzieje?

Najstarsi z magów wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Tak może się wydawać — rzekł w końcu Hakardly. — Ale, moje dziecko, władamy dziedzinami poza zasięgiem ziemskich potęg. — Oczy mu rozbłyły. — Magia potrafi przenieść umysł do wewnętrznych krajobrazów najwyższej...

— Tak, tak — przerwał mu Coin. — Ale wokół Uniwersytetu wznoszą się bardzo grube mury. Dlaczego?

Carding oblizał wargi. To niewiarygodne. Ten dzieciak wypowiadał głośno jego własne myśli.

— Szukacie potęgi — mówił słodkim głosem Coin. — A jednak, poza tymi murami, dla człowieka, który wywozi ścieki albo przeciętnego kupca, czy naprawdę tak wielka różnica dzieli maga od zwykłego kuglarza?

Hakardly przyglądał mu się z absolutnym i nieskrywanym zdziwieniem.

— Dziecko moje, ta różnica jest oczywista nawet dla najbardziej tępego mieszczucha — powiedział. — Same szaty i ozdoby. . .

— No tak — rzekł Coin. — Szaty i ozdoby. Oczywiście. Krótka, ciężka i pełna znaczeń cisza wypełniła salę.

— Wydaje mi się — odezwał się w końcu Coin — że magowie rządzą jedynie magami. A kto włada rzeczywistością na zewnątrz?

— Jeżeli mowa o mieście, to patrycjusz, lord Vetinari — poinformował Carding z niejaką ostrożnością.

— Czy jest dobrym i sprawiedliwym władcą?

Carding zastanowił się. Szpiedzy patrycjusza byli podobno znakomici.

— Moim zdaniem — rzekł niepewnie — jest on niedobry i niesprawiedliwy, ale skrupulatnie bezstronny. Jest niedobry i niesprawiedliwy dla każdego; nikogo nie oszczędza i nikogo nie wyróżnia.

— I jesteście z tego zadowoleni?

Carding starał się unikać wzroku Hakardly'ego.

— Nie chodzi tu o zadowolenie — zapewnił. — Przypuszczam, że nikt z nas się nad tym nie zastanawiał. Prawdziwym powołaniem maga, rozumiesz, jest. . .

— Czy to istotnie prawda, że mędrcy pozwalają w taki sposób sobą rządzić?

Carding zgrzytnął zębami.

— Oczywiście, że nie. Nie bądź głuptasem! Po prostu tolerujemy to. Na tym polega mądrość, co sam odkryjesz, kiedy dorośniesz. Chodzi o to, żeby zyskać na czasie. . .

— Gdzie jest ten patrycjusz? Chciałbym z nim porozmawiać.

— Można to zorganizować, naturalnie. Patrycjusz zawsze łaskawie udziela magom audiencji i. . .

— Dzisiaj ja mu udzielię audiencji — oświadczył Coin. — Musi zapamiętać, że magowie dość już zyskali na czasie. Cofnijcie się, proszę.

Wymierzył łaskę.

* * *

Aktualny władca rozległego miasta Ankh-Morpork siedział na stołku u stóp stopni prowadzących do tronu, szukając czegoś, co zdołałby rozpoznać w raportach rozpoznania. Tron stał pusty od ponad dwóch tysięcy lat, od śmierci ostatniego z rodu monarchów Ankh. Legenda głosiła, że pewnego dnia miasto znowu będzie miało króla, po czym wikłała się w rozmaitych komentarzach o magicznych mieczach, znamionach w kształcie truskawki i innych rzeczach, o których legendy paplają w takich okolicznościach.

Tymczasem w chwili obecnej jedyną liczącą się kwalifikacją króla byłaby zdolność przeżycia dłużej niż pięciu minut po ujawnieniu magicznych mieczy albo znamion. Wielkie rody kupieckie z Ankh, które rządziły miastem od dwudziestu wieków, były mniej więcej tak chętne do oddania władzy, jak przeciętny mięczak do porzucenia swojej skały.

Obecny patrycjusz, głowa niewiarygodnie bogatego i potężnego rodu Vetinari, był chudy, wysoki i z pozoru tak zimnokrwisty jak martwy pingwin. Raz spojrzawszy na niego można było zgadnąć, że powinien trzymać na kolanach białego kota i głaskać go obojętnie, jednocześnie skazując ludzi na śmierć w zbiorniku z piraniami; można było się założyć — o sporo — że kolekcjonuje rzadką porcelanę i obraca ją w swych sinobladych palcach, gdy z głębi lochów dochodzą echa dalekich krzyków. Można by go podejrzewać, że używa słowa „wyśmienicie” i ma wąskie wargi. Wyglądał na człowieka, którego mrugnięcia zaznacza się w kalendarzu.

Praktycznie rzecz biorąc żaden z tych faktów nie miał miejsca, chociaż istotnie, patrycjusz posiadał podstarzałego teriera ostrowłosego imieniem Szczekacz, który brzydko pachniał i kichał na ludzi. Oczywiście, czasem patrycjusz torturował obywateli na śmierć, jednak przytłaczająca większość obywateli¹⁰ akceptowała takie postęпки, uznając je za rzecz u władcy całkiem naturalną. Mieszkańcy Ankh są ludźmi praktycznymi; uważali, że patrycjuszowi wiele można wybaczyć za edykt, zakazujący występów ulicznych teatrów i mimów. Lord Vetinari nie wprowadzał rządów terroru, jedynie od czasu do czasu zaprowadzał terrorem porządek.

Teraz westchnął i odłożył ostatni raport na szczyt sporego stosu obok stoika.

Jako mały chłopiec oglądał kiedyś akrobatę, który utrzymywał w powietrzu dziesięć wirujących talerzy. Gdyby potrafił wykonać tę sztuczkę z setką, myślał lord Vetinari, byłby niemal gotów, by rozpocząć szkolenie w sztuce rządzenia Ankh-Morpork, miastem, które opisano kiedyś porównując do przeoranego kopca termitów, ale bez jego uroku.

Spojrzał przez okno na odległą kolumnę Wieży Sztuk, ośrodka Niewidocznego Uniwersytetu. Zastanowił się odruchowo, czy któryś z tych starych durniów mógłby wymyślić lepszy sposób porządkowania wszystkich tych papierów. Oczywiście że nie... Trudno oczekiwać, by mag zrozumiał coś tak podstawowego, jak elementarny wywiad cywilny.

Westchnął znowu i podniósł zapis tego, co przewodniczący gildii Złodziei powiedział swojemu zastępcy o północy w dźwiękoszczelnym pokoju za swym gabinetem w budynku gildii. I nagle...

Znalazł się w Głównym Ho...

¹⁰Przytłaczająca większość obywateli zdefiniowana jest w tym przypadku jako wszyscy, którzy aktualnie nie wiszą głową w dół nad studnią ze skorpionami.

Znalazł się nie w Głównym Holu Niewidocznego Uniwersytetu, gdzie przeżył kilka nie kończących się bankietów, ale otaczali go liczni magowie i byli...

...inni.

Podobnie jak Śmierć, do którego — zdaniem pewnych pechowych obywateli — był niezwykle podobny, patrycjusz nigdy się nie złościł, dopóki nad tym nic pomyślał. Ale czasem myślał bardzo szybko.

Przyjrzał się magom. Mieli w sobie coś, co sprawiło, że słowa wściekłości utknęły mu w krtani. Przypominali owce, które znalazły więzionego w sidłach wilka dokładnie w tej samej chwili, kiedy usłyszały, że jedność oznacza siłę. Mieli coś takiego w oczach...

— Co ma oznaczać ten skan... — zawahał się i dokończył: — ...ten wypadek? Czyżby jakiś figiel w dzień Pomniejszych Bóstw?

Odwrócił głowę i spojrzał prosto w oczy chłopca trzymającego długą metalową laskę. Dzieciak uśmiechał się najstarszym uśmiechem jaki patrycjusz oglądał w swoim życiu.

Carding odchrząknął.

— Panie... — zaczął.

— Wykrztuście wreszcie — warknął lord Vetinari.

Carding był człowiekiem skromnym, ale głos patrycjusza okazał się o włos nazbyt władczy. Mag zacisnął palce, aż pobiegały mu kostki.

— Jestem magiem ósmego stopnia — oznajmił cicho. — I nie będziesz się do mnie zwracał takim tonem.

— Dobrze powiedziane — pochwalił Coin.

— Zabierzcie go do lochów — polecił Carding.

— Nie mamy lochów — przypomniał Spelter. — To uniwersytet.

— Więc zamknijcie go w piwnicy na wino — rzucił Carding. — A jak już będziecie tam na dole, to zbudujcie jakieś lochy.

— Czy masz choćby najmniejsze pojęcie, co właściwie robisz? — wtrącił patrycjusz. — Żądam, żeby mi wyjaśniono...

— Niczego nie żądasz — przerwał mu Carding. — Natomiast wszystko to oznacza, że od tej chwili będą rządzić magowie, jak zostało im to przeznaczone. Odprowadźcie...

— Wy? Rządzić Ankh-Morpork? Magowie, którzy ze sobą ledwie mogą dojść do ładu?

— Tak!

Carding był świadom, że nie jest to ostatnie słowo w tej wymianie zdań. Jeszcze bardziej świadom był faktu, że pies Szczekacz, teleportowany wraz ze swoim panem, przydreptał leniwie i krótkowzrocznymi oczami wpatrywał się w buty maga.

— Zatem wszyscy prawdziwie mądrzy obywatele będą woleli bezpieczeństwo przytulnego, głębokiego lochu — stwierdził patrycjusz. — A teraz skończcie z ty-

mi głupstwami i przenieście mnie do pałacu. Wtedy możliwe, zaledwie możliwe, że nie będę więcej o tym mówił. Albo przynajmniej, że wy nie będziecie już mieli szansy.

Szczekacz zrezygnował z badania butów Cardinga i potruchtał do Coina, gubiąc po drodze kilka włosów.

— Ta... ta pantomima trwa już za długo — oznajmił patrycjusz.

— Mam zamiar...

Szczekacz warknął. Był to głęboki, pierwotny warkot, który trącił strunę gatunkowej pamięci wszystkich obecnych, budząc w nich i nagłe pragnienie wspięcia się na drzewo. Sugerował smukłe szare sylwetki polujące u zarania czasu. Zaskakujące, że zwierzak tak niewielki mieścił w sobie tyle złości, a cała ona skierowana była przeciwko lasce w dłoni Coina.

Patrycjusz zrobił kilka kroków, zamierzając złapać psa, a Carding uniósł rękę i posłał ku niemu strumień pomarańczowego i błękitnego ognia.

Patrycjusz znikł. W miejscu, gdzie stał jeszcze przed chwilą, mała żółta jaszczurka mrugała i spoglądała na ludzi ze złośliwą gadzią głupotą.

Carding przyjrzał się w zdumieniu własnym palcom, jakby je widział po raz pierwszy.

— No dobrze — wyszeptał chrapliwie.

Magowie popatrzyli na jaszczurkę, potem na miasto migoczące w porannym słońcu. Gdzieś tam byli rajcowie, straż miejska, Gildia Złodziei, Gildia Kupców, kapłani... i nikt nie wiedział, co ich już wkrótce czekało,

* * *

Zaczęło się, oznajmił kapelusz ze swojego pudła, stojącego na pokładzie.

— Co takiego? — nie zrozumiał Rincewind.

Panowanie czarodziejstwa.

Rincewind spojrzał niepewnie.

— To dobrze czy źle?

Czy ty w ogóle rozumiesz, co się do ciebie mówi?

W tym temacie Rincewind czuł się pewniej.

— Nie — odparł. — Nie zawsze. Nie ostatnio. Nieczęsto.

— Czy masz pewność, że jesteś magiem? — wtrąciła Conena.

— To jedyne, czego w ogóle jestem pewien — odparł z przekonaniem.

— Dziwne.

Rincewind przysiadł na Bagażu, w blasku słońca, na pokładzie „Tancerza Oceanu”, który sunął spokojnie przez zielonkawę wody Okrągłego Morza. Marynarze

wokół zajęci byli czymś, co uważał za ważne marynarskie zadania. Miał nadzieję, że wykonują je prawidłowo, ponieważ zaraz po wysokościach najbardziej na świecie nienawidził głębin.

— Wyglądasz na zmartwionego — zauważyła Conena, która przycinała mu włosy.

Rincewind starał się jak najbardziej zmniejszyć własną głowę. Tuż przy skórze błyskały ostrza.

— To dlatego, że jestem.

— A co to właściwie jest Apokralipsa?

Mag zawahał się.

— Jakby to... — mruknął. — Coś w rodzaju końca świata.

— Coś w rodzaju? Coś w rodzaju końca świata? To znaczy, że nie będziemy pewni? Rozejrzemy się i powiemy „Przepraszam bardzo, czy ktoś coś słyszał?”

— Rzecz w tym, że żadnych dwóch jasnowidzów nie doszło jeszcze do zgody w tej kwestii. Istnieje mnóstwo mglistych przepowiedni. Dlatego nazwano to Apokralipsa. — Zakłopotany, wzruszył ramionami. — Tak jakby Apokryficzną Apokalipsą. Taki żart słowny.

— Niezbyt dobry.

— Nie. Chyba nie.

Nożyczki Coneny dźwięczały pracowicie.

— Kapitan chyba się ucieszył, że wchodzimy na pokład — powiedziała.

— Bo wydaje im się, że mag na pokładzie to szczęśliwy traf — wyjaśnił Rincewind. — Mylą się, oczywiście.

— Chyba wielu ludzi w to wierzy.

— Och, dla nich to jest szczęśliwy traf. Ale nie dla mnie. Nie umiem pływać.

— Co? Nie przepłyniesz ani kawałka?

Rincewind zawahał się i delikatnie poprawił gwiazdę na kapeluszu.

— Powiedz, jak głębokie jest tutaj morze? Tak w przybliżeniu.

— Sądzę, że jakieś dwanaście sążni — odparła Conena.

— W takim razie umiałbym chyba przepłynąć około dwunastu sążni, czymkolwiek one są.

— Przestań się tak trząść — burknęła Conena. — Niewiele brakowało, a obcięłabym ci ucho. — Spojrzała gniewnie na przechodzącego marynarza i zamachała nożyczkami. — O co chodzi? Nigdy nie widziałeś, jak ktoś się strzyże?

Ktoś na rei rzucił uwagę, która wywołała falę rubasznego śmiechu między bramsłami... chyba że były to kubryki.

— Będę udawać, że tego nie słyszałam — oznajmiła Conena i mocno szarpnęła grzebieniem, porywając liczne spokojne małe stworzonka.

— Au!

— Mówiłam, żebyś się nie ruszał.

— Trudno siedzieć spokojnie wiedząc, kto wywija mi koło głowy parą stalowych ostrzy!

I tak minął poranek, wśród pluskających fal, trzeszczenia lin i wystrzygania dość skomplikowanej, cieniowanej fryzury. Oglądając się w odprysku lustra, Rincewind musiał przyznać, że nastąpiła znaczna poprawa.

Kapitan poinformował, że kierują się do miasta Al Khali, na osiowym wybrzeżu Klatchu.

— Jak Ankh, tylko z piaskiem zamiast błota — stwierdził Rincewind, opierając się o reling. — Ale też ze słynnym targiem niewolników.

— Niewolnictwo jest niemoralne — oświadczyła stanowczo Conena.

— Naprawdę? Coś podobnego.

— Może przystrzygę ci brodę? — zaproponowała z nadzieją w głosie.

I znieruchomiała ze wzniesionymi nożyczkami, wpatrzona w morze.

— Jacy to żeglarze mogą pływać w pirogach z jakimś dodatkowym kawałkiem z boku, z czymś w rodzaju czerwonego oka wymalowanym z przodu i małym żaglem? — spytała.

— Słyszałem o klatchiańskich piratach, łowcach niewolników — odpowiedział Rincewind. — Ale to duży statek. Żadna piracka łódź nie odważyłaby się nas zaatakować.

— Jedna nie — zgodziła się Conena, wciąż zapatrzona w mglisty region, gdzie morze staje się niebem. — Ale tych pięć może.

Rincewind spojrział w daleką mgiełkę, potem zerknął na marynarza w bocianym gnieździe. Tamten pokręcił głową.

— Daj spokój — parsknął z wesołością godną zatkanej rynny. — Przecież nic tam nie widzisz. Prawda?

— Dziesięciu ludzi w każdej łodzi — oznajmiła posępnie Conena.

— Jeśli to ma być żart. . .

— Z długimi, zakrzywionymi mieczami.

— W każdym razie ja nic. . .

— . . . a ich długie i niezbyt czyste włosy powiewają na wietrze. . .

— I pewnie końce im się rozszczępią — mruknął kwaśno Rincewind.

— Drwiesz sobie ze mnie.

— Ja?

— A ja stoję tu całkiem bezbronna — westchnęła Conena i rozejrzała się po pokładzie. — Założę się, że na tym statku nie znajdzie się ani jeden przyzwoity miecz.

— Nie przejmuj się. Może chcą tylko umyć głowy.

Kiedy Conena przeszukiwała gorączkowo swoje rzeczy, Rincewind przysunął się do pudła z kapeluszem nadrektora i ostrożnie uniósł wieko.

— Tam nic nie ma, prawda? — zapytał.

A skąd mogę wiedzieć? Włóż mnie.

— Jak? Na głowę?

O bogowie!

— Ale przecież nie jestem nadrektorem! Wiem, że trzeba zachować chłodny umysł, ale...

Muszę skorzystać z twoich oczu. Włóż mnie. Na głowę.

— Hm...

Zaufaj mi.

Rincewind nie mógł nie posłuchać. Delikatnie zdjął swój pognieciony stary kapelusz, spojrzął tęsknie na wytartą gwiazdę, po czym wyjął z pudła kapelusz nadrektora. Okazał się cięższy, niż można by przypuszczać. Oktaryny nad rondem jaśniały lekko.

Opuścił delikatnie nakrycie głowy na swoją nową fryzurę, mocno ściskając rondo na wypadek, gdyby poczuł pierwsze lodowate dotknięcie chłodu.

Tymczasem poczuł się niezwykle lekko. Pojawiło się też poczucie ogromnej wiedzy i mocy, nie do końca obecnych, ale — mówiąc w przenośni — będących na czubku metaforycznego języka.

Przez myśli przemknęły mu jakieś strzępy wspomnień, a nie pamiętał, by wcześniej je pamiętał. Musnął je lekko, jak się dotyka językiem bolącego zęba, i znalazł...

Dwustu martwych nadrektorów, niknących jeden za drugim w szarej, zimnej przeszłości, spoglądało na niego pustymi, szarymi oczami. To dlatego jest taki zimny, pomyślał. Ciepło wsiąka w krainę zmarłych. Och, nie...

Gdy kapelusz przemówił, Rincewind zobaczył, jak porusza się dwieście par bladych warg.

Kim jesteś?

Rincewindem, pomyślał Rincewind. A gdzieś w mrocznych zakamarkach umysłu usiłował dyskretnie i na osobności pomyśleć: ratunku.

Poczuł, że kolana uginają mu się pod ciężarem stuleci.

Jak to jest: być martwym? pomyślał.

Śmierć jest tylko snem, odparli martwi magowie.

Ale jakie to uczucie?

Zyskasz niezrównaną szansę sprawdzenia tego, Rincewindzie, kiedy dopłyną tu te wojenne pirogi.

Z okrzykiem grozy wyprostował ręce, zrywając z głowy kapelusz. Rzeczywiste obrazy i dźwięki napłynęły znowu, ale że ktoś rozpaczliwie walił w gong tuż przy jego uchu, trudno było uznać to za poprawę. Wszyscy już zobaczyli pirogi, sunące po wodzie w niesamowitej ciszy. Czarno odziani ludzie przy wiosłach powinni krzyczeć i nawoływać; nie poprawiłoby mu to nastroju, ale byłoby bardziej odpowiednie. Cisza świadczyła o nieprzyjemnej celowości ich ruchów.

— Bogowie, to było okropne — stwierdził. — Chociaż... to też jest.

Marynarze biegali po pokładzie z jataganami w rękach. Conena stuknęła go w ramię.

— Spróbują schwytać nas żywcem — powiedziała.

— Aha — odparł niepewnie Rincewind. — To dobrze. A potem przypomniał sobie coś na temat klatchiańskich łowców niewolników i nagle zaschło mu w gardle.

— Ty... To ty będziesz ich główną zdobyczą — oświadczył. — Słyszałem, co robią z...

— Powinam wiedzieć? — spytała Conena. Ku przerażeniu Rincewinda nie znalazła chyba żadnej broni.

— Wrzucą cię do seraju! Wzruszyła ramionami.

— Mogło być gorzej.

— Ale tam są takie kolce i kiedy zatrzasną drzwiczki... — zaryzykował Rincewind.

Pirogi podpłynęły już całkiem blisko. Widział zdeterminowane twarze wioślarzy.

— To nie seraj. To Żelazna Dziewica. Nie wiesz, co to jest seraj?

— No...

Wytłumaczyła mu. Poczzerwieniał.

— Zresztą najpierw będą musieli mnie złapać — oświadczyła Conena z godnością. — To raczej ty powinieneś się martwić.

— Dlaczego ja?

— Bo oprócz mnie tylko ty chodzisz w sukni.

— To szata! — nastroszył się Rincewind.

— Szata czy suknia... Miejmy nadzieję, że zauważą różnicę. Podobna do kiści upierścienionych bananów dłoń pochwyciła Rincewinda za ramię i szarpnęła mocno. Kapitan, Osianin o posturze niedźwiedzia, uśmiechnął się promiennie poprzez gęstsze zarostu.

— Ha! — rzekł. — Nie wiedzieć im, że maga na pokładzie mieć my! On zapalić w brzuchach im zielony gorący płomień! Ha?

Ciemne puszcze jego brwi zmarszczyły się nieco, gdy dotarło do niego, że Rincewind na razie nie jest gotów do ciskania w atakujących groźnymi zaklęciami.

— Ha? — nalegał. W jego ustach ta pojedyncza sylaba wykonywała dzieło całej wiązanki gróźb mrozących krew w żyłach.

— Tak, oczywiście... Ja tylko... muszę uspokoić umysł — zapewnił go Rincewind. — Tak, to właśnie muszę z nim zrobić. Zielony płomień, dobrze zrozumiałem?

— I także sprawić, że ołów roztopiony w żyłach im płynąć, skórę pokryć bąblami, a żywe, okrutne skorpiony wyjadać mózg od środka. I...

Czołowa piroga zrównała się ze statkiem i przez burtę przeleciało kilka kowczek. Gdy pojawili się pierwsi łowcy niewolników, kapitan dobył miecza i odbiegł. Zatrzymał się jeszcze i obejrzał na Rincewinda.

— Ty szybko uspokajając — zawołał. — Bo jak nie, to stracić umysł razem z głową. Ha?

Rincewind zerknął na Conenę, która oparta o reling egzaminowała swoje paznokcie.

— Lepiej bierz się do roboty — poradziła. — To razem pięćdziesiąt zielonych płomieni i porcji ołowiu, nie licząc pęcherzy i skorpionów. Nie okazuj litości.

— Zawsze zdarzają mi się takie rzeczy — jęknął w odpowiedzi. Wyjrzał przez reling na to, co uważał za główny pokład statku. Atakujący zwyciężali samą masą i liczebnością. Linami i sieciami oplątywali walczących marynarzy. Działali w całkowitym milczeniu, uderzali pałkami i uchylali się, w miarę możliwości nie używając mieczy.

— Nie chcę uszkodzić towaru — stwierdziła Conena. Rincewind spoglądał ze zgrozą, jak kapitan pada pod ciężarem ciemnych postaci.

— Zielony płomień! — wrzeszczał. — Zielony płomień!

Rincewind cofnął się. Nie radził sobie z czarami, ale jak dotąd miał sto procent sukcesów w ratowaniu własnego życia. Nie chciał popsuć sobie wyniku. Musiał tylko nauczyć się pływać w czasie, jaki zajmuje skok do morza. Warto było spróbować.

— Na co czekasz? — zwrócił się do Coneny. — Uciekajmy, póki są zajęci.

— Potrzebny mi miecz — odparła.

— Za chwilę będziesz mogła w nich przebierać.

— Wystarczy jeden. Rincewind kopnął Bagaż.

— Idziemy — rzucił. — Przed tobą długie pływanie. Bagaż z demonstracyjną nonszalancją wysunął swoje małe nóżki, odwrócił się powoli i opadł na pokład obok dziewczyny.

— Zdrajca — oświadczył Rincewind w stronę zawiasów.

Bitwa dobiegała już końca. Pięciu piratów wspinało się po drabinie na pokład rufowy, pozostawiając kolegom wiązanie pokonanych marynarzy. Przywódca zsunął maskę ze smagłej twarzy i zerknął łakomie na Conenę; potem odwrócił głowę i nieco dłużej przyglądał się Rincewindowi.

— To jest szata — wyjaśnił pospiesznie Rincewind. — I lepiej uważajcie, bo jestem magiem. — Nabrał tchu. — Spróbujcie mnie dotknąć, a ciężko tego pożałujecie. Ostrzegam.

— Mag? — zastanowił się dowódca piratów. — Magowie się nie nadają na dobrych, mocnych niewolników.

— Szczerza prawda! Jeśli zatem uznacie, że można mnie wypuścić...

Dowódca odwrócił się do Coneny, dając znak jednemu z kompanów. Wytatuowanym kciukiem wskazał Rincewinda.

— Nie zabijajcie go za szybko. Właściwie. . . — Obdarzył maga błyszczącym od zębów uśmiechem. — Może. . . Tak. Dlaczego by nie? Umiesz śpiewać, magu?

— Mógłbym umieć — przyznał czujnie Rincewind. — A dlaczego?

— Może właśnie kogoś takiego potrzebuje szeryf do pracy w haremie.

Kilku piratów parsknęło śmiechem.

— Wyjątkowa okazja — mówił dalej przywódca, zachęcony reakcją publiczności.

Rozległy się głośne pomruki aprobaty. Rincewind cofnął się.

— Raczej nie — stwierdził. — Ale dziękuję. Chyba się nie nadaję do takiej pracy.

— Ale możesz się nadać. — Oczy dowódcy rozbłyły. — To żaden kłopot.

— Na bogów. . . — mruknęła Conena.

Zerknęła na mężczyzn, stojących obok niej, i nagle poruszyła rękami. Ten, którego przebiła nożyczkami, mógł chyba uznać się za większego szczęściarza od kolegi, biorąc pod uwagę, jaką miazgę potrafi zrobić z ludzkiej twarzy żelazny grzebień. Conena pochyliła się natychmiast, chwyciła upuszczony przez rannego miecz i zaatakowała dwóch pozostałych.

Słyszając krzyki, dowódca odwrócił się i zobaczył za sobą kufer z otwartym wiekiem. Wtedy Rincewind z rozpędu trafił go w plecy i wepchnął w nicość, czekającą w wielowymiarowej głębinie Bagażu.

Zabrzmiał urwany nagle wrzask.

Potem rozległ się stuk, jakby zatrzaśkiwały się wrota piekła.

Rincewind odstał. Drżał cały.

— Wyjątkowa okazja — mrucał pod nosem. Dopiero teraz zrozumiał aluzje.

W każdym razie miał wyjątkową okazję podziwiania Coneny w walce. Nie wielu ludzi mogło to obejrzeć po raz drugi.

Ostatniego z gwardzistów dowódcy pozbyła się kilkoma pchnięciami, na widok których Rincewindowi łzy stanęły w oczach. Potem westchnęła tylko i przeskoczyła przez reling, lądując na głównym pokładzie. Ku irytacji maga, Bagaż rzucił się za nią; zamortyzował swój upadek, trafiając w jakiegoś pirata i zwiększając tym panikę wśród atakujących. Nie dość bowiem, że ze śmiertelną precyzją zaatakowała ich ładna dziewczyna w kwiecistej sukience, to depczący i gryzący element wyposażenia podróżnego okazał się jeszcze gorszym ciosem dla męskiego ego. . . Zresztą dla całej męskiej reszty także.

Rincewind wyjrzał przez reling.

— Popisuje się — mruknął.

Nóż odłupał drzazgę z relingu przy jego brodzie i odbity rykoszetem świsnął mu koło ucha. Mag potarł palcem miejsce nagłego bólu, spojrział przerażony i zemdlał łagodnie. Nie na widok krwi. Na widok własnej krwi.

* * *

Targ na Placu Sator, rozległej płaszczyźnie bruku przed czarną bramą Uniwersytetu, działał pełną parą.

Mówi się, że w Ankh-Morpork wszystko jest na sprzedaż z wyjątkiem piwa i kobiet, te bowiem tylko się wynajmuje. I większość towarów była oferowana na Placu Sator, który rozrastał się przez lata, stragan za straganem, aż teraz nowo przybyli ustawiali się pod starożytnymi murami Uniwersytetu. Zresztą mury świetnie się nadawały do wystawiania bel materiału czy pęków amuletów.

Nikt nie zauważył, jak otwierają się wrota. Ale natychmiast z Uniwersytetu wylała się cisza i rozprzestrzeniła na hałaśliwy, tłoczny plac niby pierwsze fale przyływu na słonym bagnie. Zresztą nie była to wcale prawdziwa cisza, ale straszliwy huk anty-hałas. Cisza nie jest przeciwieństwem dźwięku, jest zaledwie jego brakiem. Ale tutaj rozlegał się głos leżący na drugim brzegu morza ciszy: anty-hałas; jego mroczne decybele niczym deszcz aksamitu tłumiły krzyki sprzedawców.

Tłumnie zebrani ludzie rozglądali się dookoła przerażeni i poruszali ustami jak złote rybki, z podobnym rezultatem. Wszystkie głowy zwróciły się ku wrotom.

Zza muru wylało się coś jeszcze prócz kakofonii milczenia. Stragany najbliższe wrotom zaczęły odsuwać się ze zgrzytem, rozsypując towary po bruku. Właściciele odskakiwali na boki, gdy stragany dotarły do następnego rzędu i sunęły dalej, otaczając nasypem szeroką aleję czystych, pustych kamieni, biegnącą przez całą szerokość placu.

Ardrothy Długolaski, Dostawca Pasztecików Pełnych Charakteru, wysunął głowę zza ruin swego straganu i zobaczył, że wychodzą magowie.

Znał magów, a przynajmniej tak mu się dotąd wydawało. Byli to zarozumiali pocziwcy, raczej nieszkodliwi, ubrani jak antyczne sofy, zawsze chętni do zakupu tych jego towarów, które akurat miały obniżoną cenę — ze względu na wiek i na więcej charakteru, niż skłonna była znieść dobra gospodyni.

Ale ci magowie wydali się Ardrothy'emu dziwnie inni. Wkroczyli na Plac Sator, jakby byli jego właścicielami. Niebieskie iskierki strzelały im wokół stóp. I sprawiali wrażenie wyższych niż zwykle.

A może tylko prostowali się z godnością. . .

Tak, to było to.

Ardrothy miał w zestawie genetycznym szczyptę magii. I kiedy tak obserwował magów kroczących przez plac, ta szczypta podpowiedziała mu, jak powinien zadbać o własne zdrowie. Powinien mianowicie spakować w tobołek swoje noże, przyprawy i maszynki po czym wynieść się z miasta — kiedykolwiek, byle w czasie najbliższych dziesięciu minut.

Ostatni w grupie magów przystanął za kolegami i rozejrzał się z pogardą.

— Kiedyś były tu fontanny — stwierdził. — Hej, ludzie... odsuńcie się.

Sprzedawcy spojrzeli po sobie. Magowie zwykle przemawiali dumnie, więc nikogo to nie zdziwiło. Ale w tym głosie dźwięczała stanowczość, jakiej dotąd nie słyszeli. Brzmiał groźnie.

Ardrothy spojrział w bok. Spomiędzy resztek swojego stragana z małżami i rozgwiazdami w galarecie, niczym anioł zemsty, strzepując z brody rozmaite mięczaki i plując octem, powstał Miskin Łajba, który podobno umiał jedną ręką otwierać ostrygi. Całe lata odrywania muszli od kamieni i walk z gigantycznymi krabami. Zatoki Ankh dały mu fizyczną konstrukcję z rodzaju tych, jakie zwykle kojarzone są z płytami tektonicznymi. Mięśnie wokół gniewnie skrzywionych ust poruszały mu się niby rozzłoszczone węgorze.

— Ty to zrobiłeś? — zapytał.

— Odsuń się, głąbie — odparł mag. Te trzy słowa w opinii Ardrothy'ego dały mu oczekiwaną długość życia szklanych cymbałów.

— Nie znoszę magów — oznajmił Łajba. — Naprawdę nie znoszę magów. I teraz mam zamiar ci przyłożyć. Zgoda?

Zamachnął się pięścią...

Mag uniósł brew, wokół sprzedawcy skorupiaków wytrysnęły żółte płomienie, zabrzmiał dźwięk jakby dartej jedwabiu i Łajba zniknął. Pozostały po nim jedynie buty, stojące smętnie na bruku; unosiły się z nich dwie wąskie smużki dymu.

Nikt nie wie dlaczego, niezależnie od mocy wybuchu, zawsze pozostają dymiące buty. To chyba po prostu jedna z tych rzeczy...

Czuje oczy Ardrothy'ego dostrzegły, że mag był chyba równie zdumiony co zebrany wokół tłum. Opanował się jednak natychmiast i zatoczył łaską szeroki krąg.

— Wy, ludzie, lepiej wyciągnijcie z tego naukę — powiedział. — Nikomu nie wolno podnieść ręki na maga. Zrozumiano? Wiele się tu zmieni. Tak, czego chcesz?

To ostatnie skierowane było do Ardrothy'ego, który usiłował wymknąć się niepostrzeżenie. Teraz sięgnął do tacy z pasztecikami.

— Zastanawiałem się tylko, czy wasza wielmożność nie zechce nabyć jednego z tych znakomitych pasztecików — odparł pośpiesznie. — Pełnych odżyw...

— Uważaj tylko, sprzedawco pasztecików — rzucił mag.

Wyciągnął rękę, poruszył dziwnie palcami i wyciągnął pasztecik z powietrza.

Był obły, złocistobrazowy i szklął się pięknie. Patrząc na niego Ardrothy był pewien, że jest do granic możliwości nadziany czystą, chudą wieprzowiną, bez żadnych obszernych wnek pełnych świeżego powietrza, które stanowiły jego marginesy zysku. Był to pasztecik, jakim chcą się stać prosięta, kiedy dorosną.

Serce mu zamarło. Patrzył na własną ruinę i bankructwo w chrupiącej skórce.

— Chcesz spróbować? — zaproponował mag. — Tam, skąd go wzięłem, jest ich dużo.

— Skądkolwiek go wzięłeś — wykrztusił Ardrothy. Ponad wypieczonym pasztecikiem spojrział w twarz maga, a w maniakałnym błysku jego oczu zobaczył, że świat wywraca się dołem do góry.

Odwrócił się załamany i ruszył w stronę najbliższej bramy miasta.

Nie dość, że magowie zabijają ludzi, myślał z goryczą, to jeszcze odbierają im źródła utrzymania.

* * *

Wiadro wody chlusnęło Rincewindowi w twarz, wrywając go ze straszego snu, w którym setka zamaskowanych kobiet próbowała ostrzyć go mieczami. W dodatku ostrzyć na krótko. Niektórzy ludzie zapomnieliby o takim koszmarze, uznając go za przejaw lęku przed kastracją. Jednak świadomość Rincewinda na pierwszy rzut oka umiała rozpoznać śmiertelny-strach-przed-pocięciem-na-kawałki. Widywała go często. Usiadł.

— Dobrze się czujesz? — spytała niespokojnie Conena.

Rincewind zbadał wzrokiem pokład.

— Niespecjalnie — odparł ostrożnie.

Nie zauważył żadnych czarno odzianych łowców niewolników, przynajmniej nie takich, którzy staliby pionowo. Było za to sporo marynarzy, a wszyscy z szacunkiem odsuwali się od Coneny. Jedynie kapitan stał w miarę blisko, z błogim uśmiechem na twarzy.

— Odpłynęli — wyjaśniła dziewczyna. — Zabrali, co mogli i odpłynęli.

— Dranie! — stwierdził kapitan. — Ale wiosłować szybko. — Conena skrzywiła się, gdy przyjaźnie klepnął ją w ramię. — Walczyć dobrze jak na damę — dodał. — Tak.

Rincewind wstał chwiejnie. Statek sunął wesoło po falach w stronę ciemnej plamy na horyzoncie, która musiała być osiowym wybrzeżem Klatchu. Stwierdził, że nie jest ranny. Nastrój trochę mu się poprawił.

Kapitan skinął im obojgu głową i odszedł wykrzykiwać rozkazy dotyczące żagli, lin i temu podobnych elementów. Conena usiadła na Bagażu, który jakoś nie protestował.

— Powiedział, że jest nam tak głęboko wdzięczny, że zawiezie nas do samego Al Khali — oświadczyła.

— Myślałem, że taka była umowa — zdziwił się Rincewind. — Widziałem, jak dawałaś mi pieniądze i w ogóle.

— Tak. Ale planował uwięzić nas i w Klatchu sprzedać mnie na targu niewolników.

— Co? Mnie nie chciał sprzedać? — Rincewind parsknął pogardliwie. — Oczywiście, to te szaty maga. Nie ośmieliłby się...

— Ehm... Szczerze mówiąc, powiedział, że musiałby cię oddać za darmo — wyjaśniła Conena, podważając paznokciem wymaginowaną drzazgę na wieku Bagażu.

— Oddać mnie za darmo?

— Tak. Ehm. Coś w stylu: jeden bezpłatny mag z każdą sprzedaną konkubiną. Ehm...

— Nie rozumiem, co jarzyny mają z tym wspólnego.

Conena obrzuciła go surowym spojrzeniem, a kiedy wciąż się nie uśmiechał, westchnęła.

— Dlaczego wy, magowie, zawsze jesteście tacy nerwowi w towarzystwie kobiet?

Rincewind najeżył się, słysząc obraźliwe słowa.

— To mi się podoba! — zawołał. — Otóż musisz wiedzieć, że... Zresztą wszystko jedno. Rzecz w tym, że ja świetnie się czuję w towarzystwie kobiet w ogóle; to tylko kobiety z mieczami mnie irytują. — Zastanowił się chwilę, po czym dodał: — Jeśli już o tym mowa, to irytuje mnie ktokolwiek z mieczem.

Conena pracowicie wydłubywała drzazgę. Bagaż zatrzeszczał z satysfakcją.

— Jest jeszcze coś, co cię zirytuje — wyznała.

— Tak?

— Kapelusz przepadł.

— Co?

— Nic nie mogłam poradzić. Oni łapali wszystko, co im wpadło w ręce...

— Łowcy niewolników uciekli z kapeluszem?

— Nie mów do mnie takim tonem! To nie ja uciełam sobie drzemkę...

Rincewind gorączkowo zamachał rękami.

— Nienienie, nie denerwuj się, nie mówię żadnym tonem... Muszę chwilę pomyśleć...

— Kapitan uważa, że prawdopodobnie wrócili do Al Khali — usłyszał słowa Coneny. — Jest tam takie miejsce, gdzie zbiera się element przestępczy. Wkrótce możemy...

— Nie bardzo rozumiem, dlaczego w ogóle musimy cokolwiek robić — przerwał jej. — Kapelusz chciał, żeby zabrać go daleko od Uniwersytetu. Nie sądzę, żeby ci piraci wpadli tam kiedyś na kieliszek sherry.

— Pozwolisz im uciec z kapeluszem? — spytała Conena ze szczerym zdumieniem.

— Przecież ktoś musi to zrobić. Ale dlaczego ja?

— Przecież sam mówiłeś, że to symbol magii! Cel wszystkich magów! Nie możesz tak po prostu zrezygnować!

— Mogę. Popatrz tylko.

Rincewind usiadł. Był nieco zdziwiony. Podejmował decyzję. Była jego. Nikt go nie zmuszał do jej podjęcia. Czasem wydawało mu się, że całe jego życie to pakowanie się w kłopoty z powodu tego, co chcieli inni ludzie. Ale tym razem podjął decyzję i koniec. Zsiądzie ze statku w Al Khali i znajdzie jakiś sposób, żeby wrócić do domu. Ktoś inny może ratować świat. Życzył mu szczęścia. On podjął już decyzję.

Zmarszczył brwi. Dlaczego właściwie nie był z tego zadowolony?

Bo to fatalna decyzja, ty idioto.

No tak, pomyślał. Mam już dość głosów w mojej głowie. Wynocha.

Ale tutaj jest moje miejsce.

Chcesz powiedzieć, że jesteś mną?

Twoim sumieniem.

Aha...

Nie możesz dopuścić do zniszczenia kapelusza. To symbol...

...dobrze, wiem...

...symbol magii podległej Sztuce. Magii opanowanej przez człowieka. Nie chcesz chyba, żeby powróciły te mroczne łona...

Co?

...Łona...

Czy mam na myśli eony?

Właśnie. Eony. Powróci czas sprzed eonów, kiedy rządziła pierwotna magia. Każdego dnia drżała sama struktura rzeczywistości. To było straszne, mogę sobie wierzyć.

Skąd mogę wiedzieć?

Pamięć gatunku.

O rany! Czyja też ją mam?

No... Jej część.

No dobrze. Niech będzie. Ale dlaczego ja?

W głębi duszy wiesz, że jesteś prawdziwym magiem. Słowo „Mag” wyryte jest w twoim sercu.

— Tak, ale kłopot w tym, że wciąż spotykam ludzi, którzy mogliby zechcieć to sprawdzić — powiedział żałośnie Rincewind.

— Co takiego? — spytała Conena.

Rincewind spojrzął na plamę na horyzoncie i westchnął ciężko.

— Nic. Mówiłem do siebie.

* * *

Carding krytycznie przyjrzał się kapeluszu. Obszedł stół dookoła i popatrzył z innego kąta.

— Całkiem niezły — stwierdził w końcu. — Skąd wzięłeś oktaryny?

— To tylko dobre ramtopowe kryształy — wyjaśnił Spelter. — Dałeś się oszukać, prawda?

Kapelusz był wspaniały. Spelter doszedł nawet do wniosku, że wyglądał lepiej niż oryginał. Stary kapelusz nadrektora był mocno wytarty, złota nitka pociemniała i pruć się miejscami. Replika okazała się znacznie bardziej udana. Miała styl.

— Szczególnie podobają mi się koronki — pochwalił Carding.

— Trwało to całe wieki.

— Dlaczego nie spróbowałeś czarów?

Carding pstryknął palcami i pochwycił wysoką, oszronioną szklankę, która pojawiła się nagle w powietrzu. Pod papierową parasolką i owocową sałatką zawierała jakiś lepki i kosztowny alkohol.

— Nie działały — odparł Spelter. — Jakoś nie udawało się, hm, zrobić tego prawidłowo. Musiałem ręcznie przyszywać każdy cekin. Chwycił pudło.

Carding chrząknął do szklanki.

— Nie chowaj jeszcze — poprosił i wyjął je z rąk kwestora. — Zawsze chciałem go przymierzyć.

Stanął przed zwierciadłem wiszącym na ścianie gabinetu i z szacunkiem włożył kapelusz na swoje niezbyt czyste kędziory.

Dobiegał końca pierwszy dzień czarodziejstwa i magowie zdążyli już przemienić wszystko oprócz siebie.

Wszyscy próbowali, po cichu, kiedy myśleli, że nikt nie patrzy. Nawet Spelter zaryzykował, zamknięty w swoim gabinecie. Udało mu się odmłodzić o dwadzieścia lat i zyskać tors, o który można by kruszyć kamienie. Ale gdy tylko osłabła jego koncentracja, w bardzo niemiły sposób osunął się z powrotem do starego, znajomego kształtu i wieku.

W formie człowieka jest coś elastycznego. Im silniej odrzucają od siebie, tym szybciej powraca. I podobnie jak z gumą, najgorsze jest samo uderzenie. Kolczaste żelazne kule, miecze i wielkie ciężkie kije nabijane gwoździami uważa się powszechnie za przerażające narzędzia walki. Są jednak niczym w porównaniu z dwudziestoma latami, przyłożonymi nagle ze sporą siłą do potylicy.

To dlatego, że czarodziejstwo nie oddziałuje na obiekty, które są w swej istocie magiczne. Mimo to magowie dokonali kilku ważnych udoskonaleń. Szata Cardinga, na przykład, stała się jedwabna z koronkowymi ozdobami — szczyt kosztownego bezguścia. Nadawała mu wygląd czerwonej galarety udrapowanej białymi serwetkami.

— Pasuje, nie sądzisz? — zapytał Carding. Poprawił nieco rondo, układając kapelusz w odrobinę niewłaściwy łobuzerski sposób.

Spelter nie odpowiedział. Wyglądał przez okno.

Rzeczywiście, nastąpiło kilka zmian. Mieli za sobą pracowity dzień.

Dawne kamienne mury zniknęły. Teraz stały tam dość ładne balustrady. Poza nimi skrzyło się miasto — poemat białego marmuru i czerwonej terakoty. Rzeka Ankh nie była już zamulonym ściekiem, który znał od dzieciństwa, ale migotliwą, przejrzystą jak szkło wstęgą, w której — miły akcent — białe karpie poruszały wargami, pływając w wodzie czystej jak topniejący śnieg.¹¹

Widziane z góry Ankh-Morpork musiało pewnie oślepić. Błyszczało. Kurz wieków został wymieciony.

Spelter poczuł się dziwnie niepewnie, nie na miejscu... jakby nosił nowe ubranie, które drapało skórę. Oczywiście, nosił nowe ubranie, które drapało skórę, jednak problem polegał na czymś innym. Świat był bardzo ładny, dokładnie taki, jakim być powinien, a jednak... jednak... Czy rzeczywiście pragnął zmiany, zastanowił się, czy też chciał jedynie poustawić wszystko wygodniej?

— Mówiłem: czy nie sądzisz, że leży jak ulał? — powtórzył Carding.

Spelter odwrócił się i spojrzał tępo.

— Hm?

— Kapelusz, człowieku!

— Aha. Hm. Bardzo... bardzo odpowiedni.

Carding z westchnieniem zdjął z głowy barokowe nakrycie i ostrożnie umieścił je w pudle.

— Lepiej mu zanieśmy — powiedział. — Zaczyna o niego wypytywać.

— Wciąż się zastanawiam, gdzie jest prawdziwy kapelusz — wyznał Spelter.

— Tutaj — odparł stanowczo Carding, stukając o wieko.

— Chodziło mi, hm, o prawdziwy.

— To jest prawdziwy.

— Chodziło... .

— To jest kapelusz nadrektora — rzekł z naciskiem Carding. — Sam powinienś wiedzieć. Przecież go zrobiłeś.

— No tak, ale... — zaczął nieszczęśliwym tonem kwestor.

— W końcu nie przyłożyłbyś ręki do fałszerstwa, prawda?

— No nie, hm, w zasadzie... .

— To zwyczajny kapelusz. Jest tym, za co ludzie go uważają. Widzą, że nosi go nadrektor i sądzą, że to oryginalny kapelusz. I w pewnym sensie jest nim. Rzeczy definiowane są przez pełnione funkcje. Ludzie też, ma się rozumieć. To podstawowa zasada magii. — Carding urwał dramatycznie i wcisnął pudło w ręce Speltera. — *Cogitum ergot capelussi*, można by powiedzieć.

Spelter starannie studiował dawne języki i podjął wysiłek umysłowy.

— Myślę, więc jestem kapeluszem? — zaryzykował.

¹¹Naturalnie, obywatele Ankh-Morpork zawsze utrzymywali, że woda w rzece i tak jest niewiarygodnie czysta. Musi taką być woda, która przeszła przez tyle nerek.

— Co? — zdziwił się Carding, kiedy ruszyli schodami ku nowemu wcieleniu Głównego Holu.

— Myślałem, że jestem zwariowanym kapeluszem — zasugerował Spelter.

— Przymknij się, dobrze?

* * *

Mgiełka wciąż wisiała nad miastem; jej zaśnony, srebrzyste i złote, zmieniały się na krwawe w świetle zachodzącego słońca, wpadającym przez okna do sali.

Coin siedział na stołku z laską na kolanach. Spelter uświadomił sobie, że ani razu nie widział chłopca bez niej, co było niezwykle. Magowie na ogół trzymali swoje laski pod łóżkiem albo wieszali nad kominkiem.

Laska w ogóle mu się nie podobała. Była czarna, ale nie dlatego, że taki miała kolor, a dlatego, że zdawała się ruchomą szczeliną do jakiegoś innego, bardzo nieprzyjemnego systemu wymiarów. Nie posiadała oczu, a jednak miał wrażenie, że wpatruje się w niego, jakby wiedziała o jego najbardziej sekretnych myślach, co w tej chwili oznaczało, że wie więcej niż on.

Dreszcz go przebiegł, kiedy przeszli przez salę i wyczuł płynący od siedzącej postaci podmuch pierwotnej magii.

Wokół chłopca zebrało się kilkudziesięciu najstarszych magów. Z podziwem wpatrywali się w podłogę.

Spelter wyciągnął szyję i zobaczył...

Świat.

Pływał w kałuży nocy wtłoczonej jakoś w posadzkę. Spelter wiedział — z przerażającą pewnością — że to naprawdę świat, nie obraz czy zwykła projekcja. Były tam pasma chmur i wszystko. Były lodowate pustkowia Krain Osio-wych, Kontynent Przeciwwagi, Okrągłe Morze, Wodospad Krańcowy... Wszystko maleńkie, w pastelowych barwach, a mimo to rzeczywiste...

Ktoś coś do niego mówił.

— Hm? — zapytał, a wtedy nagły spadek metaforycznej temperatury przywo-łał go na powrót do rzeczywistości. Ze zgrozą uświadomił sobie, że Coin skiero-wał do niego jakąś uwagę.

— Słucham? — poprawił się. — Przepraszam, ale ten świat... Taki piękny...

— Nasz Spelter jest estetą — zauważył Coin. Zabrzmiały zduszone śmiesz-ki jednego czy dwóch magów, którzy wiedzieli, co oznacza to słowo. — Ale co do świata, to można go poprawić. Mówiłem, Spelter, że gdziekolwiek spojrzy-my, widzimy okrucieństwo, odczłowieczenie i chciwość. Wynika z tego, że świat rządzony jest fatalnie. Czyż nie?

Spelter świadom był skierowanych na siebie dwudziestu par oczu.

— Hm... — zaczął niepewnie. — Nie możesz zmienić ludzkiej natury.

Zaległa martwa cisza. Spelter zawahał się.
— Możesz?
— O tym trzeba się dopiero przekonać — wtrącił Carding. — Ale jeśli odmienimy świat, zmieni się także ludzka natura. Czy nie mam racji, bracia?
— Miasto jest nasze — odparł jeden z magów. — Ja sam stworzyłem zamek...
— Władamy miastem, ale kto rządzi światem? — przerwał mu Carding. — Są tysiące drobnych królów, cesarzy i wodzów.
— Z których żaden nie potrafi czytać nie poruszając wargami — dodał któryś mag.
— Patrycjusz umiał czytać — przypomniał Spelter.
— Nie umiałby, gdyby mu uciąć palec wskazujący — rzekł stanowczo Carding. — A właściwie gdzie się podziała jaszczurka? Mniejsza z tym. Chodzi o to, że świat z całą pewnością winien być rządzony przez ludzi oddanych mądrości i filozofii. Trzeba nim kierować. Przez całe wieki walczyliśmy ze sobą, ale razem... Kto wie, czego potrafimy dokonać.
— Dzisiaj to miasto, jutro świat — szepnął ktoś z tylnych szeregów.
Carding kiwnął głową.
— Jutro świat, a... — Szybko coś przeliczył. — A w piątek wszechświat.
To daje nam wolny weekend, pomyślał Spelter. Potem przypomniał sobie o ścisłanym w ramionach pudle i podał je Coinowi. Carding jednak wsunął się przed niego, płynnym ruchem chwycił pudło i z ukłonem wręczył chłopcu.
— Kapelusz nadrektora — oznajmił. — Uważamy, że słusznie ci się należy.
Coin wziął pudło. Po raz pierwszy Spelter dostrzegł niepewność na jego twarzy.
— Czy nie wiąże się to z jakąś oficjalną ceremonią? — zapytał chłopiec.
Carding odkaslnął.
— Ja, tego... Nie — odparł. — Chyba nie. — Obejrzał się na pozostałych magów, którzy zgodnie pokręcili głowami. — Nie. Nigdy niczego nie organizowaliśmy. Oprócz bankietu, ma się rozumieć. Ehm... Widzisz, to przecież nie koronacja. Nadrektor, rozumiesz, przewodzi magicznej braci. Jest... — Głos Cardinga cichł z wolna w blasku złocistego spojrzenia. — Jest, rozumiesz... jest... pierwszym... pośród... równych...
Odstąpił pospiesznie, gdy laska przesunęła się w nie wyjaśniony sposób i wskazała na niego. Raz jeszcze zdawało się, że Coin nasłuchuje wskazówek wewnętrznego głosu.
— Nie — rzekł po chwili.
A kiedy znowu zabrał głos, rozbrzmiewał on głęboko, z tą dźwięcznością, którą — jeśli się nie jest magiem — można osiągnąć z pomocą licznych i kosztownych elementów sprzętu elektronicznego.

— Odbędzie się ceremonia. Musi się odbyć, gdyż ludzie muszą zrozumieć, że to magowie rządzą. Ale nie tutaj. Wybiorę odpowiednie miejsce. I wszyscy magowie, którzy kiedykolwiek przeszli przez te drzwi, wezmą w niej udział. Czy to jasne?

— Niektórzy mieszkają daleko — przypomniał ostrożnie Carding. — Podróż zajmie im sporo czasu. O jakiej dacie myślałeś?

— Są magami! — wykrzyknął Coin. — Mogą się tu znaleźć w mgnieniu oka. Dałem im moc! Poza tym... — Głos opadł mu do normalniejszej wysokości. — Uniwersytet jest skończony. Nigdy nie był dla magii prawdziwym domem. Jedynie więzieniem.

Wyjął kapelusz z pudła i uśmiechnął się. Spelter i Carding wstrzymali oddechy.

— Ale...

Obejrżeli się. To przemówił Hakardly, mistrz Sztuki. Stał teraz, bezgłośnie otwierając i zamykając usta.

Coin spojrział na niego, unosząc brew.

— Chyba nie zamierzasz naprawdę zamykać Uniwersytetu? — zapytał drżącym głosem stary mag.

— Nie jest już potrzebny. To siedlisko kurzu i starych ksiąg. Pozostawiliśmy go za sobą. Czy nie tak... bracia?

Zabrzmiał chór niepewnych pomruków. Magom trudno było sobie wyobrazić życie bez starych murów NU. Chociaż, jeśli się zastanowić, rzeczywiście było tu sporo kurzu, a książki naprawdę stare...

— Przecież... bracia... kto z was zaglądał do tej mrocznej biblioteki w ciągu ostatnich dni? Magia tkwi teraz w was samych; nie jest uwięziona między okładkami. Czy to nie radosne zjawisko? Czy jest wśród was choć jeden, który w ostatnich dwudziestu czterech godzinach nie uczynił więcej czarów... prawdziwych czarów... niż wcześniej w całym swym życiu? Czy jest choć jeden, który w głębi serca nie zgadza się ze mną?

Spelter drgnął. W głębi serca wewnętrzny Spelter przebudził się i walczył, by go usłyszano. Był to Spelter, który nagle zatęsknił za spokojnymi dniami — zaledwie kilkadziesiąt godzin temu — gdy magia była łagodna, gdy człapała po komnatach w starych kapciach, zawsze zostawiała chwilę na sherry i nie przypominała wbitego prosto w mózg rozżarzonego miecza. I przede wszystkim nie zabijała ludzi.

Ogarnęła go groza, gdy poczuł, że struny głosowe wyprężają się na baczność i gotują, wbrew jego wysiłkom, do sprzeciwu.

Laska próbowała go odnaleźć. Czuł, że go szuka. I unicestwi, jak nieszczęsnego Billiasa. Zacisnął zęby, ale wiedział, że to nie pomoże. Pierś mu zafalowała. Zatrzeszczały szczęki.

Carding zakotyssał się niespokojnie i nadepnął mu na nogę. Spelter wrzasnął.

— Przepraszam — powiedział Carding.

— O co chodzi, Spelter? — zapytał Coin.

Spelter, nagle uwolniony, podskakiwał na jednej nodze. Jego ciało ogarnęła fala ulgi, dorównująca fali cierpienia zalewającej palce. Czuł wdzięczność — większą niż kiedykolwiek ktokolwiek inny — że dwieście czterdzieści funtów doświadczonej magii wybrało jego stopę, żeby ciężko na nią nastąpić.

Jego krzyk zdawał się przełamywać czar. Coin odetchnął i powstał.

— To był dobry dzień — rzekł.

* * *

Była druga w nocy. Mgliste rzeczne opary zwijały się jak węże nad ulicami Ankh-Morpork, ale kłębiły się samotnie. Magowie nie lubią takich, którzy po północy przebywają jeszcze poza domem, więc nikt tego nie robił. Wszyscy za to spali ciężkim snem zaczarowanych.

Na Placu Pękniętych Księżyców, niegdyś miejscu handlu egzotycznymi rozkoszami, gdzie nocny wędrowiec mógł nabyć wszystko, od talerza węgorki w galarecie po chorobę weneryczną wedle własnego wyboru, tylko mgła kłębiła się i kondensowała ponad zimną pustką.

Stragany zniknęły, zastąpione błyszczącym marmurem i posągami przedstawiającym ducha tego czy owego, otoczonym podświetlonymi fontannami. Ich głuchy plusk był jedynym dźwiękiem, łamiącym cholesterol ciszy, zaciskający serce miasta.

Cisza władała także mrocznym masywem Niewidocznego Uniwersytetu. Z wyjątkiem...

Spelter niczym dwunogi pająk sunął ciemnymi korytarzami. Przeskakiwał — a przynajmniej człapał pospiesznie — od filaru do łuku, aż dotarł do posępnych drzwi Biblioteki. Rozejrzał się nerwowo w otaczającej ciemności i z niejakim wahaniem zastukał — bardzo, ale to bardzo delikatnie.

Cisza spływała z solidnego drewna. Jednak w przeciwieństwie do ciszy, która ogarnęła pozostałą część miasta, ta cisza była czujna, płytka. Była jak milczenie śpiącego kota, który właśnie otworzył jedno oko.

Kiedy nie mógł już znieść jej dłużej, Spelter osunął się na kolana i spróbował zajrzeć pod drzwi. W końcu przysunął usta jak najbliższej zakurzonej szczeliny pod najniższym zawiasem.

— Hej tam! — szepnął. — Hm. Słyszysz mnie?

Był niemal pewien, że w ciemności coś się poruszyło. Spróbował znowu. Każde uderzenie serca przynosiło zmianę nastroju, od przerażenia do nadziei.

— Hej! To ja, hm, Spelter. Rozumiesz? Odezwij się, proszę.

Być może wielkie, skórzaste stopy skradały się lekko po podłodze, a może to tylko trzeszczały napięte nerwy Speltera. Spróbował przełknąć ślinę i zaczął znówu.

— No dobrze, niech będzie. Ale słuchaj, oni chcą zamknąć Bibliotekę.

Cisza stała się głośniejsza. Śpiący kot zastrzygł uchem.

— Dzieje się coś niedobrego — wyznał kwestor i zatkał sobie usta dłonią, wystraszony ogromem tego, co właśnie powiedział.

— Uuk?

Był to najłżejszy z dźwięków, niczym czkawka karaluchów.

Ośmielony Spelter przysunął wargi bliżej do szczeliny.

— Czy masz tam, hm, patrycjusza?

— Uuk.

— A co z jego pieskiem?

— Uuk.

— Aha. To dobrze.

Spelter wyciągnął się jak długi w spokojnej ciemności nocy i zabębnił palcami po chłodnej podłodze.

— Czy nie zechciałbyś, hm, mnie też wpuścić do środka? — zapytał.

— Uuk!

Spelter skrzywił się w mroku.

— A może, hm, mógłbym wejść tylko na chwilę? Powinniśmy omówić pewne ważne sprawy. Jak mężczyzna z mężczyzną.

— Iik.

— To znaczy z małpą.

— Uuk.

— A może ty wyjdiesz?

— Uuk.

Spelter westchnął.

— Ta demonstracja lojalności jest godna podziwu, ale przecież umrzesz tam z głodu.

— Uuk uuk.

— Jakie inne wejście?

— Uuk.

— Dobrze, niech ci będzie — mruknął Spelter. Po tej wymianie zdań czuł się pewniej. Wszyscy na Uniwersytecie żyli jak we śnie, zaś bibliotekarz nie pragnął od świata niczego prócz miękkich owoców, regularnych dostaw kart katalogowych i mniej więcej raz w miesiącu możliwości wskoczenia przez mur do prywatnej menażerii patrycjusza¹². W jakiś niezwykle sposób dodawało to otuchy.

— Czyli nie brakuje ci bananów i tak dalej? — upewnił się jeszcze po chwili.

¹²Nikt nigdy nie miał dość odwagi, by go zapytać, co tam robi.

— Uuk.

— Nie wpuszczaj nikogo, dobrze? Hm. Mam wrażenie, że to bardzo ważne.

— Uuk.

— To dobrze. — Spelter wstał i otrzepał kolana. Potem przytknął jeszcze wargi do dziurki od klucza i dodał: — Nikomu nie ufaj.

— Uuk.

W Bibliotece nie było całkiem ciemno, gdyż stłoczone rzędami na półkach książki wydzielały delikatne oktarynowe lśnienie, powodowane taumatycznym wyciekami w silnym polu okultystycznym. Było dostatecznie jasno, by dostrzec blokujący drzwi stos regałów.

Były patrycjusz został delikatnie umieszczony w słoju na biurku bibliotekarza. Sam bibliotekarz siedział pod blatem, owinięty kocem, trzymając na kolanach Szczekacza.

Od czasu do czasu zjadał banana, Spelter tymczasem włókł się kulejąc pustymi korytarzami Uniwersytetu, zmierzając ku bezpieczeństwu własnej sypialni. Tylko i dzięki temu, że nerwowo wyteżał uszy, nasłuchując najlżejszych drgnień powietrza, na samym progu słyszalności dotarł do niego odgłos szlochu.

W tym miejscu nie był to dźwięk zwyczajny. W wyściełanych dywanami korytarzach, wśród kwater starszych magów, można późną nocą usłyszeć rozmaite odgłosy, takie jak chrapanie, ciche brzęczenie szkła, niemelodyjne nucenie, od czasu do czasu pisk i syk nieudanego zaklęcia. Ale odgłos czyjegoś cichego płaczu był tak niezwykły, że Spelter skrzywił mimo woli i zaczął się skradać przejściem wiodącym do apartamentu nadrektora.

Drzwi stały otworem. Powtarzając sobie, że naprawdę nie powinien, gotów do błyskawicznego odwrotu, Spelter zajrzał do środka.

* * *

Rincewind wytrzeszczył oczy.

— Co to jest? — szepnął.

— Myślę, że to jakaś świątynia — stwierdziła Conena.

Rincewind stał zadzierając głowę. Tłumy mieszkańców Al Khali krążyły wokół niego niczym ilustracja ludzkich ruchów Browna. Świątynia, pomyślał. Owszem, była wielka, była imponująca, zaś architekt wykorzystał każdą podręcznikową sztuczkę, żeby wydała się jeszcze większa i jeszcze bardziej imponująca niż w rzeczywistości. I żeby na każdym patrzącym wyrzeć wrażenie, iż on z kolei jest bardzo mały, zwyczajny i nie ma tyłu kopuł. Była to budowla wyglądająca dokładnie tak, jakby człowiek miał ją zapamiętać na całe życie.

Rincewind jednak uważał, że zna się na architekturze świątynnej. A freski na wysokich i oczywiście imponujących murach wcale nie wyglądały na religijne.

Przede wszystkim postacie wyraźnie dobrze się bawiły. Tak, prawie na pewno dobrze się bawiły. Byłoby zdumiewające, gdyby nie sprawiało im to przyjemności.

— Oni chyba nie tańczą? — zapytał, rozpaczliwie usiłując nie wierzyć w to, co widział na własne oczy. — A może to rodzaj ćwiczeń akrobatycznych?

Conena uniosła głowę, mrużąc oczy w ostrym blasku słońca.

— Raczej nie — odparła z namysłem.

Rincewind opamiętał się.

— Sądzę, że taka młoda panienka jak ty nie powinna oglądać takich rzeczy — oznajmił surowo.

Conena uśmiechnęła się tylko.

— Sądzę, że magom jest to wyraźnie zakazane — przypomniała słodkim głosem. — Podobno tracą od tego wzrok.

Rincewind znów podniósł głowę, skłonny może zaryzykować jedno oko. Właściwie czegoś takiego można się było spodziewać, pomyślał. Oni po prostu nie wiedzą, co wypada. Obce kraje są, tego... obce. Wszystko tu robią inaczej.

Tyle że niektóre rzeczy, uznał, są tu załatwiane prawie tak samo, ale bardziej pomysłowo i — sądząc po tym, co zobaczył — o wiele częściej.

— Freski świątyni w Al Khali są sławne na cały świat — poinformowała Conena, kiedy przedzierał się przez gromady dzieciaków, próbujących Rincewindowi coś sprzedać albo zapoznać go z sympatycznymi krewniaczkami.

— Trudno się dziwić — mruknął Rincewind. — Słuchaj, mógłbyś mi dać spokój? Nie, nie chcę tego kupować, czymkolwiek to jest. Nie, nie chcę jej poznać. Ani jego. Ani niczego, ty paskudny dzieciaku. Złażcie natychmiast!

Ostatni okrzyk skierowany był do grupki maluchów, dosiadających spokojnie Bagażu, który człapał cierpliwie za Rincewindem i nawet nie próbował ich rzucić. Może za czymś tęskni, pomyślał mag i trochę poweselał.

— Jak myślisz, ilu ludzi mieszka na tym kontynencie? — zapytał.

— Nie wiem. — Conena nawet się nie obejrzała. — Przypuszczam, że miliony.

— Gdybym był mądrzejszy, to by mnie nie było między nimi — stwierdził Rincewind z przekonaniem.

Zaledwie kilka godzin temu znaleźli się w Al Khali, bramie do tajemniczego ładu Klatchu. Zaczynał już cierpieć.

Przyzwoite miasto powinno mieć trochę mgły, myślał. I ludzie powinni mieszkać w domach, a nie spędzać całe dnie na ulicy. I nie powinno być tak gorąco, ani tyle piasku. A co do wiatru...

Ankh-Morpork sławne jest ze swego zapachu, obdarzonego osobowością tak silną, że nawet twardego mężczyznę zmusza do łez. Al Khali zaś ma swój wiatr, dmuchający od niezmiernych pustyń i łądów bliższych Krawędzi. Jest to tylko łagodna bryza, ale nigdy nie cichnie i w końcu działa na przybyszów tak, jak tarka

na pomidora. Po jakimś czasie zdaje się, że zdarła skórę i szarpie bezpośrednio za nerwy.

Wyczulonym nozdrzom Coneny wiatr ten niósł aromatyczne przekazy z serca kontynentu, złożone z chłodu pustyń, odoru lwów, fetoru kompostu dżungli i nawozu antylop.

Rincewind, naturalnie, niczego takiego nie wyczuwał. Adaptacja potrafi zdziałać cuda i większość Morporkian miałyby poważne trudności, żeby wyczuć puchowy materac płonący o pięć stóp od nich.

— Dokąd teraz? — zapytał. — Gdzieś, gdzie schowamy się przed tym wiatrem?

— Ojciec spędził nieco czasu w Al Khali, kiedy poszukiwał Zaginionego Miasta Ee. Pamiętam, że bardzo chwalił ssuk. To coś w rodzaju bazaru.

— Rozumiem, że chcesz tam poszukać straganów z używanymi kapeluszami — burknął Rincewind. — Cały ten pomysł jest...

— Mam raczej nadzieję, że ktoś nas napadnie. To najrozsądniejszy plan. Ojciec mówił, że niewielu obcych, którzy weszli na ssuk, zdołało go opuścić. Twierdził, że kręci się tam sporo morderczych typów.

Rincewind zastanowił się głęboko.

— Powtórz to jeszcze raz, dobrze? — poprosił. — Kiedy powiedziałaś, że ktoś nas napadnie, coś mi chyba zaczęło dzwonić w uszach.

— No przecież chcemy się spotkać z elementem kryminalnym, prawda?

— Nie dokładnie „chcemy”. Nie takiego określenia bym użył.

— A jakiego?

— Wydaje mi się, że zwrot „nie chcemy” dość precyzyjnie oddaje znaczenie.

— Ale zgodziłeś się, że powinniśmy odzyskać kapelusz!

— Ale nie umrzeć w trakcie odzyskiwania — mruknął smętnie Rincewind. — Nikomu nic z tego nie przyjdzie. A mnie już na pewno nie.

— Ojciec zawsze powtarzał, że śmierć jest jak sen — stwierdziła Conena.

— Tak. Kapelusz też mi to mówił — przyznał Rincewind, kiedy skręcili w wąski, zatłoczony zaułek między białymi ścianami. — Ale ranne wstawanie jest pewnie o wiele trudniejsze.

— Uspokój się. Nie ryzykujemy specjalnie. Jesteś ze mną.

— Tak, a ty nie możesz się doczekać, co? — rzucił mag oskarżycielskim tonem. — Znowu ta twoja dziedzyczność.

Conena prowadziła ich ocienioną alejką. Zwykły orszak młodocianych przedsiębiorców następował im na pięty.

— Siedź cicho i staraj się wyglądać jak ofiara, dobrze?

— Z tym poradzę sobie bez trudu — mruknął Rincewind, odpędzając szczególnie upartego przedstawiciela Młodzieżowej Izby Handlowej. — Mam sporo praktyki. Po raz ostatni: nikogo nie chcę kupować, wredny bachorze!

Rozejrzał się smętnie dookoła. Przynajmniej na murach nie było tu tych irytujących malowideł, ale gorący wiatr wciąż unosił tumany kurzu, a on sam miał już serdecznie dość widoku piasku. Marzył o paru zimnych piwach, zimnej kąpieli i zmianie ubrania. Prawdopodobnie nie poczułby się od tego lepiej, ale przynajmniej byłoby mu o wiele przyjemniej. Zresztą tutaj pewnie nie znają piwa. To zabawne, że w chłodnych miastach, takich jak Ankh-Morpork, popularnym napojem jest piwo, które chłodzi, a w takich miejscach jak to, gdzie całe niebo przypomina piekarnik z otwartymi drzwiczkami, ludzie piją małe lepkie drinki, które rozpalają ogień w gardle. W dodatku architektura jest niewłaściwa. A w świątyniach stawiają posągi, które... no, są całkiem nieodpowiednie. To nie jest miejsce dla magów. Oczywiście, mają tu pewnie jakiś miejscowy zamiennik, jakichś zaklinaczy albo co, ale nie to, co można by nazwać przyzwoitą magią. Conena szła przodem i nuciła coś pod nosem.

Lubisz ją, prawda? Od razu widać, odezwał się głos w jego umyśle.

A niech to Piekierne Wymiary, pomyślał Rincewind. Chyba nie jesteś moim sumieniem?

Twoim libido. Trochę tu duszno, wiesz? Nie robiłeś tego, odkąd ostatni raz tu byłem.

Słuchaj, idź sobie. Dobrze? Jestem magiem! Magowie słuchają głowy, nie serca.

A ja dostaję głosy z twoich gruczołów, a z nich wynika, że przynajmniej jeśli chodzi o ciało, twój mózg jest w wyraźnej mniejszości.

Tak? Ale ma głos rozstrzygający.

Ha! To ty tak uważasz. Nawiasem mówiąc, twoje serce nie ma z tym nic wspólnego; to tylko mięsień wymuszający obieg krwi. Ale spójrz na to z innej strony. Lubisz ją przecież, prawda?

No... Rincewind zawahał się. Tak, pomyślał. Właściwie...

Miło ci w jej towarzystwie. Ma ładny głos.

Pewnie...

Chciałbyś ją częściej widywać?

No...

Rincewind uświadomił sobie z niejakim zdziwieniem, że tak, chciałby. Rzecz nie w tym, że był zupełnie nie przyzwyczajony do towarzystwa kobiet, ale w tym, że zawsze sprowadzały kłopoty. Poza tym było faktem powszechnie znanym, że szkodzą zdolnościom magicznym. Chociaż musiał przyznać, że jego osobistym zdolnościom magicznym, zbliżonym do zdolności gumowego młotka, i tak niewiele mogło już zaszkodzić.

Czyli nie masz nic do stracenia, wtrąciło jego libido jedwabistym tonem myśli.

Dopiero w tej chwili Rincewind zdał sobie sprawę, że zabrakło czegoś istotnego. Przez chwilę się zastanawiał, nim wreszcie zrozumiał, co to takiego.

Od kilku minut nikt nie próbował mu niczego sprzedać. W Al Khali oznaczało to prawdopodobnie, że jest martwy.

On, Conena i Bagaż szli pustą, ocienioną alejką. Z oddali dobiegał gwar miasta, lecz bliżej otaczała ich jedynie pełna wyczekiwania cisza.

— Uciekli — stwierdziła Conena.

— Ktoś na nas napadnie?

— Możliwe. Trzech ludzi podąży za nami po dachach. Rincewind zerknął w górę w tej samej chwili, gdy trzech mężczyzn w luźnych czarnych szatach zeskoczyło lekko na ziemię tuż przed nimi. Obejrzał się i dostrzegł jeszcze dwóch wynurzających się zza rogu. Cała piątka ścisnęła długie, zakrzywione miecze, a choć dolne części twarzy mieli zakryte, było niemal pewne, że uśmiechają się złowrogo. Rincewind stuknął mocno w wieko Bagażu.

— Bierz ich — zaproponował.

Bagaż przez chwilę stał nieruchomo, po czym ruszył przed siebie i zatrzymał się obok Coneny. Wydawał się dość zadowolony z siebie i — co Rincewind spostrzegł ze zgrozą i zazdrością — nieco zakłopotany.

— Ty... Ty... — wykrztusił i kopnął go mocno. — Ty walizko!

Zbliżył się do dziewczyny, która z zamyślnym uśmiechem przyglądała się intruzom.

— Co teraz? — zapytał. — Zaproponujesz im szybką trwałą?

Mężczyźni podeszli nieco bliżej. Zauważył, że interesuje ich tylko Conena.

— Nie mam broni — oznajmiła.

— A gdzie się podział twój słynny grzebień?

— Został na statku.

— I nic nie masz?

Conena przesunęła się nieco, by jak najwięcej napastników mieć w polu widzenia.

— Mam parę spinek do włosów — wymamrotała kącikiem ust.

— Nadają się?

— Nie wiem. Nigdy nie próbowałam.

— To ty nas w to wplątałaś!

— Uspokój się. Myślę, że chcą nas tylko wziąć do niewoli.

— Dobrze ci mówić. To nie ty będziesz wystawiona jako specjalna oferta tygodnia.

Bagaż raz czy dwa trzasnął wiekiem, trochę niepewny, co właściwie robić. Jeden z mężczyzn ostrożnie wyciągnął miecz i ukłuł Rincewinda w kark.

— Widzisz? — ucieszyła się Conena. — Chcą nas gdzieś zabrać. — Zgrzytnęła zębami. — Och, nie! — mruknęła.

— O co chodzi?

— Nie mogę tego zrobić!

— Czego?

Chwyciła się rękami za głowę.

— Nie mogę oddać się w niewolę bez walki! — syknęła. — Słyszę, jak tysiąc barbarzyńskich przodków oskarża mnie o zdradę!

— Nie nabieraj mnie!

— Nie, naprawdę. To potrwa tylko chwilę.

Poruszyła się błyskawicznie i najbliższy z napastników osunął się bezwładnie, bulgocząc cicho. Łokcie Coneny wbiły się w żołądki dwóch ludzi stojących za nią. Lewa dłoń przemknęła obok ucha Rincewinda i z dźwiękiem dartego jedwabiu powaliła mężczyznę za jego plecami. Piąty rzucił się do ucieczki, ale szybkie podcięcie przewróciło go na ziemię. Przy okazji ciężko uderzył głową w mur.

Conena zsunęła się z niego i usiadła zdyszana. Oczy jej błyszczały.

— Niechętnie się do tego przyznaję, ale od razu poczułam się lepiej — oświadczyła. — Oczywiście, straszna jest świadomość, że zdradziłam piękne tradycje fryzjerskiego fachu. Oj!

— Tak — mruknął ponuro Rincewind. — Zastanawiałem się, kiedy ich zauważysz.

Conena przebiegła spojrzeniem po szeregu łuczników, którzy pojawili się na krawędzi przeciwnego muru. Stali nieruchomo i obojętnie jak ludzie, którym zapłacono za wykonanie zadania. Ludzie, którym nie przeszkadza, jeśli zadanie przewiduje zabijanie innych ludzi.

— Pora na spinki — odpowiedział Rincewind.

Conena nie ruszyła się.

— Ojciec zawsze mi powtarza? — wyjaśniła — że bezcelowe jest podejmowanie bezpośredniego ataku na przeciwnika silnie uzbrojonego w efektywną broń miotającą.

Rincewind, który pamiętał styl wyrażania się Conena, spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Tak dosłownie — dodała — to mówił, żeby nie kopać się po tyłkach z jeżozwierzem.

* * *

Spelter z lękiem myślał o śniadaniu.

El Zastanawiał się, czy nie powinien porozmawiać z Cardingiem. Miał jednak nieprzyjemne przeczucie, że stary mag nie zechce go słuchać, a gdyby nawet, to nie uwierzy. Szczerze mówiąc, sam nie był pewien, czy wierzy...

Owszem, był pewien. Nigdy tego nie zapomni, chociaż zamierzał starać się z całych sił.

Jeden z problemów związanych z mieszkaniem w tym okresie na Uniwersytecie polegał na tym, że budynek, w którym człowiek zasypiał, prawdopodobnie nie

był tym samym, w którym się budził. W wyniku przypadkowych wyładowań magii pokoje miały zwyczaj przekształcania się i przemieszczania. Magia gromadziła się w dywanach i przekazywała magom tak potężny ładunek, że samo uściśnięcie komuś dłoni było pewnym sposobem, by go w coś zamienić. Statyczny ładunek magii przekraczał wręcz pojemność obszaru, który powinien ją utrzymać. Jeśli szybko nie znajdzie się jakaś rada, to wkrótce nawet zwykli ludzie będą jej mogli używać — myśl przejmująca chłodem, ale nie taka, którą Spelter zbyt długo by się martwił; jego umysł był już tak pełen przejmujących chłodem myśli, że mógłby służyć za agregat lodówki.

Zresztą zwykła domowa geografia nie była jedynym problemem. Straszliwe ciśnienie taumatycznego przyływu oddziaływało nawet na jedzenie. Uniesione z talerza na widelcu risotto, kiedy dotarło do ust, mogło się okazać czymś całkiem innym. Jeśli człowiek miał szczęście, to czymś niejadalnym. Jeśli miał pecha, to jadalnym, ale zapewne nie czymś, o czym chciałby myśleć jako o potrawie, albo co gorsza potrawie na wpół zjedzonej.

Spelter znalazł Coina w czymś, co wczoraj w nocy było komórką na miotły. I jedynie dlatego, że nigdy nie słyszał o hangarach lotniczych, teraz nie wiedział, do czego to pomieszczenie porównać. Zresztą trzeba przyznać, że hangary rzadko miewają marmurowe posadzki i posągi pod ścianami. Kilka mioteł i niewielkie pogięte wiadro w kącie wydawały się całkiem nie na miejscu. Choć nie tak bardzo jak połamane stoły w byłym Głównym Holu, który — z powodu działania zalewających budynek fal magii — zmalał do rozmiarów czegoś, co Spelter, gdyby tylko ją widział, nazwałby ciasną budką telefoniczną.

Z najwyższą ostrożnością wsunął się do pokoju i zajął miejsce w radzie magów. Powietrze było gęste i lepkie od mocy.

Spelter stworzył krzesło obok Cardinga, usiadł i pochylił się do niego.

— Nigdy nie uwierzysz... — zaczął.

— Ciszej! — syknął Carding. — To zadziwiające...

Coin siedział na stołku pośrodku kręgu. Jedną rękę opierał na lasce, drugą wyciągał przed siebie. Trzymał w niej coś małego, białego i owalnego. To coś było dziwnie zamglone. Spelter pomyślał, że to wcale nie coś małego i oglądanego z bliska. To było ogromne, ale bardzo dalekie. A chłopiec trzymał to w dłoni.

— Co on robi? — spytał szeptem Spelter.

— Nie jestem całkiem pewien — odpowiedział cicho Carding. — O ile mogliśmy zrozumieć, tworzy nowy dom dla magów.

Wstęgi kolorowego światła zafalowały wokół niewyraźnego owoиду niczym błyskawice dalekiej burzy. Blask rozjaśnił od dołu skupioną twarz Coina. Przypominała maskę.

— Nie bardzo rozumiem, jak się tam zmieścimy — zauważył kwestor. — Carding, wczoraj w nocy widziałem...

— Skończone — oznajmił Coin.

Podniósł jajo, od czasu do czasu rozbłyskujące wewnętrznym światłem i wypuszczające wąskie białe promienie. Nie tylko jest bardzo odległe, pomyślał Spel-ter, ale też niewiarygodnie ciężkie. Przekraczało zwykły ciężar i sięgało na drugi brzeg, w przedziwną negatywną krainę, gdzie ołów byłby próżnią. Raz jeszcze złapał Cardinga za rękaw.

— Słuchaj, to ważne, słuchaj, kiedy zajrzałem. . .

— Naprawdę wolałbym, żebyś przestał.

— Ale laska, jego laska, to nie. . .

Coin wstał i wskazał laską w ścianę, gdzie natychmiast pojawiły się drzwi. Wyszedł przez nie, nie czekając na pozostałych magów. Pobiegli za nim, jak ogon biegnie za kometą. Przeszedł przez ogród nadrektora i nie zatrzymał się, póki nie stanął nad brzegiem Ankh. Rosło tu kilka starych rosochatych wierzb, a rzeka płynęła — a przynajmniej przesuwała się — przez szerokie zakole wokół niewielkiej, pełnej kijanek łąki, nazywanej dość optymistycznie Rozkoszą Magów. W letnie wieczory, kiedy wiatr dmuchał w stronę rzeki, była to miła okolica — w sam raz na popołudniową przechadzkę.

Ciepła srebrzysta mgiełka wciąż spowijała miasto, gdy Coin przemaszerował po wilgotnej trawie i stanął pośrodku. Rzucił jajo, które podryfowało delikatnym łukiem i spadło z chlupnięciem.

Obejrzał się na magów.

— Cofnijcie się — rozkazał. — I bądźcie gotowi do ucieczki. Wymierzył swą oktironową laskę w zagłębiony w błocie obiekt. Promień oktarynowego światła wystrzelił z czubka i uderzył w jajo, eksplodując fontanną iskier, pozostawiających w oczach niebieskie i fioletowe plamy powidoków.

Nastąpiła cisza. Kilkunastu magów wpatrywało się wyczekująco. Wiatr potrząsał wierzbami w sposób zupełnie nie tajemniczy.

Poza tym nic się nie stało.

— Hm. . . — zaczął Spel-ter.

I wtedy poczuli pierwsze drżenie. Kilka liści opadło z gałęzi, gdzieś w dali przestraszony wodny ptak poderwał się do lotu.

Dźwięk rozpoczął się jako niski zgrzyt, raczej wyczuwalny niż słyszalny, jakby stopy nagle stały się uszami. Drzewa zadygotały, a wraz z nimi jeden czy dwóch magów.

Błoto wokół jaja zaczęło bulgotać.

I wybuchło.

Ziemia rozchyliła się jak skórka cytryny. Strugi dymiącego błota ochlapały magów, odskakujących pod osłonę drzew. Jedynie Coin, Spel-ter i Carding pozostali na miejscu, by patrzeć, jak z łąki wyrasta lśniący biały budynek, odrzucając na boki murawę i ziemię. Inne wieże wystrzeliły z gruntu za nimi, a rosnące w powietrzu blanki łączyły je ze sobą.

Spelter zaskomlał cicho, kiedy ziemia rozplynęła mu się pod stopami, zastąpiona nakrapianymi srebrzyście kamiennymi płytami. Zatoczył się, gdy podłogę wypiętrzyło się niepowstrzymanie, niosąc całą trójkę wysoko ponad korony drzew.

Szczyty dachów Uniwersytetu przesunęły się obok i zniknęły w dole. Ankh-Morpork rozłożyło się niby mapa, ze schwytanym węzłem rzeki i niewyraźnymi plamami równin dookoła. Spelterowi przytknęło uszy, ale wznosili się nadal, coraz wyżej. Do chmur.

Przemoknięci i zmarznięci wynurzyli się w gorącym blasku słońca. Pokrywa chmur rozciągała się pod nimi na wszystkie strony. Inne wieże podnosiły się dookoła, migocząc oślepiająco w ostrym świetle dnia.

Carding przyklęknął niezgrabnie i ostrożnie zbadął posadzkę. Skinął na Speltera, by poszedł za jego przykładem.

Spelter dotknął powierzchni gładziej niż kamień. W dotyku byłaby jak lód, gdyby lód był lekko ciepły, a wyglądała jak kość słoniowa. Co prawda nie była całkiem przezroczysta, ale sprawiała wrażenie, że bardzo by chciała.

Miał uczucie, że gdyby zamknął oczy, nie potrafiłby jej wyczuć.

Spojrzał w oczy Cardinga.

— Nie patrz, hm, na mnie — powiedział. — Ja też nie wiem, co to jest.

Obejrżeli się na Coina.

— To magia — wyjaśnił chłopiec.

— Tak, panie, ale z czego to jest zrobione? — spytał Carding.

— Jest zrobione z magii. Z pierwotnej magii. Zestalonej. Zakrzepłej. Odnawianej z sekundy na sekundę. Czy potraficie sobie wyobrazić lepszy budulec dla nowego domu czarodzielstwa?

Laska błysnęła nagle, rozpraszając chmury. Pod nimi pojawił się świat Dysku. Z tej wysokości widzieli, że to istotnie dysk, przypięty do niebios centralnym szczytem Cori Celesti, gdzie mieszkali bogowie. Było tam Okrągłe Morze, tak bliskie, że można by stąd do niego wskoczyć; był ogromny, spłaszczony perspektywą kontynent Klatchu. Krańcowy Wodospad wokół krawędzi świata wyglądał jak roziskrzona wstęga.

— Jest za wielki — wymamrotał Spelter bez tchu.

Świat, w którym żył do tej pory, rozciągał się niewiele dalej niż bramy Uniwersytetu. I to mu odpowiadało. Człowiek dobrze się czuje w świecie takich rozmiarów. Z pewnością zaś nie czuje się dobrze pół mili nad ziemią, stojąc na czymś, czego — w pewnym fundamentalnym sensie — wcale nie ma.

Ta myśl go zaszokowała. Był przecież magiem, a martwił się o magię.

Wycofał się ostrożnie i stanął obok Cardinga.

— Spodziewałem się czegoś innego — stwierdził starszy mag.

— Hm?

— Stąd wydaje się mniejszy, nie sądzisz?

— Właściwie to sam nie wiem. Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć. . .

— Popatrz na Ramtopy. Mógłbyś niemal dosięgnąć ich ręką.

Spoglądali ku oddalonemu o sześćset mil potężnemu łańcuchowi górskiemu, lśniącemu, białemu i zimnemu. Podobno wędrując ku Osi przez ukryte doliny Ramtopów można w zamrożonych krainach wokół Cori Celesti odnaleźć tajemną dziedzinę Lodowych Gigantów, uwięzionych po swej ostatniej wielkiej bitwie z bogami. W tamtych dniach góry były zaledwie wyspami w ogromnym morzu lodu, i lód nadal je okrywał. Coin uśmiechnął się promiennie.

— Co mówisz, Carding? — zapytał.

— Doskonała widoczność, panie. Wydaje się, że są tak bliskie i małe. Powiedziałem, że można ich niemal dosięgnąć.

Coin uciszył go gestem. Wyciągnął chude ramię i podwinął rękaw, co zgodnie z tradycją oznaczało, że za chwilę bez żadnych sztuczek dokona czaru. Potem sięgnął, a kiedy się odwrócił, zaciskał palce na czymś, co bez cienia wątpliwości było garścią śniegu.

Obaj magowie patrzyli w oszołomieniu, jak topi się i ścieka na posadzkę.

Coin parsknął śmiechem.

— Tak trudno wam uwierzyć? — rzucił. — Czy mam zebrać perły z brzegów Krulla nad krawędzią albo piasek z Wielkiego Nefu? Czy wasza dawna magia potrafiła tego dokonać?

Spelterowi wydało się, że głos chłopca nabrał metalicznego brzmienia. Coin przyglądał im się badawczo.

Po chwili Carding westchnął.

— Nie — powiedział niezbyt głośno. — Przez całe życie szukałem magii, a znalazłem tylko kolorowe światła, drobne sztuczki i stare, zeszcłe księgi. Magia niczego nie uczyniła dla świata.

— A jeśli powiem, że zamierzam rozwiązać Obrządki i zamknąć Uniwersytet? Oczywiście jednak moi najbliżsi doradcy otrzymają odpowiednie godności.

Kostki maga zbieleły, ale wzruszył tylko ramionami.

— Niewiele można powiedzieć — rzekł. — Po co komu świeca w południe?

Coin spojrzął na Speltera. Jego laska także. Filigranowe rzeźbienia obserwowały go zimno. Jedno z nich, tuż pod wierzchołkiem, nieprzyjemnie przypominało brew.

— Milczysz, Spelter. Chyba się zgadzasz?

Nie. Świat dysponował kiedyś czarodzielstwem i zrezygnował z niego dla magii. To nie dla nas. Było w nim coś niedobrego, ale zapomnieliśmy, co to takiego. Lubiłem magię. Nie poruszała świata. Pasowała. Była odpowiednia. Zawsze chciałem być magiem i niczym więcej.

Spuścił głowę.

— Tak — wyszeptał.

— To dobrze — stwierdził Coin z satysfakcją.

Podszedł do brzegu wieży i spojrzął w dół, na plan ulic Ankh-Morpork. Wieża Sztuk sięgała ledwie dziesiątej części wysokości, na jakiej się znaleźli.

— Jak sędzę. . . — zaczął. — Jak sędzę, powinniśmy odprawić ceremonię w przyszłym tygodniu, o pełni księżyca.

— Ehm. . . Pełnia księżyca będzie dopiero za trzy tygodnie — zauważył Carding.

— W przyszłym — powtórzył Coin. — Jeśli mówię, że księżyc będzie w pełni, to nikt nie będzie się sprzeczał. — Wciąż wpatrywał się w maleńkie zabudowania Uniwersytetu. Po chwili wskazał coś palcem. — Co to jest?

Carding wyciągnął szyję.

— Hm. Biblioteka. Tak. To Biblioteka. Hm.

Zapadła cisza tak pełna napięcia, aż Carding poczuł, że oczekuje się od niego czegoś więcej. Cokolwiek będzie lepsze od tego milczenia.

— Tam trzymamy księgi. Dziewięćdziesiąt tysięcy tomów. Prawda. Spelter?

— Hm? A tak. Mniej więcej dziewięćdziesiąt tysięcy. Coin wsparł się na lasce.

— Spalcie je — powiedział. — Spalcie je wszystkie.

* * *

Północ pyszniła się swym czarnym kostiumem na korytarzach Niewidocznego Uniwersytetu. Spelter, czując się o wiele mniej pewnie niż ona, skradał się w stronę obojętnych drzwi Biblioteki. Zapukał, a dźwięk odbił się w opustoszałym budynku echem tak głośnym, że mag musiał oprzeć się o ścianę i czekać, aż serce się uspokoi.

Po chwili usłyszał zgrzyt, jakby ktoś odsuwał na bok ciężki mebel.

— Uuk?

— To ja.

— Uuk?

— Spelter.

— Uuk.

— Słuchaj! Musisz stąd uciekać! On chce spalić Bibliotekę!

Odpowiedzią była cisza.

Spelter osunął się na kolana.

— I on to zrobi — wyszeptał. — Pewnie mnie zmusi do tego. . . Ta jego laska, hm, wie o wszystkim, co się dzieje. I wie, że ja o tym wiem. . . Proszę, pomóż mi. . .

— Uuk?

— Zeszłej nocy zajrzałem do jego pokoju i laska. . . laska jaśniała. . . Stała na środku jak latarnia, a chłopiec leżał na łóżku i szlochał. Czułem, że sięga do niego,

uczy go, szepcze straszne rzeczy, a potem mnie zobaczyła, musisz mi pomóc, tylko ty nie wpadłeś pod. . .

Spelter urwał. Twarz mu znieruchomiła. Odwrócił się bardzo wolno i wbrew swej woli, ponieważ coś łagodnie wprawiało go w ruch wirowy.

Wiedział, że Uniwersytet jest pusty. Wszyscy przeprowadzili się do Nowej Wieży, gdzie najskromniejszy ze studentów miał apartament wspanialszy niż dawniej najpoważniejsi magowie.

Laska wisiała w powietrzu o kilka stóp od niego. Lśniła lekko oktarynowym blaskiem.

Wyprostował się czujnie i zwrócony plecami do ściany, wpatrzony w laskę, sunął wzdłuż muru, aż dotarł do końca korytarza. Na rogu zauważył, że laska, nie ruszając się z miejsca, wykonała obrót wokół osi, gotowa ruszyć za nim.

Krzyknął niegłośnie, podkasał szatę i puścił się biegiem.

Laska znalazła się przed nim. Wyhamował z poślizgiem i stanął bez ruchu, próbując odzyskać oddech.

— Nie boję się ciebie — skłamał.

Odwrócił się na pięcie i odmaszerował w innym kierunku. Pstryknął palcami, stwarzając pochodnię jarzącą się białym płomieniem. Tylko oktarynowa aureola zdradzała jego magiczne pochodzenie.

I znowu laska znalazła się przed nim. Światło pochodni zostało wessane, zmieniło się w wąski, brzęczący strumień białego ognia, który rozblysnął i zniknął z cichym puknięciem.

Czekał; oczy łzawiły mu, zmęczone błękitnymi powidokami. Jeśli jednak laska wciąż tam była, chyba nie zamierzała wykorzystywać swojej przewagi. Kiedy odzyskał wzrok, po lewej stronie zauważył ciemną plamę: schody do kuchni.

Rzucił się w tamtą stronę, przeskakiwał niewidoczne stopnie, wreszcie ciężko i niespodziewanie wylądował na nierównej posadzce. Nieco księżycowego blasku sączyło się tutaj przez dalekie zakratowane okienko i Spelter wiedział, że gdzieś tam jest wyjście na świat.

Bolały go kostki nóg, a szum własnego oddechu huczał w uszach, jakby całą głowę wsadził do morskiej muszli. Zataczając się nieco, Spelter ruszył przez nieskończoną pustynię podłogi.

Jakieś przedmioty brzęczały mu pod stopami. Oczywiście, zniknęły stąd szczury, ale kuchnia była ostatnio zaniedbana. Uniwersyteccy kucharze należeli do najlepszych na świecie, ale teraz każdy z magów potrafił wyczarować posiłki niedostępne zwykłej sztuce kulinarnej. Wielkie miedziane patelnie wisiały zapomniane na ścianach, tracąc z wolna swój połysk, a kuchenne paleniska pod gigantycznym łukiem komina wypełniał jedynie wystygły popiół. . .

Laska leżała w poprzek drzwi niczym sztaba. Odwróciła się, gdy Spelter podszedł bliżej, i na moment zawisła pionowo, promieniując aurą zimnej wrogości. A potem bezszelestnie ruszyła w jego stronę.

Cofnął się, ślizgając na poplamionych tłuszczem kamieniach. Coś uderzyło go z tyłu po udach i krzyknął, ale gdy sięgnął za siebie, znalazł tylko pień do rąbania mięsa.

Palce obmacywały nerwowo nierówną powierzchnię, aż wbrew wszelkiej nadziei natrafiły na wbity w drewno tasak. I zacisnęły się na rękojeści.

Spelter tracił oddech, tracił cierpliwość, tracił poczucie miejsca i czasu, a był tak przerażony, że niemal tracił rozum.

Kiedy więc laska zatrzymała się przed nim, wyrwał tasak, uniósł go i z półobrotu uderzył z całą siłą, na jaką było go jeszcze stać.

I znieruchomiał. Wszystkie jego magiczne instynkty protestowały głośno przeciwko zniszczeniu takiej potęgi, mocy, która może przecież być wykorzystana. Wykorzystana przez niego...

Laska przekreśliła się tak, że jej oś mierzyła prosto w Speltera.

O kilka korytarzy dalej bibliotekarz opierał się plecami o drzwi Biblioteki i wpatrywał w migoczące na podłodze niebieskie i białe rozbłyski. Usłyszał daleki łoskot wyładowania czystej energii: dźwięk, który zaczynał się nisko, a kończył na wysokościach niedostępnych nawet dla Szczekacza, osłaniającego głowę łapami.

Potem zabrzmiał stłumiony, całkiem zwyczajny szczeł, jaki mógłby wydawać nadpalony i poskręcany tasak, padając na posadzkę.

Był to głos sprawiający, że następująca po nim cisza przetacza się niby ciepła, aksamitna lawina.

Bibliotekarz owinał się tą ciszą jak płaszczem i popatrzył na niezliczone szeregi książek, pulsujące lekko blaskiem własnej mocy magicznej. Półka po półce, spoglądały w dół, na niego¹³. Słyszały. Wyczuwał ich lęk.

Przez kilka minut orangutan stał nieruchomo jak posąg, aż wreszcie podjął decyzję. Podpierając się rękami przeszedł do biurka i po długich poszukiwaniach odnalazł ciężki pierścień obwieszony kluczami. Potem odwrócił się i stanął pośrodku podłogi.

— Uuk — powiedział bardzo stanowczym tonem.

Książki przysunęły się do krawędzi półek. Słuchały z najwyższą uwagą.

* * *

— Co to za miejsce? — zdziwiła się Conena. Rincewind rozejrzał się dookoła i spróbował zgadnąć. Wciąż przebywali w sercu Al Khali. Słyszał dobiegający zza murów miejski gwar. Ale pośrodku miasta ktoś opróżnił sporą przestrzeń, ogrodził

¹³Albo w górę, albo na ukos. Układ Biblioteki Niewidocznego Uniwersytetu jest topograficznym koszmarem; obecność takich ilości zakumulowanej magii skręca wymiary i grawitację w coś na kształt spaghetti, przy którym nawet M.C. Escher musiałby się położyć - czy może wstać - i odpocząć.

ją i posadził ogród tak romantycznie naturalny, że wyglądał równie realistycznie, co cukrowe prosię.

— Wydaje się, że ktoś murem otoczył duży kawał miasta. Możliwe, że zakłętym — zaryzykował.

— Dziwny pomysł — stwierdziła Conena.

— A jakie tu mają religie. . . Kiedy umierasz, rozumiesz, to idziesz do mniej więcej takiego ogrodu, gdzie cały czas gra mniej więcej taka muzyka i. . . i. . . — zająknął się, zakłopotany. — I jest sorbet i. . . i młode kobiety.

Conena oceniła spojrzeniem ogród z jego pawiami, wykwintnymi altanami i nieco zasapanymi fontannami. Kilkanaście spoczywających tu i tam kobiet obserwowało ją obojętnie. Ukryta orkiestra smyczkowa grała złożoną melodycznie klatchiańską muzykę bhong.

— Ja nie umarłam — oznajmiła. — Jestem pewna, że bym o tym pamiętała. Zresztą ja zupełnie inaczej wyobrażam sobie raj. — Zerknęła krytycznie na półleżące postacie i dodała: — Zastanawiam się, kto je czesze.

Czubek miecza ukłął ją w kark i oboje ruszyli krętą ścieżką w stronę niewielkiego, okrytego kopułą pawilonu otoczonego oliwnym gajem. Zmarszczyła czoło.

— A poza tym nie lubię sorbetu.

Rincewind zrezygnował z komentarza. Był zajęty badaniem stanu własnego umysłu i to, co tam znalazł, wcale mu się nie spodobało. Miał przerażające uczucie, że właśnie się zakochuje.

Z pewnością wykrył u siebie wszystkie klasyczne objawy: spocone dłonie, wrażenie gorąca w brzuchu, dziwne uczucie, że skóra na piersi zrobiona jest z naciągniętej gumy I jeszcze — za każdym razem, gdy Conena się odzywała — uczucie, że ktoś przesuwa mu po grzbiecie gorące stalowe ostrze.

Spojrzał na Bagaż, maszerujący ze stoickim spokojem obok niego, i rozpoznał te same objawy.

— Ty też? — zapytał.

Być może było to tylko odbicie słońca na poobijanym wieku, ale zdawało się, że na jedną chwilę stało się ono czerwiesze niż zazwyczaj.

Oczywiście, myślącą gruszę charakteryzuje tego typu tajemnicze psychiczne połączenie z właścicielem. . . Rincewind pokręcił głową. To by wyjaśniało, dlaczego Bagaż stracił swój zwykły, złowrogi charakter.

— Nic z tego nie wyjdzie — oświadczył. — Rozumiesz, ona jest kobietą, a ty. . . — Urwał. — No, czymkolwiek jesteś, to jesteś drewniany. To się nie uda. Ludzie by gadali. . .

Odwrócił się i popatrzył ponuro na czarno odzianego strażnika.

— No i czego się gapisz? — zapytał gniewnie.

Bagaż przysunął się do Coneny. Szedł tuż za nią, tak blisko, że kopnęła go i otarła sobie kostkę.

— Odczep się — burknęła i kopnęła go znowu, tym razem celowo.

Gdyby Bagaż mógł posiadać wyraz twarzy, to teraz spoglądałby na nią z wyrazem zdumienia i zawodu.

Pawilon przed nimi był ozdobną kopułą kształtu cebuli, wysadzaną szlachetnymi kamieniami i opartą na czterech kolumnach. Wnętrze zaścielały poduszki, na których leżał dość tęgi mężczyzna w średnim wieku, w otoczeniu trzech młodych kobiet. Miał na sobie purpurową szatę haftowaną złotą nicią, one zaś — o ile Rincewind zdołał się zorientować — demonstrowały, że sześć pokrywek, słoiczeków i kilka łokci firanki może przebyć daleką drogę, chociaż... — zadrżał — niedostatecznie daleką.

Mężczyzna coś pisał. Podniósł głowę.

— Pewnie nie znacie dobrego rymu do „szeroki” — zapytał zrezygowany.

— Obłoki? — odpowiedział Rincewind. — Tłoki?

— Zwłoki? — zaproponowała Conena ze sztuczną wesołością.

Mężczyzna zawahał się.

— Zwłoki mi się podobają — mruknął. — Otwierają pewne możliwości. Tak, zwłoki mogą się nadać. A przy okazji, przysuńcie sobie poduszkę. Dlaczego tak stoicie?

— To przez te sznury — wyjaśniła Conena.

— Mam alergię na zimną stal — dodał Rincewind.

— To doprawdy irytujące — stwierdził mężczyzna. Klasnął w dłonie tak ciężkie od pierścieni, że dźwięk przypominał raczej dzwonięcie. Natychmiast podeszli dwaj strażnicy i rozcięli więzy, po czym cały oddział rozpląnął się bez śladu. Co prawda Rincewind był nieprzyjemnie świadom dziesiątków ciemnych oczu obserwujących ich z okolicznego listowia. Zwierzęcy instynkt podpowiadał mu, że choć z pozoru pozostali z Coneną sami z mężczyzną, jeden agresywny ruch wystarczy, by świat zmienił się w kłujące i bardzo bolesne miejsce. Usiłował promieniować spokojem i wszechogarniającą przyjaźnią. Starał się znaleźć coś do powiedzenia.

— No cóż... — zaczął, spoglądając na brokatowe kotary, wysadzone rubinami kolumny i haftowane złotem poduszki. — Pięknie urządziłeś to miejsce, panie. Wręcz... — Szukał dostatecznie opisowej frazy. — Wręcz cudem jest ów kontrast ogrodu i miasta...

— Wszyscy staramy się dążyć do prostoty — westchnął mężczyzna, wciąż pisząc pracowicie. — Skąd się tu wzięliście? Co nie znaczy, że nie jest przyjemnością spotkać innych podopiecznych muzy poezji.

— Zostaliśmy tu przyprowadzeni — odparła Conena.

— Przez ludzi z mieczami — dodał Rincewind.

— Drodzy przyjaciele, oni robią to jedynie, aby nie wyjść z wprawy. Może macie ochotę?

Pstryknął palcami na jedną z dziewcząt.

— Tego... może nie teraz — zaczął Rincewind, ale ona podniosła tylko talerz złocistobrazowych podłużnych ciasteczek i podała mu skromnie. Spróbował jednego. Było cudowne: słodkie i chrupiące, smakowało lekko miodem. Wziął jeszcze dwa.

— Przepraszam — wtrąciła Conena. — Ale kim jesteś, panie? I gdzie jesteśmy?

— Nazywam się Kreozot i jestem szeryfem Al Khali — wyjaśnił tęgi mężczyzna. — A to moja Pustelnia. Każdy się stara, jak może.

Rincewind zakrztusił się miodowym paluszkiem.

— Chyba nie ten Kreozot z „Bogaty jak Kreozot”? — zapytał.

— To był mój najdroższy ojciec. Ja, szczerze mówiąc, jestem jeszcze bogatszy. Kiedy posiada się wielkie ilości pieniędzy, niełatwo jest osiągnąć prostotę. — Westchnął. — Ale staram się.

— Mógłbyś spróbować je rozdać — zaproponowała Conena.

Westchnął znowu.

— Wiesz chyba, że to nie takie łatwe. Nie. Po prostu trzeba próbować z wielkim nakładem środków zrobić jak najmniej.

— Ale nie... Posłuchaj! — zawołał Rincewind, wypluwając okruchy ciastka. — To znaczy, mówią przecież, że wszystko, czego tkniesz, zmienia się w złoto! Na miłość bogów!

— Wyjście do toalety może być trochę trudne — zauważyła żartobliwie Conena. — Przepraszam.

— Człowiek słyszy o sobie takie historie — odparł Kreozot, udając, że nie dośłyszał. — To męczące. Jakby bogactwo było czymś istotnym. Prawdziwe skarby leżą w skarbcach literatury.

— Ten Kreozot, o którym ja słyszałam — oświadczyła z namysłem Conena — był przywódcą bandy, no... szalonych zabójców Pierwszych Asassynów, budzących strach na całym kontynencie Klatchu. Nie chciałam cię urazić, panie.

— A tak. To mój kochany tatuś — przyznał Kreozot junior. — Hashashimi. Niezwykły pomysł¹⁴. Ale niezbyt skuteczni. Dlatego zamiast nich wynajęliśmy Thugów.

— Aha... Nazwani tak od sekty religijnej — domyśliła się Conena

Kreozot spojrzał na nią w zamyśleniu.

— Nie — rzekł powoli. — Nie wydaje mi się. Nazwaliśmy ich chyba od ich zwyczaju przeciskania ludziom twarzy przez tył głowy. Okropność.

Podniósł pergamin, na którym pisał, i mówił dalej:

¹⁴Hashashimi, którzy wzięli swą nazwę od dużych ilości konsumowanego haszyszu, byli wyjątkowi pośród okrutnych zabójców, jako śmiertelnie groźni, a równocześnie skłonni do chichotów, zachwyty nad grą światła i cienia na straszliwych klingach ich sztyletów, a w przypadkach krańcowych nawet do padania bez przytomności.

— Wolę raczej aktywność umysłu. Dlatego kazałem przerobić centrum miasta w Pustelnię. Bardzo pomaga przepływowi myśli. Każdy się stara, jak może. Pozwolicie, że przeczytam wam moje ostatnie *oeuvre*?

— Co? — zapytał Rincewind, który nie nadążał.

Kreozot wyciągnął przed siebie tłustą dłoń i zadeklamował:

Pod drzewem letni pałac, a w górze obłoki,
Butelka wina, chleb, kuskus z jagnięcia
z cukinią, smażone jęczyczki pawi, kebab, mrożony
sorbet, rozmaite słodczyce na tacy
i Ciebie wybór szeroki
śpiewa przy mnie w Pustelni,
Pustelnia zaś...

Przerwał i w zadumie sięgnął po pióro.

— Chyba jednak zwłoki nie będą tu pasować — stwierdził. — Kiedy się lepiej zastanowić...

Rincewind spojrział na przystrzyżone gałęzie, starannie poukładane kamienie i wysoki mur dookoła. Jedna z Ciebie mrugnęła do niego.

— To jest Pustelnia? — upewnił się.

— Moi ogrodnicy, jak sądzę, uwzględnili tu wszystkie zasadnicze cechy. Całe lata poświęcili, by nurt strumieni uczynić dostatecznie krętym. Mam informacje z wiarygodnych źródeł, że można tu znaleźć wizję surowej wspaniałości i zapierającego dech naturalnego piękna.

— I skorpiony — dodał Rincewind, sięgając po kolejne miodowe ciasteczko.

— Nic mi o tym nie wiadomo — zapewnił poeta. — Skorpiony wydają mi się mało poetyckie. Szarańcza i miód leśny są bardziej odpowiednie, wedle klasycznych reguł poetyki. Chociaż jakoś nie mogę w sobie wzbudzić sympatii do insektów.

— Zawsze sądziłam, że te owady, które ludzie jadają na pustkowiu, to naprawdę nie owady, tylko owoce jakiegoś drzewa¹⁵ — zauważyła Conena. — Ojciec zawsze mówił, że są całkiem smaczne.

— Nie insekty? — upewnił się Kreozot.

— Raczej nie.

Władca skinął głową Rincewindowi.

— W takim razie możesz je skończyć — rzekł. — Chrupiące paskudztwa. Nigdy nie rozumiałem, czemu muszę się z nimi męczyć.

¹⁵Conena mówi tu o drzewie świętojańskim (ang. locust tree). Nie rosną na nim robaczki, ale tzw. chleb świętojański. (przyp. tłum.)

— Nie chciałabym wydać się niewdzięczną — zawołała Conena, przekrzykując gorączkowy kaszel Rincewinda. — Ale dlaczego kazałeś nas tu sprowadzić, panie?

— Dobrze pytanie. — Kreozot przez kilka sekund wpatrywał się w nią tępo, jakby usiłował coś sobie przypomnieć. — Istotnie, jesteś bardzo atrakcyjną młodą kobietą — stwierdził w końcu. — Nie grasz przypadkiem na harfie?

— A ile ona ma ostrzy?

— Szkoda — mruknął władca. — Specjalnie kazałem ją sprowadzić.

— Ojciec nauczył mnie grać na harmonijce — przypomniała sobie Conena.

Wargi Kreozota poruszyły się bezgłośnie, jakby rozważał w myślach tę propozycję.

— Nie — stwierdził w końcu. — Jakoś nie pasuje. Ale dziękuję za dobre chęci. — Raz jeszcze obejrzał ją z uwagą. — A wiesz, rzeczywiście pięknie wyglądasz. Czy ktoś ci już powiedział, że masz szyję niby wieża z kości słoniowej?

— Nigdy.

— Szkoda — powtórzył Kreozot.

Poszukał między poduszkami i wyjął nieduży dzwonek. Potrząsnął.

Po chwili zza pawilonu wynurzyła się posępna, wysoka postać.

Mężczyzna wyglądał na kogoś, kto potrafiłby bez zginania precyzyjnie przecisnąć się przez korkociąg, a coś w jego oczach mogłoby zniechęcić przeciętnego wściekłego szczura i skłonić go do szybkiej i dyskretnej ucieczki.

Człowiek ten, można by powiedzieć, nosił tytuł Wielkiego Wezyra niemal wypisany na twarzy. Nikt nie mógłby go niczego nauczyć w przedmiocie wydziedziczenia wdów i więzienia wrażliwych młodych ludzi w grotach rzekomo pełnych klejnotów. Jeśli chodzi o brudną robotę, to prawdopodobnie napisał o niej książkę, albo — co pewniejsze — komuś ją ukradł.

Na głowie miał turban ze sterzącym pośrodku szpiczastym kapeluszem. I miał też długie wąsy, co chyba oczywiste.

— Jesteś, Abrimie — rzucił Kreozot.

— Wasza Wysokość mnie wzywał?

— To mój Wielki Wezyr — przedstawił go szeryf.

— Tak myślałem — mruknął do siebie Rincewind.

— Ci ludzie... Dlaczego ich tu sprowadziliśmy?

Wezyr poruszył wąsem, zapewne skracając termin kolejnym dziesięciu dłużnikom.

— Kapelusz, Wasza Wysokość — powiedział. — Kapelusz, jak zapewne pamiętasz.

— A tak. Fascynujący. Gdzie go schowaliśmy?

— Chwileczkę — przerwał niespokojnie Rincewind. — Ten kapelusz... Nie jest przypadkiem szpiczasty i trochę podniszczony, z mnóstwem ozdób? Jakies koronki i różne takie... — Zawahał się. — Nikt chyba nie próbował go wkładać?

— Bardzo wyraźnie nas ostrzegł, żeby tego nie robić — odparł Kreozot. — Więc Abrim, oczywiście, kazał go przymierzyć jakiemuś niewolnikowi. A ten powiedział, że rozboleła go głowa.

— Uprzedził także, że wkrótce tu przybędziecie — dodał wezyr, ruchem głowy wskazując Rincewinda. — A zatem uznałem... to znaczy szeryf uznał, że może powiecie nam coś więcej o tym niezwykłym obiekcie.

Istnieje pewien ton głosu zwany pytającym. Wezyr go użył; lekki nacisk sugerował, że jeśli szybko nie dowie się czegoś o kapeluszu, ma w planach rozmaite czynności, w opisie których występują; takie słowa jak „rozpalone do czerwoności” i „noże”. Naturalnie, wszyscy Wielcy Wezyrowie zawsze wyrażają się w ten sposób. Zapewne kończą jakąś specjalną szkołę.

— Strasznie się cieszę, że go znaleźliście — oznajmił Rincewind. — Ten kapelusz to gngngnh... .

— Przepraszam najmocniej, ale nie zrozumiałem — rzekł Abrim. Skinieniem ręki nakazał dwóm ukrytym strażnikom, by podeszli bliżej. — Straciłem fragment po tym, jak ta młoda dama... — Skłonił się Conenie. — ...trafiła cię łokciem w ucho.

— Sądzę — wtrąciła Conena uprzejmie, lecz stanowczo — że powinniśmy go zobaczyć.

Pięć minut później, ze swego miejsca w skarbcu szeryfa, kapelusz powiedział: *Nareszcie. Czemu tak długo?*

* * *

Rincewind i Conena prawdopodobnie mają wkrótce paść ofiarą morderczego ataku. Coin ma właśnie zwrócić się do zgromadzonych i załęczonych magów z przemówieniem na temat zdrady. Dysk ma niedługo znaleźć się pod dyktatorską władzą magii. Chwila jest więc odpowiednia, by poruszyć temat poezji i natchnienia.

Na przykład szeryf z swojej *bijou* pustelni właśnie przerzucił kilka stron wierszy, zamierzając poprawić strofy zaczynające się od:

Powstań! Gdyż ranek w filizance dnia
Łyzeczką upuszczoną nocne gwiazdy precz gna.

Westchnął, bowiem rozpalone wersy płonące w wyobraźni nigdy jakoś nie dawały się zapisać dokładnie tak, jakby tego pragnął. Szczerze mówiąc, było to całkiem niemożliwe. To smutne, ale ciągle zdarzają się takie rzeczy.

W wielowymiarowych światach multiversum jest faktem powszechnie znanym i uznanym, że duża część naprawdę wielkich odkryć zawdzięcza swe istnienie jednej krótkiej chwili natchnienia. Oczywiście, poprzedza ją ciężka praca, ale tym, co domyka teorię, jest widok — powiedzmy — spadającego jabłka, parującego garnka czy wody przelewającej się przez brzeg wanny. Coś zaskakuje w głowie obserwatora i wszystko układa się po kolei. Kształt łańcuchów DNA, jak głosi popularna opowieść, zawdzięcza swe odkrycie przypadkowemu widokowi spiralnych schodów w chwili, gdy umysł naukowca znajdował się we właściwej temperaturze receptywnej. Gdyby uczony skorzystał z windy, cała nauka genetyki mogłaby dziś wyglądać całkiem inaczej¹⁶.

Zjawisko to uważa się zwykle za cudowne. To nieprawda. Jest tragiczne. Małeńkie cząsteczki natchnienia wciąż pędzą przez wszechświat, przebijając najgęstszą materię tak, jak neutrino przebija stóg cukrowej waty. I większość z nich chybia.

Co gorsza, większość z tych, które trafiają w mózgowy cel, trafia w niewłaściwy.

Na przykład niezwyklej sen o ołowianym obwarzanku na milowej wysokości kratownicy, który w odpowiednim umyśle stałby się katalizatorem wynalazku represyjno-grawitacyjnego generatora elektryczności (taniego, niewyczerpanego i absolutnie bezpiecznego źródła energii, którego pewna cywilizacja poszukiwała od stuleci i z braku którego wywołała straszliwą i bezsensowną wojnę)... Ów sen przytrafił się małej, wystraszonej kaczce.

Inny pechowy przypadek sprawił, że widok stada białych koni, galopujących przez pole hiacyntów, nie umożliwił kompozytorowi stworzenia słynnej „Suity Uciekającego Boga”, która sprowadziłaby poczucie spokoju i braterstwa na dusze milionów słuchaczy. Niestety, leżał on w łóżku chory na półpaśca. Natchnienie trafiło zatem najbliższą żabę, a ta nie miała możliwości wniesienia znaczącego wkładu w dziedzinę poezji tonów.

Liczne cywilizacje dostrzegały to wstrząsające marnotrawstwo i rozmaitymi sposobami usiłowały mu zapobiegać. Większość tych metod polegała na przyjemnych, choć nielegalnych próbach dostrojenia umysłu do odpowiedniej długości fal, z wykorzystaniem egzotycznych ziół albo produktów fermentacji drożdży. To nigdy nie jest skuteczne.

I tak Kreozot, który marzył o natchnieniu, pozwalającym mu stworzyć możliwe piękny poemat o życiu, filozofii, i jak to oba te zjawiska wyglądają o wiele lepiej oglądane przez dno szklanic wina, niezdolny był do jakichkolwiek osiągnięć w tej dziedzinie, talentu poetyckiego miał bowiem tyle, co hiena.

Dlaczego bogowie pozwalają na takie rzeczy, nadal pozostaje tajemnicą.

Niezbędny dla precyzyjnego i zrozumiałego wyjaśnienia tej kwestii rozblýsk

¹⁶Chociaż byłaby może szybsza. I przeznaczona do transportu najwyżej ośmiu osób.

natchnienia rzeczywiście nastąpił, ale stworzenie, któremu się przytrafił — mała samica sikorki modrej — nie potrafiła przekazać swej idei, mimo kilku wiadomości wyjątkowo pracochłonne zakodowanych na kapslach butelek z mlekiem. Dziwnym zbiegiem okoliczności filozof, który tej tajemnicy poświęcił wiele nieprzespanych nocy, tego samego ranka obudził się ze znakomitym i pomysłem, jak wydobywać ziemne orzeszki z ptasich karmników.

Co z kolei gładko doprowadza nas do tematu magii.

* * *

W niezgłębionej dali, wśród mrocznych otchłani kosmosu, mknie przed siebie pojedyncza cząsteczka natchnienia, nieświadoma swego przeznaczenia. I bardzo dobrze, ponieważ przeznaczenie owo nakazuje jej uderzyć — już za kilka godzin — w niewielki obszar mózgu Rincewinda.

Byłoby to przeznaczenie ciężkie, nawet gdyby kreatywne jądro mózgu Rincewinda miało jakiś sensowny rozmiar. Ale karma cząsteczki postawiła ją przed problemem trafienia z odległości kilkuset lat świetlnych w ruchomy cel wielkości rodzyнки. Niełatwo jest być małą subatomową cząsteczką w wielkim i ciemnym wszechświecie.

Jeśli jednak uda się jej ten wyczyn, Rincewindowi przyjdzie do głowy poważna idea filozoficzna. Jeśli nie, pobliska cegła wpadnie na pomysł, z którym zupełnie nie potrafi sobie poradzić.

* * *

Pałac szeryfa, który przeszedł do legendy jako Rhoxie, zajmował większą część centrum Al Khali, nie zajęta wcześniej przez Pustelnię. Niemal każdy obiekt związany z Kreozotem sławiony był w mitach; ten pałac, zdobny łukami, kopułami i kolumnadami, miał podobno więcej komnat, niż człowiek zdolny jest zliczyć. Rincewind nie wiedział, pod którym numerem się znalazł.

— Jest magiczny, prawda? — zapytał wezyr Abrim. Szturchnął Rincewinda w żebro. — Jesteś magiem. Powiedz, co on potrafi.

— Skąd wiesz, że jestem magiem? — spytał załamany Rincewind.

— Masz to napisane na kapeluszu.

— Aha.

— I byłeś z nim na statku. Moi ludzie cię widzieli.

— Szeryf zatrudnia łowców niewolników? — burknęła Conena. — To nie pasuje do prostoty.

— Nie. To ja zatrudniam łowców niewolników — wyjaśnił Abrim. — W końcu jestem wezyrem. Tego się ode mnie oczekuje.

Przyjrzał się z uwagą dziewczynie, po czym skinął głową na strażników.

— Obecny szeryf jest dość poetycki w swych poglądach — rzekł. — Ja za to wręcz przeciwnie. Zabierzecie ją do seraju. Chociaż... — Wzniósł oczy w górę i westchnął z irytacją. — Jestem pewien, że czeka ją tam jedynie nuda i możliwe, że chrypka.

Zwrócił się do Rincewinda.

— Nic nie mów — rozkazał. — Nie poruszaj rękami. Nie próbuj żadnych magicznych wyczynów. Chronią mnie niezwykle i potężne amulety.

— Chwileczkę... — zaprotestował Rincewind, ale Conena mu przerwała:

— Nic nie szkodzi. Zawsze mnie ciekawiło, jak wygląda harem.

Rincewind otwierał i zamykał usta, ale nie wydawał żadnego dźwięku. Wreszcie wykrztusił:

— Naprawdę?

Poruszyła brwią. Zapewne był to jakiś sygnał i Rincewind czuł, że powinien go zrozumieć. Jednak w największych głębiach jego istoty budziły się niezwykle namiętności. Co prawda nie mogły uczynić go odważnym, ale uczyniły rozgniewanym. W dużym przyspieszeniu dialog toczący się za jego oczami brzmiał mniej więcej tak:

Uch.

Kto to?

Twoje sumienie. Czuję się potwornie. Patrz, zabierają ją do haremu.

Lepiej ją niż mnie, pomyślał Rincewind, ale bez przekonania.

Zrób coś!

Tu jest pełno strażników! Zabiją mnie!

No to zabiją. To jeszcze nie koniec świata.

Dla mnie tak, stwierdził Rincewind ponuro.

Ale pomyśl tylko, jak wspaniale będziesz się czuł w przyszłym życiu...

Daj mi spokój, dobrze? Mam się serdecznie dosyć. Abrim podszedł do Rincewinda i przyjrzał mu się z ciekawością.

— Z kim rozmawiałeś? — zapytał.

— Ostrzegam cię — wycedził Rincewind przez zaciśnięte zęby. — Mam magiczny kufer na nóżkach, absolutnie bezlitosny dla wrogów. Wystarczy jedno moje słowo i...

— Jestem pod wrażeniem — zapewnił Abrim. — Czy on jest niewidzialny?

Rincewind zaryzykował szybkie zerknięcie przez ramię.

— Przecież był ze mną, kiedy tu wchodziłem — jęknął i zgarbił się. Fałszywe jest stwierdzenie, że Bagażu nigdzie nie było widać. W pewnych miejscach był dobrze widoczny, jednak te miejsca nie znajdowały się blisko Rincewinda.

Abrim wolno okrążył stół, na którym spoczywał kapelusz. Podkreślił wąsa.

— Raz jeszcze pytam — rzekł. — Czuję, że to obiekt posiadający moc. Musisz mi powiedzieć, co potrafi.

— Dlaczego jego nie zapytasz?

— Nie chce mówić.

— A dlaczego właściwie chcesz wiedzieć?

Abrim zaśmiał się. Nie był to miły dźwięk. Brzmiał tak, jakby ktoś tłumaczył wezyrowi, czym jest śmiech — prawdopodobnie powoli i wielokrotnie, jednak sam wezyr nigdy nie słyszał nikogo śmiejącego się naprawdę.

— Jesteś magiem — rzekł. — Magia to władza. Ja również interesuję się magią. Mam talent. . . — Wezyr wyprostował się dumnie. — O tak. Ale nie chcieli mnie przyjąć na ten wasz Uniwersytet. Powiedzieli, że jestem psychicznie nierównoważony. Dasz wiarę?

— Nie — zapewnił Rincewind szczerze.

Większość magów na Niewidocznym zawsze wydawała mu się pozbawiona przynajmniej piątej klepki. Abrima uznałby za całkiem typowy materiał na maga.

Abrim uśmiechnął się zachęcająco.

Rincewind zerknął z ukosa na kapelusz. Ten milczał. Potem spojrzął na wezyra. Jeśli śmiech był dziwaczny, to wobec tego uśmiechu wydawał się zwyczajny jak ptasia piosenka. Uśmiech wyglądał, jakby wezyr uczył się go z wykresów.

— Nawet dzikie konie nie zmuszą mnie, bym w czymkolwiek ci pomógł — oświadczył Rincewind.

— Aha — ucieszył się wezyr. — Wyzwanie. Ruchem ręki wezwał strażnika.

— Czy mamy w stajniach jakieś dzikie konie?

— Jest kilka całkiem rozszałałych, panie.

— Rozwściecz cztery i wyprowadź je na obrotowy dziedziniec. A. . . i przynieś parę kawałków łańcucha.

— Natychmiast, panie.

— Ehm. . . Chwileczkę — odezwał się Rincewind.

— Słucham? — rzucił Abrim.

— Jeśli tak stawiasz sprawę. . .

— Chciałbyś coś powiedzieć?

— To jest kapelusz nadrektora, skoro już musisz wiedzieć — wyznał Rincewind. — Symbol magii.

— Potężny?

Rincewind zadrżał.

— Bardzo — potwierdził.

— A dlaczego nazywa się kapeluszem nadrektora?

— Nadrektor to najstarszy z magów. Przywódca. Ale posłuchaj. . .

Abrim wziął kapelusz i raz po raz obracał go w dłoniach.

— Jest więc, można powiedzieć, oznaką urzędu?

— Zgadza się. Ale jeśli chcesz go włożyć, to muszę cię ostrzec. . .

Zamknij się.

Abrim aż podskoczył, upuszczając kapelusz na podłogę.

Mag nic nie we. Odeślij go. Musimy negocjować.

Wezyr wpatrywał się w błyszczące nad rondem oktaryny.

— Ja mam negocjować? Z elementem odzieży?

Wiele mogę zaoferować właściwej głowie.

Rincewind był przerażony. Powiedziano już, że posiadał instynkt ostrzegający przed niebezpieczeństwem, spotykany zwykle tylko u niektórych małych gryzoni. Ten instynkt obijał się teraz o wnętrze czaszki, próbując uciec i gdzieś się schować.

— Nie słuchaj! — wykrzyknął.

Włóż mnie, podpowiedział chytrze kapelusz, głosem prastarym, który brzmiał tak, jakby mówiący miał pełne usta filcu.

Jeśli naprawdę istnieje gdzieś szkoła dla wezyrów, Abrim musiał w niej być prymusem.

— Najpierw porozmawiamy — rzekł. Skinął na strażników i wskazał Rincewinda. — Zabierzcie go stąd i wrzucie do zbiornika z pajakami — rozkazał.

— Nie! Tylko nie pajaki! — jęknął Rincewind.

Kapitan straży wystąpił naprzód i zaszalutował z szacunkiem.

— Skończyły nam się pajaki, panie.

— Hm... — Przez chwilę wezyr wyraźnie nie wiedział, co począć. — W takim razie zamknijcie go w klatce tygrysa.

Strażnik zawahał się, usiłując ignorować nagły wybuch skomlenia przy swoim boku.

— Tygrys źle się czuje, panie. Przez całą noc nie zmrużył oka.

— Rzućcie więc tego zasmarkanego tchórza do sztolni wiecznego ognia!

Para strażników wymieniła znaczące spojrzenia nad głową Rincewinda, który osunął się na kolana.

— Tego... Trzeba nas wcześniej uprzedzić, panie...

— Musimy przecież go rozpalić...

Wezyr z całej siły uderzył pięścią w stół. Kapitan straży rozpromienił się nagle i uśmiechnął przerażająco.

— Jest jeszcze jama węży, panie — oświadczył.

Pozostali kiwnęli głowami. Zawsze jeszcze była jama węży.

Cztery głowy zwróciły się w stronę Rincewinda, który wstał i strzepnął piasek z kolan.

— Co myślisz o węzach? — zapytał jeden ze strażników.

— Węże? Nie przepadam za węzami...

— Jama węży — zdecydował Abrim.

— Tak. Jama węży — zgodzili się chórem strażnicy.

— ...to znaczy owszem, niektóre węże to całkiem miłe... — kontynuował Rincewind, gdy dwóch strażników złapało go pod pachy.

Okazało się, że w jamie był tylko jeden bardzo ostrożny wąż, który trwał w kącie, uparcie zwinięty w kłębek. Obserwował Rincewinda podejrzliwie, może dlatego, że mag przypominał mu mangustę.

— Witaj — odezwał się po chwili. — Czy jesteś magiem? W dziedzinie węzowych dialogów był to znaczący postęp w porównaniu z tradycyjnym ciągiem esów, jednak Rincewind był dostatecznie przybity, by nie marnować czasu na namysł.

— Mam to napisane na kapeluszu — odpowiedział krótko. — Nie umiesz czytać?

— Umiem. W siedemnastu językach. Nauczyłem się.

— Naprawdę?

— Na kursach korespondencyjnych. Oczywiście, staram się tego nie robić. To nie pasuje do charakteru postaci.

— Rzeczywiście, chyba nie pasuje.

Był to z pewnością najbardziej kulturalny głos węża, jaki Rincewind słyszał w życiu.

— Obawiam się, że to samo dotyczy głosu — dodał wąż. — Właściwie nie powinienem teraz z tobą rozmawiać. W każdym razie nie w taki sposób. Powinienem chyba posiekać trochę. I wydaje mi się, że tak naprawdę powinienem próbować cię zabić.

— Posiadam niezwykłą i nadzwyczajną moc — ostrzegł Rincewind.

Faktycznie, pomyślał. Całkowita niezdolność do opanowania jakiegokolwiek formy magii to rzecz u maga niezwykajna. A zresztą okłamanie węża się nie liczy.

— O rany... W takim razie chyba nie posiedzisz tu długo.

— Słucham?

— Przypuszczam, że lada chwila wyfruniesz stąd jak strzała.

Rincewind spojrział na piętnastostopowe ściany jamy węży i potarł sińce.

— To możliwe — zgodził się ostrożnie.

— W takim razie czy zechciałbyś zabrać mnie ze sobą?

— Co?

— Wiem, że proszę o wiele, ale ta jama to... to zwykła dziura.

— Zabrać cię? Przecież jesteś wężem. To twoja jama. Zasada jest taka, że ty tu siedzisz, a ludzie przychodzą do ciebie. Znam się na tym.

Cień za wężem rozwinął się i wstał.

— Bardzo nieładnie tak się o kimś wyrażać — oświadczył.

Postać zrobiła krok naprzód i stanęła w plamie światła.

Był to młody człowiek, wyższy od Rincewinda. To znaczy w tej chwili Rincewind siedział na ziemi, ale nawet gdyby wstał, chłopiec byłby wyższy.

Powiedzieć, że był szczupły, to stracić doskonałą okazję do użycia słowa „wychudzony”. Wyglądał, jakby wśród przodków posiadał wieszaki i leżaki plażowe. A jego ubiór od razu to ukazywał.

Rincewind przyjrzał się znowu.

Nie mylił się za pierwszym razem.

Stojący przed nim długowłosy młodzieniec miał na sobie tradycyjny kostium barbarzyńskiego herosa: kilka nabijanych ćwiekami skórzanych rzemieni, wysokie futrzane buty, niedużą skórzaną sakwę i gęsią skórkę. Nie było w tym nic niezwykłego: dziesiątki podobnie odzianych poszukiwaczy przygód widuje się codziennie na ulicach Ankh-Morpork. Tyle że żaden z nich nie nosi. . .

Młody człowiek podążył wzrokiem za spojrzaniem Rincewinda, zerknął w dół i wzruszył ramionami.

— Nic nie poradzę — wyjaśnił. — Obiecałem mamie.

— Wełniana bielizna?

* * *

Niezwykłe rzeczy działy się tej nocy w Al Khali. Dziwna srebrzysta poświata nadciągała kłębami od strony morza zdumiewając miejskich astronomów. . . ale to nie ona była najdziwniejsza. Dostrzegano krótkie błyski pierwotnej magii na ostrych krawędziach przedmiotów, jakby wyładowania elektrostatyczne. . . ale i one nie były najdziwniejsze.

Najdziwniejsza rzecz wkroczyła do tawerny na granicy miasta gdzie nieustający wiatr przez każde nie oszklone okno wdmuchiwał zapach pustyni. I usiadła na środku podłogi.

Goście przyglądali się jej przez jakiś czas, sącząc kawę na przemian z pustynnym orakh. Napój ten, przyrządzany z soku kaktusa i jadu skorpionów, jest jednym z najmocniejszych alkoholowych trunków we wszechświecie. Jednak pustynni nomadzi nie piją go dla oszałamiającego działania. Piją, by złagodzić nieco efekty klatchiańskiej kawy.

Nie dlatego, że można ją wykorzystywać do uszczelniania dachów. Nie dlatego, że przez niewprawny żołądek przebija się niczym rozżarzona kula przez płynne masło. Klatchiańska kawa robi coś gorszego.

Sprowadza na ludzi knurd¹⁷.

¹⁷W prawdziwym magicznym wszechświecie każde zjawisko posiada swoje przeciwieństwo. Istnieje na przykład anty-światło. To nie to samo co ciemność gdyż ciemność jest jedynie brakiem światła. Anty-światło to coś, co spotykamy jeśli przejdziemy poza ciemność, na jej drugą stronę. Na tej samej zasadzie stan knurdności nie jest tym samym, co trzeźwość. Trzeźwość można porównać do kąpieli w wacie. Knurdność zdziera wszelkie iluzje, rozwiewa całą uspokajającą różową mgiełkę, w jakiej ludzie normalnie spędzają całe życie. I pozwala im po raz pierwszy widzieć i myśleć z

Synowie pustyni zerkali podejrzliwie znad swoich filiżanek wielkości naporstków i zastanawiali się, czy nie przesadzili z orakhem. Czy wszyscy widzą to samo? Czy wygłoszenie uwagi na ten temat nie okaże się głupotą? Trzeba pamiętać o takich sprawach, jeśli człowiek nie chce stracić reputacji syna pustyni o stalowym spojrzeniu. Wyciągnięcie drżącego palca i zawołanie: „Patrzcie, jakaś skrzynia weszła tu na setkach małych nóżek! To niesamowite!” dowodziłoby niewybaczalnego, potencjalnie tragicznego w skutkach braku męskiego opanowania.

Pijący starali się nie patrzeć na siebie, nawet gdy Bagaż zbliżył się do rzędu dzbanów orakhu pod ścianą. Bagaż potrafił stać nieruchomo w taki sposób, że wydawało się to jeszcze straszniejsze, niż kiedy się poruszał.

Wreszcie ktoś z bywalców zabrał głos.

— Myślę, że chce się napić — stwierdził.

Przez długą chwilę panowało milczenie. Wreszcie ktoś inny rzekł z precyzją szachowego arcymistrza wykonującego kończące posunięcie:

— Co chce się napić?

Reszta pijących wpatrywała się obojętnie w swoje naczynia.

Jedynym słyszalnym dźwiękiem było ciche człapanie gekona po zaparowanym stropie.

— Demon — wyjaśnił w końcu pierwszy pijący. — Demon, który właśnie stanął za tobą. O nim mówiłem, o bracie piasków.

Aktualny obrońca tytułu Mistrza Wszech-Wadi Niewzruszoności uśmiechnął się spokojnie. I poczuł, że coś ciągnie go za szatę. Uśmiech pozostał na miejscu, ale reszta twarzy wyraźnie nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

Bagaż czuł się nieszczęśliwy w miłości i robił to, co zrobiłaby na jego miejscu każda rozsądna istota. To znaczy próbował się upić. Nie miał wprawdzie pieniędzy i nie mógł poprosić o to, czego pragnął. Jednakże zrozumiała komunikacja nigdy nie sprawiała mu trudności.

Właściciel tawerny spędził długą, samotną noc, po wielokroć napełniając talerzyk orakhem, nim wreszcie Bagaż niezbyt pewnie wyszedł przez ścianę.

Pustynia pogrążona była w ciszy. Normalnie pustynia pełna jest cykania świerszczy, brzęczenia moskitów, szeptu skrzydeł drapieżców szybujących nad stygnącymi piaskami. Dziś jednak panowało tu milczenie — przytłaczające, pracowite milczenie dziesiątków nomadów, zwijających namioty i wynoszących się jak najdalej stąd.

* * *

— Obiecałem mamie — powtórzył chłopiec. — Łatwo się przeziębiam.

absolutną klarownością. Potem, kiedy już trochę powrzeszcza, dobrze pilnują, żeby nigdy więcej nie sknurudnieć.

— A może spróbowałbyś, no wiesz... nosić więcej ubrania?
— Nie, to niemożliwe. Trzeba wkładać całą tę skórzaną uprząż.
— Nie nazwałbym jej „całą” — stwierdził Rincewind. — Jest jej za mało, żeby była cała. A dlaczego musisz ją nosić?

— To oczywiste. Ludzie muszą wiedzieć, że jestem barbarzyńskim herosem.

Rincewind oparł się plecami o cuchnącą ścianę jamy węży i przyjrzał się chłopcu. Zobaczył dwoje oczu jak gotowane winogrona, strzechę żółtych włosów i twarz, która była naturalnym polem bitwy między wrodzonymi piegami a straszliwą inwazją trądziku.

Rincewind właściwie lubił takie spotkania. Przekonywały go, że nie jest szaleńcem, ponieważ gdyby był, nie pozostałoby żadne słowo dla opisanie niektórych osób.

— Barbarzyński heros — mruknął.

— Wszystko pasuje, prawda? Ta skórzana wyprawka była bardzo kosztowna.

— Tak, ale... Jak ci na imię, chłopcze?

-Nijel...

— Widzisz, Nijelu...

— Nijel Niszczyciel — dodał Nijel.

— Widzisz, Nijelu...

— ...Niszczycielu...

— No dobrze, Niszczycielu — skapitulował Rincewind.

— ...synu Harebuta, Kupca Korzennego...

— Co?

— Każdy jest przecież czyimś synem — wyjaśnił Nijel. — Gdzieś tu jest to napisane... — Odwrócił się lekko i zaczął szukać w swojej brudnej futrzanej sakwie, by po chwili wyciągnąć cienką, podartą i brudną książeczkę. — Tutaj jest rozdział o dobieraniu imienia.

— W jaki więc sposób trafiłeś do tej jamy?

— Zamierzałem okraść skarbiec Kreozota, ale dostałem ataku astmy. — Nijel wciąż przerzucał szeleszczące strony.

Rincewind przyjrzał się wężowi, który nadal usiłował nikomu nie wchodzić w drogę. Nieźle mu się powodziło w jamie, ale na pierwszy rzut oka potrafił rozpoznać kłopoty. Dlatego nie zamierzał nikogo denerwować. Spojrzał Rincewindowi prosto w oczy i wzruszył ramionami, co u gada nie posiadającego ramion wymaga niemałego sprytu.

— Od dawna jesteś barbarzyńskim herosem?

— Dopiero zacząłem. Zawsze chciałem nim zostać i pomyślałem, że może nauczę się w trakcie. — Nijel zerknął pytająco krótkowzrocznymi oczami. — To chyba możliwe, prawda?

— To rozpaczliwy styl życia, trudno zaprzeczyć — stwierdził mag.

— A wiesz, jakie życie mnie czekało? Przez następne pięćdziesiąt lat sprzedawać zieleninę? — zapytał smętnie Nijel.

Rincewind zastanowił się.

— Czy w grę wchodzi również sałata? — zainteresował się.

— Jeszcze jak — mruknął Nijel, wciskając tajemniczą książkę do sakwy. Po czym zaczął z uwagą badać ściany jamy.

Rincewind westchnął. Lubił sałatę. Całe lata poszukiwał nudy, ale nigdy jej nie osiągnął. A kiedy zdawało mu się, że ma ją w zasięgu ręki, życie stało się nagle niemal śmiertelnie ciekawe. Wiadomość, że ktoś z własnej woli rezygnuje z perspektywy pięćdziesięciu lat nudy sprawiła, że zmiękły mu kolana. Mając przed sobą pięćdziesiąt lat, zdołałby podnieść nudę do kategorii sztuki. Nie miałyby końca rzeczy, których by nie robił.

— Znasz jakieś dowcipy o lampach? — zapytał, siadając wygodnie na piasku.

— Chyba nie — zaprzeczył grzecznie Nijel, stukając w kamienną płytę.

— A ja znam setki. Są bardzo zabawne. Czy wiesz na przykład, ile trzeba trollów, żeby zmienić knot w lampie?

— Ta płyta się rusza — stwierdził Nijel. — Patrz, to coś w rodzaju drzwi. Pomóż mi.

Pchnął z entuzjazmem. Bicepsy nabrzmiały mu na rękach niczym ziarnka grochu na ołówku.

— To pewnie jakieś tajemne przejście — dodał. — Chodź, rzuć jakiś czar. Chyba utknęła.

— Nie chcesz usłyszeć dalszego ciągu dowcipu? — spytał urażony Rincewind. Tu na dole było ciepło i sucho. I nic mu nie groziło, nie licząc węża, który starał się nie rzucać w oczy. Niektórym ludziom naprawdę nie można dogodzić.

— Raczej nie w tej chwili — odparł Nijel. — Wolałbym magiczne wsparcie.

— Kiedy widzisz, nie jestem w tym najlepszy. Jakoś nigdy mi nie wychodziło. Prawdziwa magia to nie to samo, co wskazać palcem i powiedzieć „Kazam”...

Trzasnęło, jakby oktarynowa błyskawica trafiła w gruby blok skalny i rozbiła go na tysiące rozpalonych, pędzących na wszystkie strony odłamków. I nic dziwnego, bo tak właśnie się stało.

Po chwili Nijel podniósł się wolno i stłumił płomyki na swojej kamizeli.

— No tak — powiedział tonem człowieka, który postanowił nie dać się wyprowadzić z równowagi. — Świetnie. Doskonale. A teraz trochę się uspokojmy, dobrze? A potem, potem możemy chyba stąd iść.

Kaszlnął lekko.

— Nnn — rzekł Rincewind.

Wpatrywał się w czubek swojego palca. Trzymał go na wyciągnięcie ramienia w sposób sugerujący głęboki żal z powodu nieposiadania dłuższych rąk.

Nijel zajrzał do dymiącego otworu.

— Prowadzi chyba do jakiejś komnaty — poinformował.

— Nnn.

— Ty pierwszy. — Delikatnie pchnął Rincewinda w stronę otworu.

Mag zatoczył się w przód, uderzył głową o skałę, nie zauważył tego i odbił się prosto w otwór.

Nijel klepnął dłonią w ścianę i zmarszczył brwi.

— Czujesz coś? — spytał. — Czy te kamienie powinny tak dygotać?

— Nnn.

— Dobrze się czujesz?

— Nnn.

Nijel przyłożył ucho do skały.

— To bardzo dziwny odgłos — stwierdził. — Jakby brzęczenie.

Smuzka kurzu oderwała się od zaprawy w stropie i spłynęła w dół. Potem kilka większych kamieni wibrując wysunęło się ze ścian i z głuchym tąpnięciem wylądowało w piasku.

Rincewind zataczając się powędrował w głąb tunelu. Wydawał z siebie pomruki zdumienia i całkowicie ignorował kamienie, które miały go o całe, a czasem trafiały funtami.

Gdyby cokolwiek zauważał, od razu by zrozumiał, co się dzieje. Powietrze stało się oleiste i pachniało rozgrzaną cyną. Delikatne tęcze otoczyły każdy szpic i krawędź. Gdzieś bardzo blisko kondensował się ładunek magiczny — potężny ładunek, który próbował się uziemić.

Dowolny mag, nawet tak pozbawiony uzdolnień jak Rincewind, był niczym miedziana latarnia morska w czasie burzy.

Nijel wytoczył się z kłębow pyłu i wpadł na niego, stojącego w oktarynowej aureoli, przy wejściu do kolejnej groty.

Rincewind wyglądał przerażająco. Kreozot wygłosiłby zapewne komentarz na temat jego ciskających błyskawice oczu i sterczących włosów. Przypominał kogoś, kto właśnie połknął kilka szyszynek i popił je kuflem adrenochromu. Wydawał się tak wysoki, że mógłby służyć za międzykontynentalny przekaźnik telewizyjny.

Każdy włos sterczał mu na głowie, strzelając drobnymi iskrami. Nawet skóra sprawiała wrażenie, jakby chciała rozstać się z ciałem. Oczy zdawały się wirować w poziomie, a kiedy otworzył usta, z zębów strzeliły miętowe błyskawice. Gdzie stąpnał, tam topił się kamień — albo wypuszczał uszy, albo zmieniał się w coś małego, fioletowego i pokrytego łuską, po czym uciekał.

— Pytałem, czy dobrze się czujesz — powtórzył Nijel.

— Nnn — odparł Rincewind, a głoska zmieniła się w duży obwarzanek.

— Nie wyglądasz dobrze — zauważył chłopiec z czymś, co w tych okolicznościach można by nazwać niezwykłą spostrzegawczością.

— Nnn.

— Może spróbujesz nas stąd wydostać — zaproponował Nijel i rozsądnie padł plackiem na ziemię, Rincewind kiwnął głową jak kukiełka i wymierzył naładowany palec w strop, który stopniał niby lód pod lampą lutowniczą.

Wciąż słyhać było dudnienie, a niepokojące drgania tańczyły w całym pałacu. Jest faktem powszechnie znanym, że pewne częstotliwości mogą wywołać panikę, inne zaś krępującą niewstrzeźliwość, ale wibrująca skała rezonowała z częstotliwością, od której rzeczywistość topnieje i zaczyna ściekać z brzegów.

Nijel przyjrzał się spływającemu stropowi i ostrożnie go skosztował.

— Budyń cytrynowy — stwierdził. I dodał: — Pewnie nie ma szansy na schody?

Kolejna struga ognia trysnęła ze zmęczonych palców Rincewinda, krzepnąc w niemal doskonałe ruchome schody — tyle że chyba w całym wszechświecie nie ma ruchomych schodów wyłożonych skórą aligatora.

Nijel pochwyił zataczającego się lekko maga i wskoczył na stopień. Szczęśliwie dotarli na szczyt, zanim czar przestał działać — zupełnie nagle.

Kiełkując ze środka pałacu i rozpychając dachy niczym grzyb wyrastający spod antycznego chodnika, wznosiła się w górę biała wieża, wyższa od wszystkich budowli Al Khali.

U podstawy otworzyły się grube podwójne drzwi i wysypały się przez nie dziesiątki magów, którzy zachowywali się tak, jakby byli właścicielami całej okolicy. Rincewind miał wrażenie, że rozpoznaje kilka twarzy — twarzy, które pamiętał mrużące niewyraźnie w amfiteatralnych salach wykładowych albo spoglądające przyjaźnie na świat w uniwersyteckich parkach. Nie były to twarze stworzone do zła. Jednak ich wyraz charakteryzował pewien wspólny mianownik, który mógłby przerazić człowieka rozsądnego.

Nijel poczuł, że coś wciąga go za poręczną ścianę. Spojrzał prosto w zamrzwione oczy Rincewinda.

— Czeka! To przecież magia!

— Wiem — odparł Rincewind. — Coś się tu nie zgadza.

— Ale... — Nijel zerknął na migoczącą wieżę.

— Czuję, że się nie zgadza. Nie pytaj mnie, dlaczego.

Kilku strażników szeryfa wyskoczyło z łukowo sklepionego przejścia i rzuciło się w stronę magów. Ich straszliwe bitewne milczenie sprawiało, że atak wydawał się tym groźniejszy. Przez chwilę ich miecze błyskały w słońcu, a potem paru magów obejrzało się, i wyciągnęło ręce i... Nijel odwrócił się.

— Ugh — powiedział.

Kilka zakrzywionych mieczy upadło na posadzkę.

— Sądzę, że powinniśmy możliwie dyskretnie się oddalić — stwierdził Rincewind.

— Ale widziałeś, w co oni ich pozmieniali?

— W martwych ludzi. Wiem. I nie chcę o tym myśleć.

Nijel doszedł do wniosku, że zawsze będzie o tym myślał, szczególnie w burzliwej nocy około trzeciej nad ranem. Rzecz w tym, że śmierć od magii może być o wiele bardziej... pomysłowa, niż — powiedzmy — zadana zimną stalą. Pojawiają się wtedy liczne całkiem nowe sposoby umierania. Chłopiec nie mógł się pozbyć wspomnienia kształtów, które widział przez jeden moment, zanim litościwie pochłonął je strumień oktarynowego ognia.

— Nie przypuszczałem, że magowie są tacy... — oświadczył, kiedy szli szybko korytarzem. — Sądziałem, że są bardziej... czy ja wiem... bardziej głupi niż groźni. Takie zabawne figury.

— To czemu się nie śmiejesz? — mruknął Rincewind.

— Ale oni ich zabili i nawet nie...

— Wolałbym, żebyś o tym nie mówił. Też to widziałem.

Nijel odsunął się nagle i zmrużył oczy.

— Ty też jesteś magiem — oznajmił oskarżycielsko.

— Nie. Takim jak oni nie jestem.

— A jakim?

— Nie zabijającym.

— Chodzi o to, jak oni na nich patrzyli: jakby to nie miało żadnego znaczenia... — Nijel pokręcił głową. — To było najgorsze.

— Tak.

Rincewind rzucił tę jedną sylabę niby pień drzewa na tor myślenia Nijela. Chłopiec zadrżał, ale przestał gadać. Rincewindowi zrobiło się go nawet żal, co było rzeczą niezwykłą: na ogół sądził, że całej litości potrzebuje dla siebie.

— Pierwszy raz widziałeś, jak ktoś ginie? — zapytał.

— Tak.

— A właściwie jak długo już jesteś barbarzyńskim herosem?

— Hm... Który mamy rok?

Rincewind wyjrzał za róg, ale ludzie, których zobaczył, a którzy zachowali pozycję pionową, zbyt byli zajęci paniką, żeby ich zauważyć.

— Od dawna w drodze? — domyślił się. — Straciłeś rachubę czasu? Wiem, jak to jest. Mamy Rok Hieny.

— Aha. W takim razie od mniej więcej... — Wargi Nijela poruszyły się bezgłośnie — Mniej więcej od trzech dni. Słuchaj — dodał pospiesznie. — Jak ludzie mogą tak zabijać? Jakby się nawet nie zastanawiali.

— Nie wiem — odparł Rincewind tonem sugerującym, że on się zastanawia.

— Wiesz, nawet kiedy wezyr kazał mnie wrzucić do jamy węży, przynajmniej zdradzał jakieś zainteresowanie.

— To dobrze. Każdy powinien mieć jakieś zainteresowania.

— Nawet się śmiał.

— I poczucie humoru.

Rincewind miał wrażenie, że widzi przyszłość z tą samą krystaliczną wyrazistością, z jaką człowiek spadający z urwiska widzi ziemię. I z podobnych powodów. Dlatego, kiedy Nijel powiedział:

— Tak zwyczajnie wyciągnęli palce, nawet bez...

Rincewind warknął:

— Przestań gadać, dobrze? Jak myślisz, jak ja się czuję? Przecież też jestem magiem!

— Tak... No tak. Więc tobie nic nie grozi — mruknął Nijel.

Nie był to mocny cios, ponieważ nawet rozwścieczony Rincewind wciąż miał mięśnie jak tapioka, ale trafił Nijela w głowę i powalił bardziej mocą zaskoczenia niż energii uderzenia.

— Tak, jestem magiem — syknął Rincewind. — Magiem, któremu nie idzie z magią. Udało mi się przeżyć do dzisiaj, bo nie byłem dość ważny, żeby mnie zabijać. A kiedy ludzie zaczną się bać i nienawidzić wszystkich magów, jak myślisz, długo przetrwam?

— To śmieszne!

Gdyby Nijel go uderzył, Rincewind nie byłby chyba bardziej zdumiony.

— Co?

— Nie bądź idiotą. Wystarczy, że zrzucisz tę bezsensowną szatę i pozbędziesz się tego durnego kapelusza, a nikt nie zgadnie, że jesteś magiem.

Rincewind kilka razy otworzył i zamknął usta, bardzo udatnie naśladując złotą rybkę, która usiłuje pojąć ideę stepowania.

— Zrzucić moją szatę?

— Pewnie. Te błyszczące cekiny i reszta od razu cię zdradzają — potwierdził Nijel, stając na nogi.

— Pozbyć się kapelusza?

— Musisz przyznać, że wypisane na nim „Magus” jest wskazówką, którą trudno przeoczyć.

— Przepraszam — Rincewind uśmiechnął się z zakłopotaniem. — Ale chyba nie całkiem pojmuję.

— Po prostu zdejmij je. To przecież łatwe. Wyrzuć je gdzieś, a będziesz mógł zostać, na przykład, no... kimkolwiek. W każdym razie nie magiem.

Zapadła cisza, zakłócana jedynie dalekimi odgłosami walki.

— Ehm... — Rincewind potrząsnął głową. — W którymś miejscu chyba straciłem wątek...

— Na A'Tuina, to przecież całkiem proste.

— Nie jestem pewien, o co ci dokładnie chodzi... — mruczał Rincewind. Pobladła twarz błyszczła mu od potu.

— Możesz zwyczajnie przestać być magiem!

Wargi Rincewinda poruszały się bezgłośnie, gdy powtarzał każde słowo po kolei, a potem wszystkie naraz.

— Co? — powiedział. A potem jeszcze: — Aha.
 — Pojąłeś? Czy mam spróbować od początku?
 Rincewind ponuro kiwnął głową.
 — Wydaje mi się, że nie zrozumiałeś jednego — rzekł. — Mag to nie coś, czym się zajmujesz. To coś, czym jesteś. Gdybym nie był magiem, byłbym niczym.
 Zdjął kapelusz i nerwowo poprawił obluźowaną gwiazdę na czubku. W efekcie kilka tanich cekinów pożegnało się z kolegami.
 — Widzisz, słowo „mag” wypisane jest na moim kapeluszu. To bardzo ważne... — Urwał, wpatrzony w kapelusz. — Kapelusz — powtórzył świadom, że jakieś natrętne wspomnienie przyciska nos do szyby w oknie jego umysłu.
 — To bardzo ładny kapelusz — stwierdził Nijel czując, że czegoś się od niego oczekuje.
 — Kapelusz — rzekł po raz trzeci Rincewind. I dodał: — Kapelusz! Musimy odzyskać kapelusz!
 — Przecież masz kapelusz — zauważył Nijel.
 — Nie ten. Ten drugi. I Conenę.
 Przeszedł korytarzem kilka kroków, po czym zawrócił.
 — Jak sądzisz, gdzie mogą teraz przebywać?
 — Kto?
 — Taki magiczny kapelusz, który muszę odnaleźć. I dziewczyna.
 — Dlaczego?
 — Trochę trudno to wytłumaczyć. Myślę, że w grę mogą wchodzić krzyki. Nijel nie miał wydatnego podbródka, ale i tak wysunął go mężnie.
 — Czy trzeba ratować kobietę? — zapytał z determinacją.
 Rincewind zawahał się.
 — Kogoś trzeba będzie ratować — przyznał. — Całkiem możliwe, że właśnie ją. A przynajmniej kogoś w jej pobliżu.
 — Dlaczego od razu nie mówiłeś? To mi się podoba, na to liczyłem. Na tym polega bohaterstwo. Idziemy!
 Znowu zahuczało i dały się słyszeć krzyki.
 — Dokąd? — spytał Rincewind.
 — Dokądkolwiek.
 Bohaterowie zwykle posiadają umiejętność biegania na oślep po walących się pałacach, których prawie nie znają, ratowania wszystkich i wydostawania się na moment przed tym, jak cała budowla wybucha albo zapada się w bagno. W rzeczywistości Nijel i Rincewind odwiedzili kuchnię, rozmaite sale tronowe, stajnie (dwukrotnie) oraz, jak się zdawało Rincewindowi, kilka mil korytarzy. Od czasu do czasu przebiegała obok grupa czarno odzianych strażników, nie zaszczycając ich nawet spojrzeniem.

— To przecież bez sensu — uznał w końcu Nijel. — Dlaczego nie spytamy kogoś o drogę? Dobrze się czujesz?

Zdyszany Rincewind oparł się o kolumnę ozdobioną nieprzyzwoitą rzeźbą.

— Mógłbyś schwytać strażnika i torturami wymusić informację — zaproponował, z trudem chwytając oddech.

Nijel przyjrzał mu się podejrzliwie.

— Zaczekaj — rzucił.

Szedł przed siebie, aż spotkał służącego, pracowicie okradającego kredens.

— Przepraszam bardzo — zagadnął. — Którędy do haremu?

— W lewo i trzecie drzwi — odparł pytany, nie oglądając się nawet.

— Dobrze.

Chłopiec wrócił i powtórzył wskazówki Rincewindowi.

— No tak... A torturowałeś go?

— Nie.

— To nie było barbarzyńskie zachowanie.

— Pracuję nad tym — zapewnił Nijel. — Nie powiedziałem „dziękuję”.

Trzydzieści sekund później odsunęli ciężką kotarę z paciorków i wkroczyli do seraju szeryfa Al Khali.

Były tu wspaniałe ptaki w złotych filigranowych klatkach. Były szumiące cicho fontanny. Były donice z rzadkimi orchideami, wśród których fruwały kolibry niczym maleńkie, jaskrawe klejnoty. Było też około dwudziestu młodych kobiet, mających na sobie odzież wystarczającą na — powiedzmy — pół tuzina, skupionych razem w milczącej gromadce.

Rincewind nie przyglądał im się. Nie można powiedzieć, by widok kilkunastu łokci kwadratowych bioder i ud we wszelkich odcieniach od różu do czerni nie wzbudził pewnych fal spływających w głębokie wąwozy jego libido. Jednak bez trudu zalał je o wiele potężniejszy przyptyw paniki na widok kierujących się w jego stronę czterech strażników z krzywymi mieczami w dłoniach i morderczym błyskiem w oczach.

Bez wahania cofnął się o krok.

— Twoja kolej, przyjacielu — rzekł.

— Dobrze!

Nijel dobył miecza i wyciągnął go przed siebie drżącymi z wysiłku rękami.

Przez kilka sekund panowała absolutna cisza, gdy wszyscy oczekiwali, co się zdarzy. I wtedy Nijel wydal okrzyk bojowy, którego Rincewind miał nie zapomnieć do końca swych dni.

— Ehm... — powiedział. — Przepraszam...

* * *

— A jednak szkoda — stwierdził niski mag.

Pozostali nie odzywali się. Rzeczywiście szkoda było. I nie znalazłby się wśród nich ani jeden, który nie słyszał w tej chwili ostrych syren wyrzutów sumienia, budzących wibracje, wzdłuż kręgosłupa. Ale — jak często się zdarza w efekcie działania niezwyklej alchemii duszy — poczucie winy nappełniło ich arogancją i brawurą.

— Nie gadaj tyle, dobrze? — burknął chwilowy przywódca.

Nazywał się Benado Sconner, jednak coś w atmosferze dzisiejszej nocy sugeruje, że nie warto się trudzić zapamiętywaniem tego imienia. Powietrze jest duszne, gęste i pełne duchów.

Niewidoczny Uniwersytet wcale nie jest pusty. Po prostu nie ma tu ludzi.

Oczywiście jednak sześciu magów, przysłanych w celu spalenia Biblioteki, wcale nie boi się duchów. Są tak naładowani magią że brzęczą przy każdym kroku; noszą szaty wspanialsze niż przedtem nadrektorzy, a ich szpiczaste kapelusze są bardziej szpiczastej niż wszelkie kapelusze istniejące do tej pory. Oczywiście tylko przypadkiem starają się trzymać tak blisko siebie.

— Strasznie tu ciemno — zauważył najniższy z nich.

— Jest północ — odparł surowo Sconner. — A jedyne groźne istoty tutaj to my. Prawda, chłopcy?

Zabrzmiał chór niewyraźnych pomruków. Wszyscy trochę się obawiali Sconnera, który podobno ćwiczył się w pozytywnym myśleniu.

— I nie boimy się paru starych książek. Prawda? — Spojrzał surowo na najniższego maga. — Nie boisz się, co?

— Co, ja? Nie. Skąd. To przecież tylko papier. On tak powiedział.

— No właśnie.

— Ale jest ich dziewięćdziesiąt tysięcy — rzucił któryś z pozostałych.

— Zawsze słyszałem, że są niezliczone — dodał inny. — Ciągną się w innych wymiarach, a widzimy tylko wierzchołek tego, no... Tego czegoś, co jest prawie całe schowane pod wodą...

— Hipopotam?

— Aligator?

— Ocean?

— Bądźcie cicho! Wszyscy! — zawołał Sconner. Zawahał się. Miał wrażenie, że ciemność wsysa dźwięk jego głosu. Wypełniała powietrze jak puch. Wziął się w garść.

— No! — rzucił jeszcze i zwrócił się w stronę groźnych drzwi Biblioteki.

Wzniósł ręce, wykonał kilka złożonych gestów, w których jego palce w jakiś nie wyjaśniony, a wywołujący łzawienie sposób zdawały się przenikać przez siebie, i zmienił drzwi w kupkę trocin.

Fale ciszy nadpłynęły znowu, pochłaniając odgłosy opadających wiórków.

Nikt nie miał wątpliwości, że drzwi zostały rozbite. Cztery smętne zawiasy wisały drżące na framudze, a za progiem leżał stos połamanych ław i regałów. Nawet Sconner był nieco zaskoczony.

— Proszę, jakie to proste — powiedział. — Widzicie? Nic mi się nie stało. Mam rację?

Zaszurały buty z zakręconymi noskami. Ciemność za progiem była rozjaśniona niewyraźną, bolesną dla oczu taumatyczną radiacją — to cząsteczki prawdopodobieństwa przekraczały prędkość rzeczywistości w silnym polu magicznym.

— A teraz... — odezwał się zachęcająco Sconner — komu przypadnie zaszczyt podłożenia ognia?

Dziesięć sekund milczenia później oświadczył:

— W takim razie sam się tym zajmę. Czuję się, jakbym mówił do ściany.

Pewnym krokiem przeszedł przez drzwi i raźnie ruszył w stronę niewielkiej plamy światła, sączącego się przez szklaną kopułę nad środkiem Biblioteki (co prawda zawsze toczyły się dyskusje na temat jej dokładnej geografii; wysokie stężenie magii odkształca czas i przestrzeń, jest więc możliwe, że Biblioteka nie ma nawet brzegów, nie mówiąc o środku). Rozłożył ramiona.

— I co? Widzicie? Zupełnie nic się nie stało. Wchodźcie. Magowie posłuchali go z ociąganiem. Odruchowo schylali głowy, przechodząc pod zdemolowanym łukiem wejścia.

— Dobrze — stwierdził z satysfakcją Sconner. — A teraz: czy wszyscy mają zapalki, zgodnie z instrukcją? Magiczny ogień nie podzielała na te książki, więc niech każdy...

— W górze coś się ruszyło! — przerwał mu najniższy z magów.

Sconner mrugnął.

— Co?

— Coś się ruszyło pod kopułą — powtórzył mag i dodał tytułem wyjaśnienia: — Widziałem.

— Bzdura — oznajmił twardo. Wyjął z kieszeni pęczek cuchnących zapalek. — A teraz wszyscy zbierzcie...

— Ale ja widziałem — powtórzył z uporem niski mag.

— No dobrze. Co takiego widziałeś?

— Nie jestem całkiem...

— Po prostu nie wiesz, prawda? — warknął Sconner.

— Widziałem coś, co...

— Nie wiesz! Po prostu coś ci się zwiduje i próbujesz podkopać mój autorytet. Zgadłem? — Urwał na moment. Oczy mu się zaszklily. — Jestem spokojny — zaintonował. — Jestem całkowicie opanowany. Nie pozwolę...

— To był...

— Posłuchaj, kurduplu, może byś się w końcu zamknął!

Jeden z magów, który patrzył w górę, by ukryć zakłopotanie, chrząknął niegłośno.

— Ehem... Sconner...

— To samo odnosi się do ciebie! — Sconner wyprostował się na pełną wzburzenia wysokość i machnął zapałkami.

— Jak już mówiłem, macie zapalić zapałki i... Chyba pokażę, jak się zapala zapałki, specjalnie dla naszego małego mędrka... Nie stoję na suficie! Co ja z nimi mam... Spójrzcie na mnie. Bierzecie zapałkę...

Zapalił i ciemność rozkwitła kulą białego siarkowego ognia, a bibliotekarz runął na niego z góry niczym padające imperium.

Wszyscy znali bibliotekarza, tak samo dokładnie, acz niezbyt precyzyjnie, jak zna się ściany, podłogi i wszelkie inne nieistotne, ale konieczne dekoracje sceny życia. Jeśli w ogóle go pamiętali, to jak wzdycha delikatnie za plecami, jak siedzi pod biurkiem i naprawia książki albo jak sunie na czworakach między regałami w poszukiwaniu ukrytych palaczy. Każdy mag dostatecznie nierozsądny, by zaryzykować ukradkowego skręta, orientował się dopiero wtedy, gdy miękka skórzasta dłoń wyciągała mu się zza ramienia i odbierała zakazany obiekt. Bibliotekarz nigdy się nie gniewał; po prostu wyglądał na bardzo urażonego i zasmuconego tą sprawą, a potem zjadał papierosa.

Tymczasem to, co w tej chwili usiłowało z dużym wysiłkiem odkręcić za uszy głowę Sconnera, było raczej wyjącem koszmarem, którego ściągnięte wargi odsłaniały pożółkłe kły.

Przerażeni magowie próbowali uciekać i nagle zaczęli wpadać na regały, które nie wiadomo jak zablokowały przejścia. Najniższy mag pisnął, wtoczył się pod zawalony atlasami stół i zasłonił dłońmi uszy, by nie słyszeć strasznych odgłosów, gdy pozostali szukali drogi ucieczki.

Wreszcie zaległa cisza... lecz była to cisza szczególnie ciężka, wywołana przez coś poruszającego się niemal bezszelestnie, prawdopodobnie w poszukiwaniu czegoś innego. Najniższy z magów ze zgrozy przygryzł czubek własnego kapelusza.

Bezgłośnie coś chwyciło go za nogę i łagodnie, lecz stanowczo wywlekło spod stołu. Skomlał cicho, nie otwierając oczu. Ale kiedy straszliwe zęby nie zacisnęły mu się na gardle, zaryzykował szybkie spojrzenie.

Bibliotekarz w zadumie trzymał go za kark o stopę ponad podłogą, tuż poza zasięgiem małego i podstarzałego teriera ostrowłosego, który próbował sobie przypomnieć, jak się obgryza ludziom kostki.

— Ee... — zaczął mag i natychmiast poszybował po niemal płaskiej trajektorii przez rozbite drzwi, gdzie jego lot został nagle przerwany zderzeniem z podłogą.

Po chwili odezwał się cień obok niego.

— Już chyba po wszystkim. Ktoś widział tego obłąkanego drania Sconnera?

Zaś cień po drugiej stronie odpowiedział:

— Chyba skręciłem sobie kark.

— Kto to?

— Obląkany drań — odparł cień złośliwie.

— Och... Przepraszam, Sconner.

Sconner wstał. Magiczna aura ukazała całą jego sylwetkę. Trząśnięty ze złości, gdy wyciągał ręce.

— Nauczę tego zacofańca szacunku dla przewyższających go ewolucyjnie — warknął.

— Brać go, chłopcy!

Sconner został powalony na posadzkę i przyciśnięty ciężarem całej piątki kolegów.

— Przepraszamy, ale...

— ...wiesz przecież, że jeśli użyjesz...

— ...magii w pobliżu Biblioteki, gdzie już jest jej tyle...

— ...i coś ci nie wyjdzie, to powstanie Masa Krytyczna i wtedy...

— BUM! Dobranoc, świecie!

Sconner stęknął. Siedzący na nim magowie uznali, że wstawanie nie jest najrozsądniejszą rzeczą, jaką w tej chwili mogliby przedsięwziąć.

— Dobrze — przyznał w końcu. — Macie rację. Dziękuję wam. Źle zrobiłem, że straciłem panowanie nad sobą. To przyćmiło rozeznanie sytuacji. Najważniejsze, by zachować obiektywizm. Macie absolutną rację. Dziękuję. Puśćcie mnie.

Zaryzykowali. Sconner wstał.

— Ta małpiatka — oświadczył — zjadła swojego ostatniego banana. Przyniescie...

— Ehem... To małpa, Sconner. — Najniższy z magów nie potrafił się powstrzymać. — Małpa, nie małpiatka...

Skurczył się pod ciężkim spojrzeniem.

— Kogo to obchodzi? Małpa czy małpiatka, co za różnica? — burknął Sconner. — No, jaka to różnica, panie Zoologu?

— Nie wiem, Sconner — przyznał pokornie mag. — Myślę, że chodzi o klasyfikację.

— Zamknij się.

— Dobrze, Sconner.

— Ty obrzydliwy maluchu — dodał jeszcze Sconner, odwrócił się i rzekł głosem gładkim jak ostrze piły: — Jestem całkowicie opanowany. Umysł mam chłodny niczym łysy mamut. Mój intelekt kontroluje wszystko. Który z was siedział mi na głowie? Nie, nie wolno mi się złościć. Nie jestem rozżłoszczony. Myślę pozytywnie. W pełni wykorzystuję swoje zdolności... Czy któryś z was chciałby coś powiedzieć?

— Nie, Sconner — odparli chórem.

— W takim razie przynieście mi dziesięć baryłek oliwy i całe drewno, jakie zdołacie znaleźć! Ta mała zaraz się usmaży!

Z góry, spod sklepienia Biblioteki, mieszkania sów, nietoperzy i innych istot, dobiegł brzęk łańcucha i dźwięk szkła tłuczonego z najwyższym możliwym szacunkiem.

* * *

— Chyba się nie przestraszyli — zauważył nieco urażony Nijel.

— Jakby ci to powiedzieć... — zastanowił się Rincewind. — Kiedy ktoś zechce spisać listę Wielkich Okrzyków Bojowych Świata, „Ehem, przepraszam” nie będzie jednym z nich.

Odstąpił na bok.

— Nie znam go — z naciskiem zapewnił uśmiechniętego strażnika. — Dopiero co go spotkałem. W jamie. — Zaśmiał się niepewnie.

— Przez cały czas zdarzają mi się takie rzeczy.

Strażnicy spoglądali ponad nim.

— Ehm... -powiedział.

— No dobrze — powiedział.

Wrócił do Nijela.

— Jak sobie radzisz z tym mieczem? Nie spuszczać wzroku z przeciwników, Nijel pogrzebał w sakwie i podał Rincewindowi książkę.

— Przeczytałem cały Rozdział Trzeci — wyjaśnił. — Są tam ilustracje.

Rincewind przerzucił pogniecione stronice. Książka była czytana tak intensywnie, że można by ją tasować. A na tym, co kiedyś było pewnie stroną tytułową, znalazł dość marny drzeworyt przedstawiający muskularnego mężczyznę. Miał ramiona jak dwa worki piłek i stał po kolana w rozmarzonych kobietach i ciałach zabitych wrogów, z wyrazem dumy na twarzy.

Napis wokół rysunku głosił: *W 7 dniach zaledwie uczynię cię barbarzyńskim herosem!* Poniżej, trochę mniejszą czcionką, było imię: *Cohen Barbarzyńca*. Rincewind miał pewne wątpliwości. Poznał Cohena; dzielny staruszek potrafił wprawdzie czytać — w pewnym sensie — ale nigdy nie opanował sztuki robienia piórem i wciąż podpisywał się „X”, co zresztą zwykle nieprawidłowo wymawiał. Z drugiej strony jednak nieodparcie dążył do wszystkiego, co łączyło się z piędzmi.

Raz jeszcze przyjrzał się ilustracji, po czym zerknął na Nijela.

— Siedem dni?

— Nie czytam za szybko.

— Aha — mruknął Rincewind.

— I dałem sobie spokój z Rozdziałem Szóstym, bo obiecałem mamie, że dopóki nie poznam odpowiedniej dziewczyny, wystarczy mi rabowanie i łupienie.

— I ta książka uczy, jak zostać barbarzyńskim herosem?

— Tak. Jest bardzo dobra. — Nijel spojrział na niego zaniepokojony. — Nic jej nie brakuje, prawda? Kosztowała dużo pieniędzy.

— No wiesz, tego... Chyba lepiej bierz się do dzieła. Nijel wyprostował swoje — z braku lepszego słowa — ramiona i znów machnął mieczem.

— Wy czterej lepiej uważajcie — powiedział. — Bo jak nie... — Urwał na moment. Odebrał Rincewindowi książkę, przerzucił kilka stron, znalazł odpowiedni fragment i kontynuował: — Mam: bo jak nie, to „lodowate wichry przeznaczają będą owiewać wasze szkielety/legiony Piekła wasze żywe dusze topić będą w kwasie”. Właśnie. Jak ci się podobało?

Rozległ się metaliczny brzęk, gdy czterech mężczyzn w doskonałej harmonii dobyło broni.

Miecz Nijela zmienił się w rozmazaną plamę. Wykonał w powietrzu złożoną ósemkę, przemknął mu nad ramieniem, za plecami przeskoczył z ręki do ręki, zdawał się dwukrotnie zatoczyć krąg na wysokości piersi, po czym wyskoczył jak łosoś.

Jedna czy dwie damy z haremu spontanicznie zaczęły klaskać. Nawet na strażnikach zrobiło to wrażenie.

— To było Potrójne Cięcie Orków z Dodatkowym Młynkiem — wyjaśnił z dumą Nijel. — W czasie nauki stłukłem masę luster. Patrz, zatrzymali się.

— Zapewne nigdy jeszcze nie widzieli niczego podobnego — odparł słabym głosem Rincewind, mierząc wzrokiem odległość od drzwi.

— Pewnie że nie.

— Zwłaszcza końcówka, kiedy wbił się w sufit. Nijel podniósł głowę.

— Zabawne — mruknął. — W domu też zawsze tak się kończyło. Zastanawiam się, co robię nie tak.

— Nie mam pojęcia.

— Ojej... Strasznie mi przykro — rzekł Nijel, gdy strażnicy zrozumieli, że pokaz się skończył i ruszyli do ataku.

— Nie miej do siebie pretensji — uspokoił go Rincewind.

Nijel sięgnął do góry i bezskutecznie próbował uwolnić klingę.

— Dziękuję.

— Ja, ja będę miał.

Rincewind zastanowił się nad kolejnym krokiem. Rozważał nawet kilka kroków. Ale drzwi były chyba za daleko... Zresztą, sądząc i po odgłosach, za nimi okolica wcale nie była zdrowsza.

Pozostało jedyne wyjście. Musiał spróbować czarów.

Wyciągnął rękę i dwaj strażnicy upadli. Wyciągnął drugą i upadli dwaj pozostali.

Właśnie zaczynał się dziwić, gdy Conena z gracją przestąpiła nad bezwładnymi ciałami, odruchowo rozcierając kanty dłoni.

Myślałam, że już nigdy się tu nie zjawisz — powiedziała. — Kim jest twój przyjaciel?

* * *

Jak już wspomiano, Bagaż rzadko zdradzał jakieś emocje, a przynajmniej emocje mniej gwałtowne niż ślepa furia i nienawiść. Dlatego trudno było ocenić jego uczucia kiedy zbudził się kilka mil od Al Khali, leżąc w suchym wadi na wietrze, ze sterczącymi w górę nogami.

Już w kilka minut po wschodzie słońca powietrze przypominało podmuch z paleniska. Po chwili intensywnego kołysania Bagaż zdołał ustawić większość swoich nóg we właściwym kierunku i wstał. Wykonywał złożony, powolny taniec, by jak najmniejsza ich część stykała się z rozpalonym piaskiem.

Wcale się nie zgubił. Zawsze dokładnie wiedział, gdzie się znajduje. Zawsze był tutaj.

Tyle że wszystko inne chwilowo zmieniło miejsce.

Po krótkim namyśle Bagaż odwrócił się, ruszył i bardzo powoli zderzył się z głazem.

Cofnął się i przysiadł dość zaskoczony. Miał wrażenie, że jest wyładowany gorącym pierzem. A także niejasno zdawał sobie sprawę z dobrodziejstw cienia i chłodnych napojów.

Po kilku kolejnych falstartach dotarł na szczyt pobliskiej wydmy, skąd rozciągał się niezrównany widok na setki innych wydm.

W głębi swego drzewnego serca Bagaż się martwił. Został odrzucony. Powiedziano mu, żeby sobie poszedł. Odepchnięto go. Na dodatek wypił dość oraku, żeby wytruć niewielkie państwo.

Jeśli jest coś, czego sprzęt podróżny potrzebuje bardziej niż czegokolwiek, to ktoś, do kogo mógłby należeć. Pełen nadziei Bagaż ruszył niepewnie przez gorący piasek.

— Nie ma chyba czasu na prezentację — stwierdził Rincewind, gdy podłoga wstrząsnął huk: to runęło dalekie skrzydło pałacu. — Pora się stąd...

Zdał sobie sprawę, że mówi do siebie.

Nijel puścił rękojeść miecza.

Conena zrobiła krok do przodu.

— O nie! — jęknął Rincewind, ale było już za późno.

Świat rozpadł się nagle na dwie części: na kawałek mieszczący w sobie Nijela i Conenę oraz drugi, zawierający całą resztę. Powietrze między nimi zaiskrzyło.

Prawdopodobnie w ich części grała w oddali orkiestra, ćwierkały ptaki, po niebie płynęły różowe obłoki i wszystko inne, co zdarza się w takich chwilach. Kiedy dzieje się coś takiego, zwykle rozpadające się w innym świecie pałace nie mają żadnych szans.

— No dobrze, może was sobie przedstawię — ustąpił zrozpaczony Rincewind.
— Nijel...

— ...Niszczyciel... — dokończył rozmarzony Nijel.

— Niech będzie. Nijel Niszczyciel, syn Harebuta...

— ...Potężnego — dokończył Nijel.

Rincewind umilkł na moment, ale w końcu wzruszył ramionami.

— Wszystko jedno. A to jest Conena. To zresztą dziwny zbieg okoliczności. Na pewno zaciekaw cię, że jej ojciec to mmff...

Nie odrywając wzroku od Nijela, Conena wyciągnęła rękę i zamknęła twarz Rincewinda w delikatnym uchwycie, który przy lekkim tylko zwiększeniu nacisku palców zmieniałby jego głowę w kulę do kręgli.

— Chociaż mogę się mylić — rzekł, kiedy cofnęła dłoń. — Kto to wie? Kogo to obchodzi? Jakie to ma znaczenie?

Nie zwracali na niego uwagi.

— Może pójde poszukać kapelusza — zaproponował.

— Dobry pomysł — szepnęła Conena.

— Pewnie ktoś mnie zamorduje, ale nie dbam o to — oświadczył Rincewind.

— To świetnie — wymruczał Nijel.

— Na pewno nikt nawet nie zauważy, że mnie nie ma.

— Dobrze. Doskonale.

— Przypuszczam, że posiekają mnie na kawałeczki — rzucił jeszcze Rincewind, idąc w stronę drzwi z szybkością konającego ślimaka.

Conena zamrugęła.

— Jaki kapelusz? — zdziwiła się. — Ach, ten kapelusz.

— Nie sądzę, żebym mógł liczyć na waszą pomoc — zaryzykował Rincewind.

Gdzieś wewnątrz intymnego świata Coneny i Nijela ptaki wróciły do gniazd, różowe obłoczki odpłynęły, a orkiestra spakowała instrumenty i wymknęła się na prywatny koncert w nocnym klubie. Rzeczywistość powróciła na miejsce.

Conena oderwała oczarowane spojrzenie od zachwyconej twarzy Nijela i skierowała je na Rincewinda, gdzie nieco ostygło.

Podeszła dyskretnie i chwyciła maga za ramię.

— Posłuchaj — zaczęła z naciskiem. — Nie mów mu, kim naprawdę jestem. Dobrze? Wiesz, chłopcy miewają dziwne pomysły i... No, w każdym razie jeśli mu powiesz, to osobiście połamię ci...

— Będę za bardzo zajęty — zapewnił ją Rincewind. — Z twoją pomocą muszę odzyskać kapelusz i w ogóle. Co prawda nie rozumiem co ty w nim widzisz... — dodał z wyższością.

— Jest miły. Jakoś nieczęsto spotykam miłych ludzi.

— No tak. . .

— Ojej! Patrzy na nas!

— I co? Chyba się go nie boisz?

— A jeśli coś do mnie powie?

Rincewind nie pojmował. Nie po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że całe obszary ludzkich doświadczeń zupełnie go ominęły, o ile obszary mogą omijać ludzi. Może to on je omijał. . . Wzruszył ramionami.

— Dlaczego bez walki pozwoliłaś odprowadzić się do haremu? — zapytał.

— Zawsze chciałam sprawdzić, co się tam dzieje. Przez chwilę trwała cisza.

— I co? — przerwał ją Rincewind.

— No wiesz. . . Siedziałyśmy tak sobie, a po jakimś czasie wszedł szeryf, poprosił mnie do siebie i powiedział, że jestem nowa, więc teraz moja kolej. A potem. . . Nigdy nie zgadniesz, co kazał mi robić. Dziewczeta mówiły, że tylko to go interesuje.

— Ee. . .

— Dobrze się czujesz?

— Świetnie, świetnie. . .

— Twarz ci się cała błyszczy.

— Nie, naprawdę nic mi nie dolega.

— Poprosił, żebym mu coś opowiedziała.

— O czym? — zapytał podejrzliwie.

— Dziewczeta twierdzą, że najbardziej lubi historie z króliczkami.

— Aha. Króliczkami.

— Małymi, białymi i puszystymi. Ale ja znam tylko opowieści, których nauczył mnie tato, kiedy byłam mała. Nie sądzę, żeby się nadawały.

— Za mało w nich króliczków?

— Mnóstwo odrąbanych rąk i nóg. — Conena westchnęła. — Dlatego nie możesz mu o mnie nic powiedzieć. Rozumiesz? Zwyczajnie się nie nadają do normalnego życia.

— Opowiadanie historii w haremie wcale nie jest normalne — stwierdził Rincewind. — Nigdy się nie przyjmie.

— Znowu na nas patrzy! — Conena złapała go za rękę.

— O rany. . . — Stracił jej dłoń. Pospiesznie przeszedł przez komnatę do Nijela, który chwycił go za drugie ramię.

— Nie opowiadałaś jej o mnie, prawda? — spytał z nadzieją chłopiec. — Nie przeżyłbym, gdyby się dowiedziała, że dopiero się uczę, jak. . .

— Nie, skąd znowu. . . Ona chce tylko, żebyś nam pomógł. To coś w rodzaju wyprawy.

Nijelowi błysnęły oczy.

— Chcesz powiedzieć: imperatyw?

— Słucham?
— Jest o tym w książce. Żeby zostać prawdziwym bohaterem, należy działać pod wpływem imperatywu.
Rincewind zmarszczył czoło.
— Czy to jakiś gatunek ptaka?
— Myślę, że to rodzaj obligacji czy nakazu — wyjaśnił Nijel, jednak niezbyt pewnie.
— Mnie to się kojarzy z ptakiem. Jestem przekonany, że czytałem gdzieś o nim w bestiariuszu. Duży. Nie lata. Ma długie czerwone nogi.
Twarz mu pobladła, gdy uszy przetrwały to, co właśnie powiedziały usta.
Pięć sekund później byli już na korytarzu, pozostawiając za sobą czterech nieprzytomnych strażników i damy z haremu, które usiadły w krąg, żeby poopowiadać sobie historie.

* * *

Pustynię po krawędziowej stronie Al Khali rozcina rzeka Tsort, sławiona w mitach i zwykłych plotkach. Wije się wśród brunatnych pejzaży niczym długi, kwiecisty opis przecinany interpunkcją piaszczystych ostróg. Na każdym skrawku brzegu zalegają wysuszone słońcem kłody drewna, zaś większość z nich należy do odmiany posiadającej zęby. Cichy plusk w górze rzeki sprawił, że owa większość leniwie uchyliła powieki. I nagle okazało się, że większość kłód posiada też nogi. Kilkanaście pokrytych łuską ciał zsunęło się w mętne wody; okryła je fala. Po-tem powierzchnia pozostała gładka, jeśli nie liczyć kilku nieistotnych zmarszczek w kształcie litery.

Wiosłując nogami, Bagaż spływał wolno z prądem. W wodzie czuł się trochę lepiej. Zakręcił się łagodnie w słabym zawirowaniu. Kilka tajemniczych fal na powierzchni zbiegało się w tym właśnie miejscu.

Spotkały się.

Bagaż szarpnął się. Wieko odskoczyło. Z krótkim, rozpaczliwym trzeszczeniem jak kamień zniknął pod wodą.

Okryła go fala czekoladowej barwy wód Tsortu. Fali szło coraz lepiej.

* * *

Wieża czarodzieństwa wyrastała ponad Al Khali niczym ogromny i cudowny grzyb, z rodzaju tych, jakie pojawiają się w książkach pod małymi symbolami czaszek ze skrzyżowanymi kośćmi.

Straż szeryfa próbowała walczyć, lecz wokół wieży można było już dostrzec sporo oszołomionych żab i kijanek. To byli ci, którym dopisało szczęście. Nadal posiadali nogi i ręce — w pewnym sensie — a większość ich kluczowych organów pozostała wewnątrz. Miasto znalazło się pod władzą czarodzieielstwa, w magicznym stanie wyjątkowym.

Niektóre z budynków najbliższych podstawy wieży pokrył już błyszczący jasny marmur, który najwyraźniej magom odpowiadał.

Trójka bohaterów spoglądała przez wyrwę w pałacowym murze.

— Robi wrażenie — przyznała niechętnie Conena. — Twoi magowie są potężniejsi niż przypuszczałam.

— Nie moi — zaprotestował Rincewind. — Nie wiem, czyimi są magami. I nie podoba mi się to. Żaden z magów, których znałem, nie potrafiłby ustawić jednej cegły na drugiej.

— Nie podoba mi się, że magowie mają wszystkimi rządzić — dodał Nijel. — Oczywiście, jako bohater, jestem filozoficznie przeciwny samej idei magii. Nadejdzie kiedyś dzień. . . — Oczy zaszkliły mu się lekko, jakby próbował sobie coś przypomnieć. — Nadejdzie dzień, gdy wszelka magia zniknie z powierzchni tego świata, a synowie tego. . . tego. . . No, w każdym razie ludzie zaczną myśleć bardziej praktycznie — dokończył niepewnie.

— Czytałeś o tym w książce, co? — spytał kwaśno Rincewind. — Są tam jakieś imperatywy?

— Ma trochę racji — zauważyła Conena. — Nie mam nic przeciwko magom, ale to nie znaczy, że są do czegokolwiek potrzebni. Zwykła dekoracja. Aż do teraz.

Rincewind zdjął kapelusz. Był pognieciony, poplamiony i przysypany kamiennym pyłem, stracił niektóre fragmenty, czubek był zgięty, a gwiazda sypała cekinami jak kwiat pyłkiem, ale słowo „Maggus” wciąż pozostało czytelne pod brudem.

— Widzicie to? — zapytał, czerwieniejąc z gniewu. — Widzicie? Na pewno? I o czym to świadczy?

— Że nie znasz ortografii? — spytał Nijel.

— Co? Nie. Świadczy, że jestem magiem. Ot co! Dwadzieścia lat przy lasce i jestem z tego dumny! Zrobiłem swoje. . . Zdałem. . . przesiedziałem na dziesiątkach egzaminów! Gdyby wszystkie zaklęcia, które przeczytałem, ułożyć jedno na drugim, to. . . to by. . . to by było mnóstwo zaklęć!

— Tak, ale. . . — zaczęła Conena.

— Słucham!

— Tak naprawdę to czarowanie ci nie wychodzi.

Rincewind spojrział na nią wrogo. Próbował wymyślić ripostę, a w jego mózgu mały obszar odbiorczy otworzył się akurat w chwili, kiedy częśćka natchnienia, pokonawszy drogę skręcaną i przesuwana bilionami przypadkowych zderzeń,

z wyciem przebiła się przez atmosferę i eksplodowała bezgłośnie dokładnie we właściwym punkcie.

— Talent określa, co człowiek robi — oznajmił Rincewind. — Nie określa, kim człowiek jest. Znaczy, w głębi duszy. Kiedy wiesz, kim jesteś, możesz dokonać wszystkiego.

Zastanowił się.

— Właśnie dlatego czarodzieje są tacy potężni — dodał. — Najważniejsze to wiedzieć, kim się jest naprawdę. Minęła ciężka od filozofii chwila.

— Rincewindzie — zaczęła łagodnie Conena.

— Hm? — odpowiedział Rincewind, wciąż myśląc, skąd wzięty się w jego głowie takie słowa.

— Naprawdę jesteś idiotą. Wiesz o tym?

— Wy wszyscy! Nie ruszać się!

Wezyr Abrim wyszedł spod zburzonego łuku bramy. Na głowie miał kapelusz nadrektora.

* * *

Pustynia smażyła się w promieniach słońca. Nic się nie poruszało prócz drżącego powietrza, gorącego jak wulkan i suchego jak czaszka.

W cieniu głazu leżał dysząc bazyliszek; z paszczy ściekał mu żrący żółty śluz. Od pięciu minut jego uszy wychwytywały odległy tupot setek małych nóżek kroczących niepewnie przez wydmy. To wskazywało, że zbliża się obiad.

Stwór mrugnął swymi legendarnymi oczami i rozwinął dwadzieścia stóp wygodniałego cielska. Wił się po piasku niby płynna zguba.

Bagaż zatrzymał się chwiejnie i groźnie uchylił wieko. Bazyliszek zasyczał, choć niezbyt pewnie, jako że nigdy jeszcze nie widział chodzącej skrzyni, a już szczególnie takiej, w której wieku tkwiło mnóstwo zębów aligatorów. Do bocznych jej ścian przylegały strzępki skóry, jakby brała udział w bitwie w fabryce damskich torebek. I robiła wrażenie — choć bazyliszek nie potrafiłby określić, w jaki sposób, choćby nawet potrafił mówić — spoglądającej ponuro.

No dobrze, pomyślał gad. Jeśli tak chcesz to rozegrać...

Skierował na Bagaż swój wzrok: wzrok jak diamentowe wiertło, wzrok sięgający przez oczy ofiary i wypalający mózg od wewnątrz, wzrok zrywający delikatne firanki z okien duszy, wzrok...

Bazyliszek uświadomił sobie nagle, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Tuż za jego wielkimi jak spodki oczami rodziło się zupełnie nowe, nieznanne i nieprzyjemne uczucie. Zaczęło się niewinnie jak lekkie swędzenie na tym małym kawałku pleców, którego nie można podrapać, choćby człowiek nie wiem jak się

wyginał. A potem narastało, aż stało się drugim, rozpalonym do czerwoności wewnętrznym słońcem.

Bazyliszek odczuwał straszliwą, nieprzepartą i przytłaczającą ochotę, by mru-gnąć. . .

Aż zrobił coś niewyobrażalnie nierozsądnego.

Mrugnął.

* * *

— On mówi przez kapelusz — stwierdził Rincewind.

— Co? — nie zrozumiał Nijel.

Właśnie zaczynał pojmować, że świat barbarzyńskiego herosa nie jest tym czystym, prostym miejscem, za jakie go uważał w dniach, kiedy najbardziej ekscytującym zajęciem było zbieranie pasternaku.

— Kapelusz mówi poprzez niego, chciałeś powiedzieć — poprawiła Conena i cofnęła się, jak zwykle każdy wobec horroru.

— Co?

Nie uczynię wam krzywdy. Byliście mi przydatni, oznajmił Abrim, zbliżając się z wyciągniętymi rękami. Ale macie rację. Myślał, że nosząc mnie zyska moc. Oczywiście, jest odwrotnie. Zdziwiająco zdradliwy i chytry umysł.

— Czyli przymierzyłeś jego głowę? — spytał Rincewind. Zadrżał. On też no-sił ten kapelusz. Najwyraźniej nie posiadał odpowiedniego umysłu. Odpowiedni umysł posiadał Abrim, a teraz oczy miał szare i bezbarwne, skórę bladą, a szedł jakby zwisał za głowę. Nijel wyjął swoją książkę i gorączkowo przerzucał strony.

— Co ty wyprawiasz? — zdumiała się Conena, nie odrywając wzroku od upiornej postaci.

— Sprawdzam Indeks Wędrownych Potworów — odparł Nijel. — Myślisz, że to Chodzący Trup? Strasznie trudno je zabić; potrzebny jest czosnek i. . .

— Tego tam nie znajdziesz — rzekł wolno Rincewind. — To jest. . . To kapelusz-wampir.

— Naturalnie może to być zombie. — Nijel przesunął palec wzdłuż strony. — Piszą tu, że potrzebny jest czarny pieprz i morska sól, ale. . .

— Masz przecież walczyć z potworami, a nie je zjadać — zauważyła Conena.

Taki umysł zdolam wykorzystać, oznajmił kapelusz. Teraz mogę walczyć. Stane w obronie magii. Na świecie jest miejsce na jeden tylko typ czarów, a ja jestem jego wcieleniem. Strzeż się, czarodzieciu!

— Tylko nie to — mruknął pod nosem Rincewind.

Magowie wiele się nauczyli przez ostatnie dwadzieścia stuleci. Można pokonać tego uzurpatora. Wy troje pójdziecie ze mną.

Nie była to prośba. Nie był to nawet rozkaz. Był to raczej rodzaj przepowiedni. Głos kapelusza sięgał wprost do tyłu mózgowia, nie przejmując się wcale świadomością. Nogi Rincewinda z własnej woli ruszyły z miejsca.

Pozostała para także kroczyła naprzód sztywnym, kukiełkowym krokiem, co sugerowało, że oni również wiszą na niewidzialnych sznurkach.

— Dlaczego „tylko nie to”? — spytała Conena. — Owszem, „tylko nie to” z powodów ogólnych mogę zrozumieć, ale czy jest jakaś szczególna przyczyna?

— Jeśli nadarzy się okazja, musimy uciekać — odparł Rincewind.

— Do jakiegoś konkretnego miejsca?

— To prawdopodobnie bez znaczenia. I tak jesteśmy zgubieni.

— Dlaczego? — zdziwił się Nijel.

— No cóż — westchnął Rincewind. — Słyszałeś kiedy o Wojnach Magów?

* * *

Wiele rzeczy na Dysku zawdzięcza swe powstanie Wojnom Magów. Jedną z nich jest myśląca grusza. Oryginalne drzewo było zapewne całkiem zwyczajne i spędzało dni na picciu wód gruntowych i jedzeniu słonecznego światła, w stanie błogosławionej nieświadomości. I nagle wokół eksplodowała magia i przemocą pobudziła geny do ostrej nadwrażliwości.

W dodatku głęboko zakodowała w nich paskudny nastrój. Ale myśląca grusza i tak niewiele ucierpiała.

Kiedyś, gdy poziom tła magicznego na Dysku był jeszcze młody i wysoki, i przy każdej okazji tryskał na świat, magowie byli potężni jak czarodzieje i na każdym wzgórzu budowali swe wieże. A jeśli istnieje coś, czego potężny mag naprawdę nie znosi, jest to inny mag. Instynktowny odruch sprowadza dyplomację do prostej zasady: ciskać w konkurencję urokami aż zaświeci, a potem przeklinać ją w mroku.

Co mogło prowadzić tylko do jednego. No dobrze, do dwóch. Do trzech efektów.

Totalnej. Wojny. Taumaturgicznej.

Naturalnie, nie było w niej żadnych sojuszy, stron, układów, litości ani zawieszenia broni. Nieba zwijały się, a morza kipiały. Grad huczących kul ognistych zmieniał noc w dzień, co było uczciwe, jako że powstałe w wyniku tych działań chmury czarnego dymu zmieniały dzień w noc. Krajobraz wznosił się i opadał niczym kołdra w sypialni nowożeńców. Sama osnowa przestrzeni była wiązana w wielowymiarowe supły i tłuczona kijankami o płaskie kamienie na brzegu Rzeki Czasu. Jednym z popularniejszych zaklęć owych dni był na przykład Temporalny Kompresor Pelepela. Kiedyś doprowadził do powstania rasy gigantycznych gadów, które zostały stworzone, wyewoluowały, rozprzestrzeniły się, opanowały

planetę, a potem wyginęły, wszystko to w czasie mniej więcej pięciu minut. Pozostawiły po sobie jedynie zasypane ziemią kości, całkowicie wprowadzając w błąd przyszłe generacje. Drzewa pływały, ryby spacerowały, góry chodziły do kiosków po papierosy. . . Zmienność wszelkiego istnienia osiągnęła taki poziom, że każdy rozsądnie myślący człowiek rozpoczął dzień od policzenia swoich rąk i nóg.

Na tym właśnie polegał problem. Każdy z magów dysponował zbliżoną mocą, zresztą mieszkali w wysokich wieżach, dobrze chronionych czarami. To oznaczało, że magiczne pociski zwykle odbijały się i lądowały na prostych ludziach, którzy utrzymywali się, z uprawy spłachetków tego, co chwilowo było gruntem, i starali się prowadzić zwyczajne, przyzwoite (choć raczej krótkie) życie.

I wciąż trwały starcia, atakujące fundamentalną strukturę uniwersum porządku, osłabiające mury rzeczywistości i grożące przewróceniem całej chwiejnej konstrukcji czasu i przestrzeni w ciemność Piekielnych Wymiarów.

Jedna z legend głosi, że wkroczyli bogowie, jednak bogowie nie wtrącają się do ludzkich spraw, chyba że ich to bawi. Inna — tę powtarzają sami magowie i zapisali ją w swoich księgach — mówi, że z własnej woli zebrali się wszyscy i pokojowo rozstrzygnęli spory dla dobra całej ludzkości. Tę powszechnie uznawano za prawdziwy obraz wydarzeń, choć była równie sensowna co ołowiany pas ratunkowy.

Prawdę niełatwo jest przyszpilić piśmem do stronicy. W wannie historii prawdę trudniej jest utrzymać niż mydło, i o wiele trudniej znaleźć. . .

* * *

— I co się wtedy stało? — spytała Conena.

— To bez znaczenia — odparł smętnie Rincewind. — Wszystko zacznie się od początku. Czuję to. Tak podpowiada mi instynkt. Zbyt wiele magii wpływa do świata. Wybuchnie straszliwa wojna. A Dysk jest już za stary, żeby wytrzymać to po raz drugi. Wszystko się wytarło. Czekają nas zguba, ciemność i zniszczenie. Zbliża się Apokrypsa.

— Śmierć przekracza granice tego świata — odpowiedział Nijel.

— Co? — Rincewind ocknął się, zagniewany, że mu przerwano.

— Śmierć przekracza granice. . .

— Za granicą mi nie przeszkadza. Tam mieszkają sami cudzoziemcy. Natomiast Śmierci w pobliżu wolałbym nie oglądać.

— To tylko metafora — wyjaśniła Conena.

— Tobie się tak wydaje. A ja go poznałem.

— Jak wygląda? — zainteresował się Nijel.

— Określę to w ten sposób. . .

— Tak?

— Nie potrzebuje fryzjera.

* * *

Słońce stało się lampą lutowniczą przybitą do kopuły niebios a jedyną różnicę między piaskiem a czerwonym od żaru popiołem stanowił kolor.

Bagaż brnął zygzakiem przez gorące wydmy. Na jego wieku pozostało kilka szybko schnących plam żółtego śluzu.

Ten niewielki samotny prostokąt obserwowany był z czubka kamiennej iglicy przez chimery¹⁸. Chimery to wyjątkowo rzadki gatunek, a ta konkretna miała zamiar uczynić coś, co z pewnością nie poprawi ich sytuacji.

Starannie wybrała właściwy moment, odbiła się pazurami, rozłożyła błoniaste skrzydła i runęła z góry na ofiarę.

Technika polowania chimery polegała na przelocie nisko nad celem i lekkim podgotowaniu go ognistym oddechem. Potem wykonuje zwrot i rozdziera posiłek zębami. Część z ogniem zrealizowała bez zarzutu, potem jednak, kiedy doświadczenie mówiło jej, że spotka przerażoną i sparaliżowaną ofiarę, stanęła na drodze przypalonego i wściekłego Bagażu.

Jedyne, co w Bagażu było płomienne, to jego furia. Przez ostatnie kilka godzin dręczył go silny ból głowy. W dodatku wydawało mu się, że cały świat usiłuje go zaatakować. Miał tego dosyć.

Kiedy rozdeptał już nieszczęsną chimery w tłustą plamę na piasku, znieruchomiał na moment, zapewne rozmyślając o przyszłości. Stawało się oczywiste, że nienależenie do nikogo jest o wiele trudniejsze, niż mu się z początku wydawało. Dręczyły go niewyraźne, miłe wspomnienia służby i pawlacza, który mógł nazwać domem.

Zawrócił bardzo powoli. Często przystawał i uchylał wieko. Mógłby wywąchiwać ślady, gdyby miał nos. W końcu poszedł po rozum do głowy — jeśli miał głowę — i podjął decyzję.

* * *

Kapelusz i jego nosiciel także kroczyli stanowczo przez ruiny, niedawno jeszcze będące legendarnym Rhoxie, ku wieży czarodzielstwa. Za nimi włókł się zmuszony do posłuszeństwa orszak.

¹⁸Po opis chimery sięgniemy do słynnego bestiariusza Broomfoga, zatytułowanego Anima Un-naturale - „Ma ona nogi syreny, sierść żółwia tudzież zęby kaczki, a także skrzydła węża. Oczywiste, że mam na dowód jedynie słowo moje. Bestia dycha niczym palenisko, a jej temperament jest jak gumowy balon przez huragan porwany”

U podstawy wieży tkwiły drzwi. W przeciwieństwie do wrót Niewidocznego Uniwersytetu, zwykle szeroko otwartych, te były szczelnie zamknięte i chyba jarzyły się lekko.

Wasza trójka ma zaszczyt znaleźć się tutaj właśnie teraz, oznajmił, kapelusz przez bezwolne usta Abrima. Oto chwila, kiedy magia przestaje uciekać... Spojrzał z pogardą na Rincewinda. I zaczyna walczyć. Zapamiętajcie ten moment do końca waszego życia.

— Co? Aż do obiadu? — spytał Rincewind słabym głosem.

Patrzcie uważnie, poinstruował Abrim i wyciągnął ręce.

— Jeśli tylko pojawi się okazja — szepnął Rincewind Nijelowi — natychmiast uciekamy. Jasne?

— Dokąd?

— Przed kim. Kluczowe pytanie brzmi: przed kim.

— Nie ufam temu człowiekowi — wyznał Nijel. — Staram się nie osądzać innych na podstawie pierwszego wrażenia, ale jestem przekonany, że ma złe zamiary.

— Kazał cię wrzucić do jamy węży!

— Może nie doceniłem tej wskazówki.

Wezyr zaczął coś mruzczyć. Nawet Rincewind, którego nieliczne zdolności obejmowały talent do języków, nie zrozumiał ani słowa. Jednak brzmiało to jak mowa stworzona specjalnie do mamrotania. Słowa rozwijały się na boki niby ostrza kos na wysokości kostek: mroczone, krwawe i bezlitosne. Tworzyły w powietrzu złożone zawirowania i płynęły wolno ku drzwiom wieży.

Dotknęły białego marmuru, który poczerniał i rozsypał się w proch. A kiedy jego szczątki opadały na ziemię, w otworze stanął jakiś mag i zmierzył Abrima gniewnym spojrzeniem.

Rincewind był przyzwyczajony do stylu ubioru magów, jednak ten naprawdę robił wrażenie. Szatę miał tak wypchaną, wzmocnioną i zdobną fantastycznymi fałdami i plisami, że prawdopodobnie projektował ją architekt. Odpowiedni do niej kapelusz wyglądał jak weselny tort po bliskim spotkaniu ze świąteczną choinką.

Sama twarz, widoczna w szczelinie pomiędzy barokowym kołnierzem a koronkową frędzlą wokół kapelusza, nieco rozczarowywała. W jakimś momencie przeszłości doszła do wniosku, że jej wygląd poprawi wąski, nierówny wąsik. Myliła się.

— To były nasze drzwi! — oznajmiła twarz. — Naprawdę tego pożałujesz.

Abrim skrzyżował ramiona.

Zdawało się, że doprowadziło to maga do szału. Zamachał rękami, uwolnił dłonie z koronek mankietów i przez dziurę w murze wysłał strugę syczącego płomienia. Trafiła Abrima w pierś, rozprysnęła się ognistą fontanną, a kiedy niebieskie powidoki pozwoliły wreszcie Rincewindowi popatrzeć, przekonał się, że

wezyr stoi nietknięty.

Jego przeciwnik gorączkowo tłumił płomyki na własnym ubraniu. Po chwili podniósł głowę. W oczach błyszczała mu żądza mordy.

— Ty chyba jeszcze nie rozumiesz — wycodził. — Masz do czynienia z czarodzieństwem. Nie możesz z nim walczyć.

Mogę wykorzystać czarodzieństwo, odparł Abrim.

Mag warknął gniewnie i cisnął kulę ognistą, która rozprysnęła się nieszkodliwie o kilka cali od straszego uśmiechu wezyra.

Na twarzy maga pojawił się wyraz głębokiego zdziwienia. Spróbował jeszcze raz, posyłając linie błękitnej od żaru magii sięgające od nieskończoności prosto do serca Abrima. Abrim odchylił je machnięciem ręki.

Masz prosty wybór, rzekł. Możesz się do mnie przyłączyć, albo umrzeć.

W tej właśnie chwili Rincewind uświadomił sobie, że tuż za uchem słyszy jakiś regularny, zgrzytliwy dźwięk. Miał nieprzyjemne, metaliczne brzmienie.

Obejrzał się. Ogarnęło go znajome i bardzo niemiłe uczucie gwałtownie spowalniającego Czasu.

Śmierć znieruchomiał z osetką na ostrzu swej kosa. Skinął Rincewindowi głową na powitanie, jak jeden zawodowiec drugiemu. Potem podniósł kościsty palec do warg, czy raczej miejsca, gdzie znajdowałyby się jego wargi, gdyby je posiadał.

Wszyscy magowie mogą widzieć Śmierć, ale to nie znaczy, że chcą go widzieć.

Coś puknęło Rincewindowi w uszach i widmo zniknęło.

Obu walczących otaczała aureola stochastycznej magii, wyraźnie nie czyniącej Abrimowi żadnej szkody. Rincewind przepłynął do świata żywych akurat na czas, by zobaczyć, jak wezyr chwytą maga za niegustowny kołnierz.

Nie zdołasz mnie pokonać, oznajmił głosem kapelusza. Przez dwa tysiące lat kształtowałem magię dla własnych celów. Mogę czerpać swoją moc z twojej. Podaj się, bo nie będziesz miał czasu pożałować, że tego nie zrobiłeś.

Mag szarpnął się i na swoje nieszczęście pozwolił, by duma zatryumfowała nad rozważą.

— Nigdy! — oświadczył.

Giń, zasugerował Abrim.

Rincewind oglądał w życiu wiele dziwnych rzeczy, większość z najwyższą niechęcią. Nigdy jednak nie widział kogoś naprawdę zabitego czarami.

Magowie nie zabijają zwykłych ludzi, ponieważ a) rzadko zwracają na nich uwagę, b) jest to uznawane za dowód braku manier i c) poza tym, kto by zajmował się gotowaniem, uprawą i w ogóle. Natomiast zabicie brata-adepta było prawie niemożliwe z powodu warstw ochronnych zaklęć, jakimi przewidujący mag

przez cały czas się otacza¹⁹. Studenci Niewidocznego Uniwersytetu już na samym początku dowiadawali się — prócz tego, któredy się idzie do toalety i gdzie jest ich wieszak — że muszą się osłaniać bez chwili przerwy.

Niektórzy sądzą, że to paranoja. Mylą się. Paranoicy tylko myślą, że wszyscy chcą ich dopaść. Magowie to wiedzą.

Niewysoki mag miał na sobie psychiczny równoważnik trzech stóp hartowanej stali, która topiła się niczym masło nad płomieniem lampy. Ściekała coraz obficie, aż wreszcie zniknęła.

Jeśli istnieją słowa, mogące opisać, co stało się wtedy z magiem, to są uwięzione w jakimś zdniczałym słowniku w Bibliotece Niewidocznego Uniwersytetu. Może lepiej pozostawić to wyobraźni. . . Ale ktoś zdolny wyobrazić sobie kształt, jaki Rincewind oglądał, wijący się boleśnie na kilka sekund przed miłosiernym zniknięciem, musi być kandydatem do słynnego białego kaftana z opcjonalnymi długimi rękawami.

Tak zginą wszyscy nieprzyjaciele, stwierdził Abrim. Podniósł głowę i wykrzyknął ku szczytowi wieży: *Wyzywam was. Ten, kto nie stawia mi czoła, musi pójść ze mną. Tak mówią zasady Sztuki.*

Przez długą chwilę trwała cisza, wywoływana przez wielu ludzie pilnie nasłuchujących.

— A które zasady Sztuki o tym mówią? — odkrzyknął niepewny głos ze szczytu.

Ja jestem wcieleniem Sztuki.

Zabrzmiały stłumione szepty.

— Sztuka jest martwa — zawołał ten sam głos. — Czarodzielstwo jest potężniejsze od. . .

Zdanie urwało się we wrzasku, gdyż Abrim wznosił lewą rękę i dokładnie w stronę mówiącego wysłał cienki promień zielonego światła.

W tej samej chwili Rincewind uświadomił sobie, że może samodzielnie poruszać nogami. Kapelusz chwilowo przestał się nimi interesować. Zerknął z ukosa na Conenę. W błyskawicznym, zawartym bez słów porozumieniu chwycili Nijela pod pachy i rzucili się do ucieczki. Nie zatrzymywali się, póki od wieży nie dzieliło ich kilka murów. Biegając, Rincewind cały czas oczekiwał, że coś uderzy go nagle w tył głowy. Możliwe, że świat.

Wszyscy troje wylądowali w stosie gruzu i leżeli dysząc ciężko.

— Nie musieliście tego robić — wysapał Nijel. — Właśnie miałem się do niego zabrać. Jak mam się nauczyć. . .

Gdzieś z tyłu nastąpił wybuch i wielobarwne płomienie przeniknęły z wyciem

¹⁹Zdarza się, oczywiście, że magowie zabijają się wzajemnie zwyczajnymi, nie magicznymi środkami. To jednak jest towarzysko akceptowane. Śmierć w wyniku skrytobójstwa uznaje się wśród magów za zgon z przyczyn naturalnych.

w górze, krzesząc iskry ze ścian. Zabrział odgłos, jakby ktoś wyciągał ogromny korek małej butelki, i perlisty śmiech, który nie wiadomo dlaczego wcale nie wydawał się zabawny. Ziemia zadrżała.

— Co się dzieje? — spytała Conena.

— Magiczna wojna — wyjaśnił Rincewind.

— To dobrze?

— Nie.

— Ale chcesz chyba, żeby magia zwyciężyła? — wtrącił Nijel.

Rincewind wzruszył ramionami i szybko schylił głowę, kiedy furcząc przemknęło nad nimi coś niewidzialnego i dużego, wydając głos jak kuropatwa.

— Jeszcze nie widziałem walczących magów — oświadczył Nijel.

Zaczął wspinać się po gruzie i krzyknął, gdy Conena chwyciła go za nogę.

— Myślę, że to nie najlepszy pomysł — stwierdziła. — Rincewindzie?

Mag ponuro pokręcił głową i podniósł niewielki kamień. Rzucił go nad zrzuconym murem, gdzie kamyk zmienił się w mały niebieski imbryk. Rozbił się, spadając na ziemię.

— Zaklęcia reagują ze sobą — wyjaśnił Rincewind. — Nie można przewidzieć, czego dokonają.

— Ale za tą ścianą jesteśmy bezpieczni? — spytała Conena.

Rincewind poweselał nieco.

— Naprawdę jesteśmy?

— To ja pytam ciebie.

— Aha. Nie. Nie przypuszczam. To przecież zwykły kamień. Wystarczy odpowiednie zaklęcie i... fiu!

— Fiu?

— Właśnie.

— Może znowu uciekniemy?

— Warto spróbować.

Dotarli do kolejnej, stojącej jeszcze pionowo ściany, a kilka sekund później przypadkowa kula żółtego ognia wylądowała w miejscu, gdzie byli jeszcze przed chwilą, i zmieniła grunt w coś obrzydliwego. Cały teren wokół wieży znalazł się w kręgu tornada roziskrzzonego powietrza.

— Potrzebny nam plan — oznajmił Nijel.

— Możemy spróbować uciekać dalej — zaproponował Rincewind.

— A czy to cokolwiek rozwiązuje?

— Rozwiązuje większość spraw.

— Jak daleko musimy dotrzeć, żeby być bezpieczni? — spytała Conena.

Rincewind zaryzykował spojrzenie za mur.

— Interesujący problem filozoficzny — stwierdził. — Dotarłem już daleko, a nigdy nie byłem bezpieczny. Conena westchnęła i spojrzała na pobliskie wy-

sypisko gruzu. Popatrzyła znowu. Było w nim coś dziwnego i nie bardzo mogła określić, co to takiego.

— Mógłbym na nich natrzeć — zaproponował niepewnie Nijel. Spojrzał tęsknie na plecy Coneny.

— Nic z tego nie będzie — odparł Rincewind. — Przeciwno czarom nie skutkuje nic z wyjątkiem silniejszych czarów. A jedynym, co może pokonać silniejsze czary, są jeszcze silniejsze czary. I zanim się zorientujesz. . .

— Fiu. . . — podpowiedział Nijel.

— To już się zdarzało. Trwało tysiące lat, aż wreszcie. . .

— Czy wiecie, co jest dziwnego w tej kupie gruzu? — wtrąciła Conena.

Rincewind obejrzał się. Zmrużył oczy.

— To znaczy oprócz nóg? — zapytał.

Kilka minut zajęto im odkopanie szeryfa. Wciąż ścisnął butelkę wina, już prawie pustą, i ciągle mrugał, nie do końca rozpoznając swoich wybawców.

— Mocny. . . — stwierdził. Po czym dodał z pewnym wysiłkiem: — . . . trunek z tego rocznika. Czułem się. . . — kontynuował — jakby cała okolica na mnie spadła.

— Bo spadła — potwierdził Rincewind.

— Aha. To wszystko tłumaczy. — Po kilku próbach Kreozot skupił wzrok na Conenie i kiwnął się do tyłu. — Coś podobnego. . . Znowu ta młoda dama. . . Imponujące.

— Chwileczkę. . . — wtrącił Nijel.

— Twoje włosy. . . — powiedział szeryf, przechylając się na powrót do przodu — . . . są jak. . . są jak stado kóz pasących się na zboczu Gebry.

— Jedno słowo. . .

— Twoje piersi są jak. . . jak. . . — Szeryf zakołysał się z boku na bok i krótkim, smutnym spojrzeniem obrzucił pustą butelkę. — Są jak zdobione klejnotami melony w legendarnych ogrodach jutrzeńki.

Conena szeroko otworzyła oczy.

— Naprawdę?

— Nie. . . — odparł szeryf — ma żadnych wątpliwości. Na pierwszy rzut oka umiem poznać wysadzone klejnotami melony. Jak dwoje kóz, co pasą się na łące przy wodzie, są twoje uda, które. . .

— Ehem, przepraszam. . . — Nijel odchrząknął z wyraźnie złymi zamiarami.

Kreozot wychylił się w jego kierunku.

— Hmm?

— Tam, skąd pochodzę — rzekł Nijel lodowato — nie zwracamy się w ten sposób do dam.

Conena westchnęła, gdy Nijel opiekuńczo zasłonił ją przed szeryfem. Niestety, pomyślała, to szczerza prawda.

— Co więcej — mówił dalej, jak najmocniej wysuwając podbródek, choć ten wciąż bardziej przypominał dołek w brodzie — myślę. . .

— Rzecz jest dyskusyjna — przerwał mu Rincewind. — Przepraszam bardzo, ehm, panie, chcielibyśmy się stąd wydostać. Nie znasz przypadkiem drogi?

— Tysiące komnat — westchnął szeryf — jest w tym pałacu. Nie wychodziłem stąd od lat. — Czknął. — Od dziesięcioleci. Eonów. Właściwie to nigdy nie wychodziłem. — Oczy zaszyły mu mgiełką gdy dokonywał aktu tworzenia: — Ptak Czasu jedynie, tego, krótką ma drogę do przejścia i oto ptak stoi na nogach. . .

— To imperatyw — mruknął Rincewind.

Kreozot zatoczył się ku niemu.

— Abrim zajmuje się rządzeniem. Strasznie ciężka praca.

— Nie zajmuje się — odparł Rincewind. — W każdym razie nie w tej chwili.

— A my chcielibyśmy jakoś się stąd wydostać — przypomniała Conena, która wciąż powtarzała sobie w myślach zdanie o kozach.

— A ja mam ten imperatyw — dodał Nijel, gniewnie zerknął na Rincewinda.

Kreozot poklepał go po ramieniu.

— To ładnie — pochwalił. — Każdy powinien mieć jakieś zwierzątko.

— Gdybyś przypadkiem wiedział, czy posiadasz jakieś stajnie czy coś. . . — zasugerował Rincewind.

— Setki — zapewnił Kreozot. — Posiadam najwspanialsze, bardziej. . . wspaniałe konie na świecie. — Zmarszczył brwi. — Tak mi przynajmniej mówili.

— Ale nie wiesz, gdzie się znajdują?

— Nie personalnie — przyznał szeryf. Przynajmniej przypadkowy rozbłysk magii zmienił pobliską ścianę w arsenikowe bezy.

— Chyba lepiej mi było zostać w jamie węży — mruknął Rincewind i odwrócił się zniechęcony.

Kreozot raz jeszcze spojrzął ze smutkiem na pustą butelkę.

— Wiem, gdzie jest latający dywan — oznajmił.

— Nie — odparł Rincewind, zasłaniając się rękami. — Absolutnie. Nawet o tym nie. . .

— Prawdziwy latający dywan? — przerwał mu Nijel.

— Przestań — poprosił niespokojnie Rincewind. — Dostaję zawrotu głowy od samego słuchania o wysokości.

— Ależ całkiem. . . — Szeryfowi odbiło się lekko. — . . . prawdziwy. Bardzo ładny deseń. — Zerknął na butelkę i westchnął. — Miał taki śliczny błękitny kolor — dodał.

— A nie wiesz przypadkiem, gdzie teraz jest? — spytała Conena powoli, w stylu człowieka skradającego się ostrożnie do dzikiego zwierzęcia, które lada chwila może się spłoszyć.

— W skarbcu. Tam umiem trafić. Jestem niewyobrażalnie bogaty. Tak mi przynajmniej mówili. — Zniżył głos i spróbował mrugnąć do Coneny, co w koń-

cu udało mu się obojgiem oczu jednocześnie. — Moglibyśmy na nim usiąść — wymamrotał, nagle spocony. — A ty byś opowiedziała mi historię...

Rincewind usiłował wrzasnąć przez zaciśnięte zęby. Czuł już, że pocą mu się kostki nóg.

— Nie będę latał na żadnym dywanie! — syknął. — Mam lęk gruntu.

— Chciałeś powiedzieć: wysokości — poprawiła go Conena. — I nie bądź głuptasem.

— Wiem, co chciałem powiedzieć. To grunt zabija!

Bitwa o Al Khali była jak ciężka chmura, w której wrzących kłębach dało się usłyszeć przedziwne kształty i zobaczyć niezwykle dźwięki. Od czasu do czasu chybione strzały przeorywały miasto. A gdzie trafiły, wszystko stawało się... inne.

Na przykład duża część ssuku zmieniła się w gęstą puszcę gigantycznych żółtych grzybów. Nikt nie wiedział, jaki efekt wywarło to na mieszkańców okolicy, chociaż możliwe, że nic nie zauważyli.

Świątynia Offlera, Boga Krokodyla, patrona miasta, stała się brzydką, cukierkową konstrukcją zbudowaną w pięciu wymiarach. Co nie miało żadnego znaczenia, gdyż była właśnie pożerana przez stado gigantycznych mrówek.

Z drugiej strony, niewielu mieszkańców pozostało, by oglądać ten akt protestu przeciw nie kontrolowanym zmianom budynków publicznych. Większość usiłowała ratować się ucieczką. Szerokimi strumieniem pędzili przez żyzne pola. Niektórzy wsiadali na statki, jednak ten sposób ucieczki stracił na popularności, gdy niemal cały obszar portu zmienił się w bagno, na którym — bez żadnego dostrzegalnego powodu — budowała sobie gniazdo para małych różowych słońi.

Poniżej ogarniętych paniką tłumów, wzdłuż porośniętego, trzcina rowu melioracyjnego, płynął wolno Bagaż. W pewnej odległości przed nim ruchoma fala niewielkich aligatorów, szczurów i żółwi wysuwała się z wody i gorączkowo wspinała na brzegi, pchana nieokreślonym, ale absolutnie precyzyjnym zwierzęcym instynktem.

Bagaż zacisnął wieko w wyrazie posępnej determinacji. Zwykle niewiele chciał od świata — jedynie całkowitego wymarcia wszelkich innych form życia. Teraz jednak najbardziej był mu potrzebny właściciel.

* * *

Całkowita pustka dobitnie świadczyła, że ta komnata jest skarbcem. Drzwi wisiały na zawiasach. Zakratowane wnętrza zostały splądrowane, a wokół leżały roztrzaskane skrzynie. Na ten widok Rincewinda zakuło sumienie: przez mniej więcej dwie sekundy zastanawiał się, co spotkało Bagaż.

Zapadła cisza pełna powagi, jak zwykle, kiedy znikają duże sumy pieniędzy. Nijel spacerował dookoła i oglądał kufry, poszukując ukrytych szuflad, zgodnie z instrukcjami zawartymi w Rozdziale Jedenastym.

Conena schyliła się i podniosła drobną miedzianą monetę.

— To okropne — oświadczył w końcu Rincewind. — Skarbiec bez skarbu.

Szeryf stał i uśmiechał się promiennie.

— Nie ma powodu do zmartwienia — rzekł.

— Przecież ukradli ci wszystkie pieniądze — przypomniała Conena.

— Pewnie służba — stwierdził Kreozot. — Wyjątkowy brak lojalności.

Rincewind spojrzał na niego zdziwiony.

— I to cię nie martwi?

— Nie bardzo. Nigdy właściwie ich nie wydawałem. A często się zastanawiałem, jak to jest być biednym.

— Będziesz miał wspaniałą okazję, żeby się przekonać.

— Czy potrzebne jest jakieś przeszkolenie?

— To przychodzi samo. Człowiek się uczy w trakcie.

Rozległ się odległy wybuch i fragment stropu zmienił się w galaretę.

— Ehm, przepraszam... — wtrącił Nijel. — Ten dywan...

— Tak — zgodziła się Conena. — Dywan.

Kreozot obdarzył ich dobrodusznym, nieco sennym uśmiechem.

— Rzeczywiście. Dywan. Pchnij nos tego posągu za tobą, klejnocie porannej pustyni o pośladkach jak brzoskwinie.

Zarumieniona Conena dokonała drobnego świętokradztwa na dużym posągu Offlera, Boga Krokodyla.

Nic się nie stało. Ukryte komory pilnie zaniechały otworzenia.

— Hm... Sprawdź lewą rękę.

Przekreśliła ją na próbę. Kreozot podrapał się w głowę.

— Może to była prawa ręka...

— Na twoim miejscu spróbowałabym sobie przypomnieć oznajmiła surowo Conena, gdy i to nie dało rezultatu. — Nie zostało już wiele części, za które chciałabym pociągać.

— A co to jest to tam? — spytał Rincewind.

— Byłbyś zdumiony, gdyby się okazało, że to nie ogon — odparła Conena i kopnęła mocno.

Coś zgrzytnęło, jakby patelnia cierpiała z bólu. Posąg zadrżał. Potem rozległo się kilka głośnych szczęknięć w murze i Offler, Bóg Krokodyl, z godnością odsunął się na bok. Za nim otwierało się wejście do tunelu.

— Mój dziad kazał to zbudować dla naszych co ciekawszych skarbów — wyjaśnił Kreozot. — Miał wiele... — szukał odpowiedniej go słowa — ... inwencji.

— Jeśli myślicie, że ja tam wejść... — zaczął Rincewind.

— Odsuń się — przerwał z godnością Nijel. — Ja pójść pierwszy.

— Mogą tam być pułapki... — mruknęła z powątpiewaniem Conena. Zerknęła na szeryfa.

— Prawdopodobnie, niebiańska gazelo — potwierdził. — Ostatni raz byłem tam, kiedy miałem sześć lat. Pamiętam jakieś płyty, na które nie wolno nadeptywać.

— Nie martwcie się — uspokoił ich Nijel, zaglądając w mrok tunelu. — Nie ma chyba takiej pułapki, której bym nie zauważył.

— Masz sporo doświadczenia w takich wyprawach, co? — spytał kwaśno Rincewind.

— No... Znam na pamięć Rozdział Czternasty. Były tam ilustracje — odparł Nijel i zniknął w ciemności.

Czekali kilka minut w czymś, co byłoby pełną napięcia ciszą, gdyby nie dobiegające z tunelu sieknięcia i czasem głucho uderzenia. W końcu echo przyniosło im z oddali głos Nijela.

— Niczego tu nie ma. Sprawdziłem wszystko. Chodnik jest solidny jak skała. Musiało się zaciąć albo co...

Rincewind i Conena porozumieli się wzrokiem.

— On nie ma pojęcia o pułapkach — powiedziała. — Kiedy miałam pięć lat, ojciec kazał mi przejść korytarzem, który specjalnie dla mnie przygotował. Tylko po to, żebym się nauczyła...

— Ale przeszedł, prawda? — odparł Rincewind. Zabrzmiął dźwięk, jakby ktoś przejechał po szybie mokrym palcem, tyle że miliard razy silniejszy. Posadzka zadygotała.

— Zresztą nie mamy wyboru — dodał i wsunął się do tunelu. Reszta poszła za nim. Ludzie, którzy mieli okazję poznać Rincewinda, traktowali go często jak dwunogiego górniczego kanarka²⁰. Zakładali, że jeśli Rincewind wciąż zachowuje pozycję pionową i jeszcze nie ucieka, to pozostał ślad nadziei.

— To zabawne — zauważył Kreozot. — Okradam własny skarbiec. Jeśli się schwytam, mógłbym kazać się wrzucić do jamy węży.

— Ale mógłbyś prosić siebie o łaskę — odparła Conena. Paranoicznie czujnym wzrokiem badała zakurzone kamienie muru.

— Nie. Sądzę, że powinienem dać sobie nauczkę i ukarać się przykładnie.

Coś szcęknęło cicho nad nimi. Niewielki kamień odsunął się na bok, a z otworu powoli zjechał zardzewiały hak. Pręt wysunął się ze ściany i stuknął Rincewinda w ramię. Kiedy mag się odwrócił, hak przyczepił mu na plecach poźólką kartkę i schował się w stropie.

— Co on zrobił? Co on zrobił? — krzyczał Rincewind, usiłując obejrzeć własne łopatki.

— Tu jest napisane „Kopnij mnie” — przeczytała Conena.

²⁰No dobrze. Ale macie ogólne pojęcie.

Obok skamieniałego maga odsunął się fragment ściany. Wielki but na końcu skomplikowanej konstrukcji metalowych stawów zakołysał się słabo, po czym cały mechanizm złamał się w kolanie. Cała trójka przyglądała się temu w milczeniu.

— Widzę, że mamy tu do czynienia ze zwichrowanym umysłem — orzekła po chwili Conena.

Rincewind ostrożnie odczepił kartkę i upuścił ją na podłogę. Conena wyminęła go i ruszyła korytarzem, zagniewana, ale ostrożna. Kiedy metalowa dłoń wysunęła się na sprężynie i zakołysała przyjaźnie, nie uścisnęła jej, ale prześledziła nagie przewody, aż do pary skorodowanych elektrod w szklanym słoju.

— Twój dziad był człowiekiem obdarzonym poczuciem humoru — rzuciła przez ramię.

— O tak. Zawsze lubił się pośmiać — potwierdził Kreozot.

— To dobrze.

Conena ostrożnie pchnęła płytę podłogi, według Rincewinda niczym się nie różniącą od innych. Łysiejąca miotełka z piór ze smętym zgrzytem wysunęła się ze ściany na poziomie pachy.

— Chyba chciałabym poznać starego szeryfa — wycodziła Conena przez zaciśnięte zęby. — Chociaż nie po to, żeby mu uścisnąć dłoń. Złapiesz mnie za nogę, magu.

— Słucham?

Conena z irytacją wskazała na wpół otwarte drzwi tuż przed nimi.

— Chcę tam zajrzeć. Złożysz razem ręce, żebym mogła na nich stanąć. Jasne? Jak ci się udaje być tak bezużytecznym?

— Bycie użytecznym zawsze wpędza mnie w kłopoty — mruknął Rincewind, starając się ignorować ciepłe ciało, muskające czubek jego nosa.

Słyszał, jak obmacuje górną krawędź drzwi.

— Tak myślałam — stwierdziła.

— Co tam jest? Przerazająco ostre włócznie, wymierzone we wchodzących?

— Nie.

— Kolczasta krata, gotowa przebić... .

— To wiadro — odparła zimno Conena i pchnęła.

— Co? Żrącego, trującego... .

— Białej farby. Zwykłej starej, zaschniętej farby. — Zeskoczyła na ziemię.

— To cały dziadek — westchnął Kreozot. — Ani chwili nudy.

— Szczerze mówiąc, ja mam już dosyć — oznajmiła stanowczo Conena i wskazała koniec tunelu. — Idziemy.

Byli o jakieś trzy stopy od końca, kiedy Rincewind wyczuł nad sobą ruch powietrza. Conena uderzeniem w kark wepchnęła go do komnaty za przejściem. Przetoczył się, padając na posadzkę. Coś uszczypnęło go w stopę, a głośny huk ogłuszył.

Cały strop, wielki kamienny blok grubości czterech stóp, runął na podłogę tunelu.

Rincewind przeczołgał się przez chmury pyłu i drżącym palcem prześledził litery wyryte z boku płyty.

— „Teraz też ci do śmiechu?” — odczytał głośno. Usiadł.

— Cały dziadek — stwierdził radośnie Kreozot. — Zawsze. . .

Pochwycił spojrzenie Coneny o ciężarze ołowianej rury i rozsądnie nie dokończył.

Nijel wynurzył się z kłębow kurzu. Kaszłał.

— Co się stało? — zapytał. — Wszyscy żyją? Ta płyta nic nie zrobiła, kiedy tędy przechodziłem.

Rincewind szukał jakiejś odpowiedzi, ale nie przychodziło mu do głowy nic lepszego niż:

— Rzeczywiście?

Światło sączyło się do komory przez maleńkie okratowane okienka pod sufitem. Nie było żadnej drogi ucieczki oprócz przejścia przez kilkaset ton kamieni blokujących tunel. Albo, ujmując to innymi słowami, czyli tak, jak to ujął Rincewind, wpadli w pułapkę. Odprężył się nieco.

Przynajmniej od razu zauważyli latający dywan. Leżał zwinięty na kamiennym postumencie pośrodku komory. Obok stała niewielka, smukła lampa oliwna i — Rincewind wyciągnął szyję — nieduży złoty pierścień. Jęknął. Niewyraźna oktarynowa aura otaczała wszystkie trzy przedmioty, wskazując, że są one magiczne.

Gdy Conena rozwinęła dywan, na podłogę upadło kilka drobnych przedmiotów, między innymi mosiężna płotka, drewniane ucho, kilka dużych, kwadratowych cekinów i ołowiane pudełko z zakonserwowaną wewnątrz mydlaną bańką, — Co to może być? — zdziwił się Nijel.

— No cóż — mruknął Rincewind. — Zanim próbowały zjeść dywan, były prawdopodobnie molami.

— O rany!

— Tego właśnie nie potraficie zrozumieć — oświadczył Rincewind ze znużeniem. — Myślicie, że magia to coś, co można wziąć do ręki i użyć jak. . . jak. . .

— Pasternak — podpowiedział Nijel.

— Butelki wina — zaproponował szeryf.

— Coś w tym rodzaju — przyznał niechętnie Rincewind, ale potem się rozłościł i podjął: — A w rzeczywistości jest. . . jest. . .

— Całkiem inna?

— Bardziej podobna do butelki wina? — spytał szeryf z nadzieją.

— Magia wykorzystuje ludzi — wyrzucił z siebie Rincewind. Wpływa na człowieka w tym samym stopniu, w jakim człowiek wpływa na nią. Coś w tym

rodzaju. Nie można bawić się magią tak, żeby na człowieka nie podziałała. Pomyślałem, że powinienem was uprzedzić.

— Całkiem jak butelka wina — stwierdził Kreozot. — Butelka. . .

— . . . która ciebie wypija — dokończył Rincewind. — Więc lepiej odłóż tę lampę i pierścień. I na miłość bogów, niczego nie pocieraj.

— Przy ich pomocy mój dziadek stworzył rodzinną fortunę — westchnął z rozmarzeniem Kreozot. — Niegodziwy wuj uwięził go w jaskini. Musiał sobie jakoś poradzić z tym, co miał pod ręką. A nie miał niczego prócz latającego dywanu, magicznej lampy, magicznego pierścienia i groty pełnej rozmaitych klejnotów.

— Nie było mu łatwo, prawda?

Conena rozłożyła dywan na posadzce, odstawiając złożony deseń złotych smoków na niebieskim tle. Były to bardzo skomplikowane smoki, z długimi brodami, uszami i skrzydłami; zdawało się, że są pochwycone w ruchu, uwiecznione w przejściu z jednego stanu do innego. Sugerowały, że krosna, jakie je utkały, miały chyba więcej wymiarów niż zwyczajowe trzy. Najgorsze jednak, że jeśli ktoś patrzył na dywan odpowiednio długo, zaczynał widzieć niebieskie smoki na złotym tle. I ogarniało go straszne przeczucie, że jeśli spróbuje zobaczyć oba rodzaje smoków równocześnie, to mózg wypłynie mu uszami.

Rincewind z wysiłkiem oderwał wzrok od dywanu. Kolejna eksplozja zakotyła pałacem.

— Jak to działa? — zapytał.

Kreozot wzruszył ramionami.

— Nigdy nim nie latałem. Myślę, że trzeba tylko powiedzieć „w górę” i „w dół” czy coś w tym rodzaju.

— A może „przeleć przez ścianę”?

Cała trójka spojrzała na mroczne, wysokie, a przede wszystkim grube i twarde ściany pomieszczenia.

— Możemy na nim usiąść i powiedzieć „wzleć” — zaproponował Nijel. — A potem, zanim uderzymy o sufit, powiemy „stop”. — Zastanowił się, po czym dodał: — Jeśli to właściwe słowo.

— Albo „spadaj” — powiedział Rincewind. — „Zlatuj”, „nurkuj”, „opadaj”, „spływaj”. Lub „pikuj”.

— „Ruń” — dodała ponuro Conena.

— Oczywiście — zgodził się Nijel. — Skoro tyle pierwotnej magii unosi się w powietrzu, możemy wypróbować kilka poleceń.

— Aha — mruknął Rincewind. I jeszcze: — No tak. . .

— Masz na kapeluszu napisane „Maggus” — zauważył Kreozot.

— Na własnym kapeluszu każdy może sobie wypisać, co zechce — stwierdziła Conena. — Chyba nie wierzysz we wszystko, co przeczytasz.

— Chwileczkę! — zawołał oburzony Rincewind.

Odczekali chwileczkę.

Odczekali jeszcze kolejne siedemnaście sekund.

— To o wiele trudniejsze, niż się wam wydaje — oświadczył Rincewind.

— A nie mówiłam! — zawołała Conena. — Chodźcie, spróbujemy paznokciami wydłubać zaprawę pomiędzy kamieni.

Rincewind uciszył ją gestem dłoni, zdjął kapelusz, demonstracyjnie zdmuchnął kurz z gwiazdy, włożył kapelusz na głowę, poprawił rondo, podwinął rękawy, rozprostował palce i wpadł w panikę.

Z braku czegoś lepszego do roboty, oparł się o kamienny mur.

Kamienie wibrowały. Nie tak, jakby ktoś nimi potrząsał, ale tak, jakby drżenie rodziło się wewnątrz muru.

Było to drżenie całkiem podobne do tego, jakie wyczuł na Uniwersytecie, zanim przybył czarodzieciel. Kamienie były wyraźnie bardzo z czegoś niezadowolone.

Rincewind przeszedł kilka kroków i przycisnął ucho do innego kamienia, mniejszego i trójkątnego, przyciętego do swego miejsca w kącie. Nie wielkiego, pełnego godności kamienia, ale kamienia drobnego, który cierpliwie wykonywał swe obowiązki dla dobra muru jako całości. Ten kamień także dygotał.

— Psst! — szepnęła Conena.

— Nic nie słyszę — oznajmił głośno Nijel. Nijel należał do ludzi, którzy na polecenie „nie patrz teraz” natychmiast odwracają głowę niby sowa na kole garncarskim. To ci sami, którzy — jeśli pokazać im, powiedzmy, rosnący tuż obok niezwykle piękny krokus, odwracają się bezmyślnie i stawiają stopę przy wtórnie smutnego chrupnięcia. Jeśli zagubią się na pustyni, najłatwiej ich znaleźć kładąc gdzieś na piasku coś małego i kruchego, na przykład bezcenny kubek, należący do rodziny od pokoleń. Potem wystarczy przybiec, kiedy usłyszysz się trzask. Wszystko jedno.

— No właśnie! Co z bitwą?

Niewielka strużka tynku posypała się ze stropu na kapelusz Rincewinda.

— Coś oddziaływuje na kamienie — stwierdził niegłośno. — Próbują się wyrwać.

— A stoimy pod całkiem sporą ich liczbą — zauważył Kreozot. Coś zgrzytnęło nad nimi i ciemność przebił snop dziennego światła. Ku zdumieniu Rincewinda, zjawisku temu nie towarzyszył nagły zgon przez zmiążdżenie. Znowu coś krzemowe trzasnęło i otwór powiększył się. Kamienie wypadały z muru i spadały... w górę.

— Myślę — rzekł — że w tej sytuacji można wypróbować latający dywan.

Mur obok niego wstrząsnął się jak mokry pies i rozpadł na części. Wzlatując ku niebu, jego elementy wymierzyły Rincewindowi kilka solidnych ciosów.

Wśród gradu fruwających kamieni cała czwórka wskoczyła na niebiesko-złoty dywan.

— Musimy się stąd wydostać — zauważył Nijel, dbając o swą opinię bystrego obserwatora.

— Czekajcie — rzekł Rincewind. — Powiem...

— Nie powiesz — warknęła Conena, klękając obok niego. — Ja powiem. Nie mam do ciebie zaufania.

— Ale...

— Siedź cicho. — Conena poklepała dywan. — Dywanie... wznies się — rozkazała.

Przez moment trwała cisza.

— W górę.

— Może nie zna tego języka — odpowiedział Nijel.

— Startuj. Lewituj. Leć.

— A może na przykład odpowiada tylko na jeden konkretny głos...

— Cicho.

— Spróbuj: unieś się.

— Albo: poszybuj — wtrącił Kreozot.

Kilka cetnarów kamiennych płyt posadzki przemknęło o cal od jego głowy.

— Gdyby miał zamiar posłuchać, już by to zrobił, prawda?

Powietrze wokół było gęste od pyłu — kamienie zderzały się ze sobą w powietrzu. Conena walnęła pięścią w dywan.

— No rusz się, przeklęty chodniku! Au!

Fragment gzymsu uderzył ją w ramię. Z irytacją roztarta sińca, i obejrzała się na Rincewinda. Siedział z kolanami pod brodą i kapeluszem nasuniętym na oczy.

— Dlaczego to nie działa? — spytała.

— Wypowiadasz nieodpowiednie słowa — odparł.

— Nie rozumie języka?

— Język nie ma tu nic do rzeczy. Zaniedbałaś fundamentalną kwestię.

— Tak?

— Co tak? — prychnął Rincewind.

— Posłuchaj, to nie jest odpowiednia chwila na demonstrację urażonej godności.

— Próbuj dalej, nie przeszkadzaj sobie.

— Każ mu lecieć!

Rincewind naciągnął kapelusz na uszy.

— Proszę... — powiedziała Conena.

Kapelusz uniósł się nieco.

— Będziemy zachwyceni — dodał Nijel.

— No no — mruknął Kreozot.

Kapelusz uniósł się jeszcze wyżej.

— Jesteście pewni? — spytał Rincewind.

— Tak!

Rincewind odchrząknął.

— W dół! — rozkazał.

Dywan uniósł się i zawisł wyczekująco o kilka stóp nad warstwą kurzu.

— Jak to... — zaczęła Conena, ale przerwał jej Nijel:

— Magowie mają dostęp do źródeł wiedzy tajemnej. To pewnie była przyczyna. Dywan mógł mieć imperatyw, by robić coś przeciwnego niż to, co mu się powie. Czy możesz wznieść się wyżej?

— Mogę, ale nie mam zamiaru — odparł Rincewind.

Dywan popłynął wolno naprzód i — jak często się zdarza w takich chwilach — ogromny kawał muru przetoczył się dokładnie przez miejsce, gdzie przed chwilą leżał.

Po chwili byli już na zewnątrz, pozostawiając za sobą kamienną burzę.

Pałac rozpadał się na kawałki, a kawałki wlatywały w górę niczym lawa z wulkanu. Czarodziejska wieża zniknęła bez śladu, ale kamienie frunęły ku miejscu, gdzie przedtem stała i...

— Budują następną wieżę! — zawołał Nijel.

— I to z mojego pałacu — dodał Kreozot.

— Kapelusz zwyciężył — wyjaśnił Rincewind. — Dlatego buduje własną wieżę. To taki instynkt. Magowie zawsze obudowywali się wieżami, jak te... Jak się nazywają te rzeczy, które można znaleźć na dnie rzeki?

— Żaby.

— Kamienie.

— Pechowi gangsterzy.

— Nie. Myślałem o larwach chruścików. Kiedy mag szykuje się do bitwy, zawsze buduje wieżę.

— Jest bardzo wysoka — zauważył Nijel.

Rincewind spojrzał tylko ponuro.

— Dokąd lecimy?

Rincewind wzruszył ramionami.

— Daleko stąd — rzekł.

W dole przepłynął zewnętrzny mur pałacu. Tuż pod nimi zaczął się rozpadać, a pojedyncze cegły skręcały w stronę wiru kamieni brzęczących wokół nowej wieży.

W końcu odezwała się Conena.

— No dobrze... Jak zmusiłeś ten dywan do latania? Naprawdę odwrotnie wypełnia polecenia?

— Nie. Po prostu uwzględniłem pewne zasadnicze szczegóły układu powierzchniowego i przestrzennego.

— Chyba nie rozumiem — przyznała.

— Mam to wytłumaczyć w niemagicznym języku?

— Tak.

— Położyłaś go na podłodze dołem do góry — oświadczył Rincewind.

Przez chwilę Conena siedziała całkiem nieruchomo.

— Muszę przyznać, że jest bardzo wygodny — powiedziała wreszcie. — Pierwszy raz w życiu lecę na dywanie.

— Pierwszy raz pilotuję dywan — mruknął Rincewind.

— Dobrze ci idzie.

— Dziękuję.

— Mówiłeś, że masz lęk wysokości.

— Przerazenie wysokości.

— Nie okazujesz tego.

— Staram się o tym nie myśleć.

Rincewind odwrócił głowę i spojrzał na wieżę. W ciągu ostatnich minut wyraźnie urosła, rozkwitając u szczytu płataniną blanków i parapetów. Unosił się nad nią rój kafelków; pojedyncze sztuki nurkowały w dół i wskakiwały na miejsca niczym ceramiczne pszczoły podczas nalotu. Była niewiarygodnie wysoka — ciężar murów rozkruszyłby kamienie u podstawy, gdyby nie płynęła przez nie magia.

To był koniec zorganizowanej magii. Dwa tysiące lat pokojowych czarów spłynęło do ścieku, znowu wyrastały wieże, a wobec stężenia pierwotnej magii coś z pewnością miało bardzo mocno ucierpieć. Prawdopodobnie wszechświat. Zbyt wiele magii potrafi zwinąć wokół siebie czas i przestrzeń, a to złe wieści dla kogoś, kto był przyzwyczajony, by takie rzeczy jak skutki następowały po innych, takich jak przyczyny.

Oczywiście, nie potrafił wytłumaczyć tego swoim towarzyszom. Pewne idee były dla nich zbyt niepojęte. W szczególności nie mogli jakoś zrozumieć, że nadciągająca zguba. Dręczyło ich straszliwe złudzenie, że można temu zaradzić. Byli chyba gotowi uczynić świat takim, jakiego pragnęli, albo zginąć próbując. A problem z ginięciem próbując polegał na tym, że człowiek ginął próbując.

Podstawowym celem organizacji dawnego Uniwersytetu było utrzymywanie kruchego pokoju między magami, którzy byli mniej więcej tak skłonni do zgody jak koty w worku. A teraz zdjęto rękawice i każdy, kto spróbuje interweniować, zostanie solidnie podrapany. Skończyła się łagodna, dość naiwna magia, do jakiej Dysk był przyzwyczajony. Nastąpiła magia wojenna, rozpalona do białości i ostra jak miecz.

Rincewind nie umiał przewidywać; właściwie to ledwie dostrzegał teraźniejszość. Ale wiedział — z absolutną, znużoną pewnością — że w bardzo bliskiej przyszłości, na przykład w ciągu najbliższych trzydziestu sekund, ktoś powie: „Z pewnością możemy coś zrobić”.

Pod nimi płynęła pustynia, oświetlana słabymi promieniami zachodzącego słońca.

— Nie widać gwiazd — zauważył Nijel. — Może się boją pokazywać.

Rincewind podniósł głowę. Wysoko w powietrzu wisiała srebrzysta mgiełka,

— To pierwotna magia kondensuje się w atmosferze — wyjaśnił. — Jest nasyciona.

Dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem, dwa. . .

— Z pewnością. . . — zaczęła Conena.

— Nie możemy — odparł spokojnie Rincewind, z niewielką tylko satysfakcją. — Magowie będą ze sobą walczyć, dopóki nie pozostanie tylko jeden zwycięzca. I nikt nie może nic na to poradzić.

— Napiłbym się czegoś — wtrącił Kreozot. — Może zatrzymamy się gdzieś, gdzie mógłbym kupić gospodę?

— Za co? — spytał Nijel. — Zapomniałeś, że jesteś teraz biedny?!

— Bieda mi nie przeszkadza — wyznał Kreozot. — To trzeźwość sprawia kłopoty.

Conena lekko szturchnęła Rincewinda w żebro.

— Sterujesz tym dywanem? — spytała.

— Nie.

— W takim razie dokąd lecimy?

Nijel spojrział w dół.

— Sądząc po wyglądzie okolicy — stwierdził — lecimy w stronę Osi. Do Okrągłego Morza.

— Ktoś przecież musi nim sterować.

Witaj, odezwał się przyjazny głos w głowie Rincewinda.

Nie jesteś chyba znowu moim sumieniem?

Czuję się fatalnie.

Przykro mi, pomyślał Rincewind, ale to przecież nie moja wina. Jestem ofiarą okoliczności. Nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby mi coś zarzucać.

Tak, ale mógłbyś coś w tej sprawie zrobić.

Na przykład co?

Mógłbyś zniszczyć czarodziela. Wszystko to się wtedy skończy.

Nie miałbym żadnej szansy.

To przynajmniej mógłbyś zginać próbując. Lepsze to, niż pozwolić, żeby wybuchła magiczna wojna.

— Słuchaj no! Odczep się ode mnie! — zawołał Rincewind.

— Co? — nie zrozumiała Conena.

— Um? — spytał niewyraźnie Rincewind. Spojrział tępo na niebiesko-złoty deseń pod sobą i dodał: — Ty go prowadzisz, co? Poprzez mnie. To nieuczciwe.

— O czym ty mówisz?

— Och, przepraszam. Mówiłem do siebie.

— Myślę — stwierdziła Conena — że powinniśmy lądować.

Zsunęli się w dół ku sierpowi plaży, gdzie pustynia stykała się z morzem. W normalnym świetle byłyby oślepiająco biała od piasku powstałego z miliardów drobniutkich odłamków muszli, jednak o tej porze dnia była krwistoczer-

wona i złowieszcza. Stosy wyrzuconego przez wodę drewna, rzeźbionego falami i bielonego słońcem, leżały wzdłuż linii brzegu niczym ości pradawnych ryb albo największa na świecie lada sklepu z akcesoriami roślinnej sztuki zdobniczej. Nic się nie poruszało prócz fal. Wokół leżało sporo kamieni, były jednak gorące jak cegły szamotowe. Żaden mięczak ani wodorost nie szukał tu swego domu.

Nawet morze wydawało się zaschnięte. Gdyby jakiś protopłaz wypełził na taką plażę, zrezygnowałby natychmiast, wrócił do wody i powiedział wszystkim krewnym, żeby zapomnieli o nogach, nie warto się męczyć. Powietrze sprawiało wrażenie, jakby ktoś wygotował je w skarpecie.

Mimo to Nijel uparł się, żeby rozpaść ognisko.

— Będzie przytulniej — stwierdził. — Poza tym mogą tu żyć potwory.

Conena spojrzała na oleiste fale toczące się wzdłuż piasku w czymś, co można by uznać za niechętnie podjętą próbę ucieczki z morza.

— W tym? — spytała z powątpiewaniem.

— Nigdy nie wiadomo.

Rincewind spacerował bez celu wzdłuż brzegu. Z roztargnieniem podnosił kamienie i ciskał je do wody. Jeden czy dwa zostały odrzucone na piasek.

Po chwili Conena rozpała ogień i suche, przesycone solą drewno strzeliło zielonym płomieniem i fontannami iskier. Mag podszedł i usiadł wśród migotliwych cieni, oparty o stos pobielających gałęzi, otulony całunem tak nieprzeniknionego smutku, że nawet Kreozot przestał narzekać na pragnienie i umilkł.

Conena zbudziła się po północy. Sierp księżycy wisiał nad horyzontem, a nad piaskiem unosiła się rzadka, zimna mgła. Nijel, teoretycznie trzymający wartę, spał głęboko.

Conena leżała nieruchomo, wszystkimi zmysłami poszukując impulsu, który ją obudził.

Wreszcie usłyszała znowu. Był to cichy, skromny stuk, ledwie słyszalny w stłumionym chlupocie morza.

Wstała, a raczej przeszła do pozycji pionowej tak płynnie, jakby nie miała kości. Wytrąciła Nijelowi miecz z bezwładnej dłoni, po czym ruszyła przez mgłę, nie powodując najlżejszych zawirowań.

Ogień przygasł w łożu popiołów. Po chwili Conena wróciła i obudziła dwóch towarzyszy.

— Co się dzieje?

— Chyba powinniście zobaczyć — szepnęła. — Myślę, że to ważne.

— Tylko przymknąłem oczy... — protestował Nijel.

— Nie ma o czym mówić. Chodźcie.

Kreozot zerknął na zaimprovizowane obozowisko.

— A gdzie jest ten mag?

— Zobaczysz. I bądźcie cicho. To może być niebezpieczne.

Potykali się, idąc za nią po kolana we mgle w stronę morza.

— Dlaczego niebezpieczne... — odezwał się wreszcie Nijel.

— Psst! Słyszaleś?

Nijel nasłuchiwał.

— Takie jakby brzęknięcia?

— Patrzcie...

Rincewind przeszedł sztywno przed nimi, oburącz dźwigając spory, okrągły kamień. Wyminął ich bez słowa, wpatrzony w pustkę.

Poszli za nim wzdłuż plaży, aż dotarł do kotlinki między wydmami. Zatrzymał się i — nadal poruszając się z gracją drewnianego stojaka — upuścił kamień. Stuknęło.

Był tam już cały krąg kamieni. Bardzo nieliczne pozostawały ustawione jeden na drugim.

Cała trójka obserwowała to z ukrycia.

— Czy on śpi? — spytał Kreozot.

Conena przytaknęła.

— Ale co on robi?

— Myślę, że próbuje zbudować wieżę. Rincewind powrócił do kręgu kamieni i z wielką dokładnością ułożył na warstwie powietrza kolejny. Kamień upadł.

— Nie bardzo mu to wychodzi — zauważył Nijel.

— To smutne — stwierdził Kreozot.

— Może powinniśmy go obudzić... — zastanowiła się Conena. — Ale słyszałam, że kiedy obudzi się lunatyka, odpadają mu nogi. Albo coś w tym rodzaju. Jak myślicie?

— Z magami to może być niebezpieczne — mruknął Nijel. Usiłowali ułożyć się wygodnie na zimnym piasku.

— To żalosne, nie sądzicie? — spytał Kreozot. — Przecież on nawet nie jest prawdziwym magiem.

Conena i Nijel unikali patrzenia sobie w oczy. Wreszcie chłopiec odchrząknął.

— Ja też właściwie nie jestem barbarzyńskim herosem — wyznał. — Może zresztą sama zauważyłaś.

Przez chwilę spoglądali na pracującego ciężko Rincewinda.

— Jeśli już o tym mowa — rzekła Conena — to sądzę, że jeśli idzie o fryzjerstwo, czegoś mi jednak brakuje.

Spoglądali nieruchomo na lunatyka, zajęci własnymi myślami i czerwoni ze wstydu.

Kreozot odkaszlnął.

— Jeśli komuś to pomoże... — stwierdził. — Czasem mam wrażenie, że moja poezja pozostawia nieco do życzenia.

Rincewind starannie ustawiał wielki kamień na małym kamyku. Wielki upadł, ale mag wydawał się zadowolony z rezultatu.

— Jak byś określił tę sytuację? — spytała ostrożnie Conena. — Jako poeta.

Kreozot poruszył się niespokojnie.

— Zabawna rzecz: życie — stwierdził.

— Bardzo celne.

Nijel przewrócił się na plecy i spojrzał na zamglone gwiazdy. Nagle usiadł prosto.

— Widzieliście to? — zapytał.

— Co?

— Taki błysk, jakby...

Osiowy horyzont eksplodował bezgłośnym kwiatem barw, rozrastającym się gwałtownie przez wszystkie odcienie konwencjonalnego widma, by w końcu rozjarzyć się oślepiającym oktarynem. Nim przygasł, wrył się im na siatkówkach.

Po chwili dobiegł odległy grzmot.

— Jakaś czarodziejska broń — stwierdziła Conena, mrugając. Podmuch ciepłego wiatru porwał pasmo mgły i przeniósł je obok nich.

— Wszystko jedno. — Nijel poderwał się na nogi. — Budzę go, choćbyśmy potem mieli go nosić.

Wyciągnął rękę, by chwycić Rincewinda za ramię. I wtedy coś przemknęło im nad głowami, z głosem, jaki mogłoby wydawać stado gęsi napompowanych podtlenkiem azotu. Zniknęło gdzieś nad pustynią. Rozległ się dźwięk, od którego dreszcz przeszyłby nawet sztuczną szczękę, coś błysnęło zielenią i huknęło głucho.

— Ja go obudzę — zdecydowała Conena. — Wy przynieście dywan.

Przebrnęła przez krąg głazów i łagodnie ujęła śpiącego maga pod ramię. Byłaby to podręcznikowa metoda budzenia lunatyków, gdyby Rincewind nie upuścił sobie na nogę przyniesionego właśnie kamienia.

Otworzył oczy.

— Gdzie ja jestem? — zapytał.

— Na brzegu. Byłeś... To znaczy śniłeś.

Rincewind zamrugał nerwowo, patrząc na mgłę, niebo, kamienny krąg, Conenę, znowu kamienny krąg i wreszcie znowu na niebo.

— Co się działo?

— Jakieś magiczne fajerwerki.

— Aha. Czyli się zaczęło.

Wyszedł z kręgu niepewnym krokiem, który wzbudził u Coneny podejrzenie, że nie jest jeszcze całkiem przytomny. Chwiejąc się poczłapał do resztek ogniska. Po kilku krokach jakby coś sobie przypomniał.

Spojrzał na swoją stopę i powiedział:

— Au.

Stał już prawie przy ognisku, kiedy dotarła do nich fala uderzeniowa ostatniego zaklęcia. Wymierzonego w wieżę w Al Khali, odległą o dwadzieścia mil. Czoło fali było więc mocno rozproszone. Prawie nie zmieniało natury obiektów,

gdy z cichym cmokaniem przelewało się nad wydrami: przez sekundę ognisko płonęło czerwienią i zielenią, jeden z sandałów Nijela zmienił się w małego i rozłuszczonego borsuka, a z szeryfowego turbanu wyfrunął gołąb.

Potem fala minęła ich i zniknęła wśród kipiącego morza.

— Co to było? — zdumiał się Nijel. Kopnął borsuka, który obwąchiwał mu stopy.

— Hm? — odparł Rincewind.

— To!

— Ach, to... Odbicie zaklęcia. Prawdopodobnie trafili wieżę w Al Khali.

— Musiało być potężne, skoro działało jeszcze tutaj.

— Prawdopodobnie było.

— Chwileczkę! To był mój pałac — odezwał się słabym głosem Kreozot. — Wiem, że to wiele, ale to wszystko, co miałem.

— Przykro mi.

— Przecież w mieście żyli ludzie!

— Przypuszczam, że nic im nie grozi — uspokoił go Rincewind.

— To dobrze.

— Czymkolwiek są.

— Co?

Conena złapała go za ramię.

— Nie krzycz na niego — poprosiła. — Nie jest w tej chwili sobą.

— No tak — przyznał gniewnie Kreozot. — To znaczna poprawa.

— Jesteś niesprawiedliwy — zaprotestował Nijel. — Znaczy... Przecież on wy dostał mnie z jamy węży i tego... no, dużo wie...

— Tak. Magowie zawsze potrafią uratować cię z kłopotów, w jakie tylko magowie mogą cię wpędzić — stwierdził Kreozot. — A potem oczekują, że będziesz im wdzięczny.

— Sądę...

— Ktoś musiał to powiedzieć. — Kreozot ze złością zamachał rękami. Jego sylwetkę oświetliło kolejne zaklęcie, mknące po udręczonym niebie. — Patrzcie tylko! — zawołał. — Pewno, chciał dobrze. Oni wszyscy chcą dobrze. Myślą chyba, że gdyby rządili, Dysk byłby lepszym miejscem. Możecie mi wierzyć, nie ma nic straszniejszego od kogoś, kto koniecznie chce wyświadczyć światu przysługę. Magowie! Kiedy się dobrze zastanowić, to co z nich za pożytek? Czy jakiś mag zrobił kiedy coś sensownego?

— Jesteś okrutny — stwierdziła Conena, lecz ton jej głosu sugerował, że jest otwarta na argumenty w tej sprawie.

— Doprowadzają mnie do mdłości — mruknął Kreozot, który był już całkiem trzeźwy i wcale mu się to nie podobało.

— Wszyscy poczujemy się lepiej, kiedy trochę się prześpimy — zaproponował dyplomatycznie Nijel. — W świetle dnia sprawy zawsze wyglądają lepiej.

No, prawie zawsze.

— W dodatku w gardle mi zaschło — burknął Kreozot, starając się podtrzymać resztki gniewu.

Conena odwróciła się do ognia i nagle uświadomiła sobie wyrwę w scenerii. Miała kształt Rincewinda.

— On zniknął!

Tymczasem Rincewind był już pół mili od brzegu. Siedział na dywanie jak rozgniewany Budda. W myślach kłębiła mu się mieszanina furii, ponizienia i wściekłości, z niewielkim dodatkiem urazy.

Nigdy nie oczekiwał wiele. Trzymał się magii, choć nie miał ku niej żadnych zdolności; zawsze starał się jak najlepiej. A teraz cały świat spiskował przeciw niemu. Dobrze. Skoro tak, to on im pokaże. Kim dokładnie są „oni” i co zostanie im pokazane, było jedynie nieistotnym szczegółem.

Aby dodać sobie odwagi, podniósł rękę i dotknął kapelusza, choć ten stracił w locie swoje ostatnie cekiny.

* * *

Bagaż tymczasem miał własne problemy. Pod wpływem nieustannego magicznego bombardowania, obszar otaczający wieżę w Al Khali dryfował wolno poza horyzont rzeczywistości, gdzie czas, przestrzeń i materia tracą rozłączne identyczności i zaczynają chodzić w nie swoich strojach. To efekt niemożliwy do opisanania.

A oto jak wyglądał.

Wyglądał tak, jak brzmi fortepian wkrótce po wrzuceniu do studni. Smakował żółto i był w dotyku jak drobny rzucik. Pachniał jak całkowite zaćmienie księżyca. Oczywiście, bliżej wieży efekty stawały się naprawdę dziwaczne.

Spodziewać się, że w takich warunkach przeżyje cokolwiek pozbawionego ochrony to tak, jakby spodziewać się śniegu na supernowej. Na szczęście Bagaż o tym nie wiedział i brnął przez huragan zakłęb, a pierwotna magia krystalizowała się na wieku i zawiasach. Był w fatalnym nastroju, ale w tym akurat nie było niczego niezwykłego. Tyle że ta wrząca furia uziemiała się spektakularnie i otaczała Bagaż wielobarwną aureolą, w której przypominał pradawnego i bardzo zagniewanego płaza, wypełzającego z płonącego bagna.

Wewnątrz wieży było gorąco i duszno. Nie miała wewnętrznych stropów, jedynie ciągi pomostów pod ścianami. Na nich gęsto stali magowie, zaś centralna przestrzeń była kolumną oktarynowego ognia, trzeszczącego głośno, gdy wszyscy wlewali w niego swą moc. U podstawy stał Abrim; oktarynowe klejnoty na kapeluszu błyszczały tak potężnie, że przypominały raczej dziury przebite do innego

wszechświata, gdzie wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu trafiły na wnętrze słońca.

Wezyr stał z wyciągniętymi rękami. Rozczapierzał palce, oczy miał zamknięte i zaciśnięte w skupieniu wargi. Kierował tą mocą. Zwykle mag potrafi to tylko do poziomu własnych fizycznych możliwości, jednak Abrim uczył się prędko.

Trzeba było uczynić z siebie przewężenie klepsydry, oś ramion wagi, bułkę wokół parówki,

Kiedy uczyniło się to w odpowiedni sposób, człowiek sam stawał się mocą, moc była jego częścią i potrafił...

Czy wspomniano już, że jego stopy znajdowały się o kilka cali nad podłogą? Jego stopy znajdowały się o kilka cali nad podłogą.

Abrim gromadził potencjał dla zaklęcia, które wzbije się w niebo i runie na wieżę w Ankh tysiącem wyjących demonów... I nagle zabrzmiało głośne stukanie do drzwi.

Istnieje mantra, którą wypowiada się przy takich okazjach. Nieważne, czy drzwi są tylko klapą w namiocie, skrawkiem skóry w przewianej wichurą jurcie, trzema calami solidnego dębu z wielkimi żelaznymi ćwiekami czy prostokątem płyty paździerzowej wyklejonej mahoniowym fornirem. Czy małe okienko nad nimi zrobione jest z ohydnych płytek kolorowego szkła ani czy dzwonek wygrywa jedną z dwudziestu popularnych melodii, których żaden miłośnik muzyki nie chciałby słuchać nawet po pięciu latach deprywacji sensorycznej.

Jeden z magów spojrział na drugiego i powiedział zgodnie z tradycją:

— Ciekawe, kto to może być o tej porze.

Zagrzmiała seria głuchych uderzeń w drewno.

— Na zewnątrz nikt nie mógł pozostać przy życiu — odparł drugi trochę nerwowo, ponieważ jeśli wykluczyło się możliwość, że to ktoś żywy, pozostawało jeszcze podejrzenie, że może to ktoś martwy.

Tym razem od uderzeń zadzwoniły zawiasy.

— Jeden z nas powinien chyba wyjrzeć — stwierdził pierwszy z magów.

— Zuch. Brawo.

— Och. Aha. No dobrze.

Ruszył wolno krótkim, łukowo sklepionym korytarzem.

— Mam tylko zejść i sprawdzić, kto to puka? — upewnił się.

— Jasne.

Idąc z wahaniem ku drzwiom, sprawiał dziwne wrażenie. Zwykła odzież nie zapewniała wystarczającej ochrony przed polem wysokiej energii w wieży, dlatego na brokaty i aksamit narzucił gruby, watowany kombinezon, wypchany wiórami jarzębiny i haftowany w magiczne znaki wysokiej odporności. Do szpiczastego kapelusza umocował przydymiony wizjer, a wielkie rękawice sugerowały, że łąpie piłkę w meczu krykieta rozgrywanym z naddźwiękowymi prędkościami. Gdy

szukał rygli, jaskrawe błyski i pulsacje, wywoływane działaniami w głównej sali, rzucały wokół ostre cienie. Odsunął wizjer i odrobinę uchylił drzwi.

— Nie potrzebujemy żadnych. . . — zaczął.

Powinien był lepiej dobierać słowa, gdyż były to jego ostatnie.

Minęło nieco czasu, nim kolega dostrzegł przedłużającą się nieobecność maga i zszedł na dół, by go poszukać. Drzwi stały otworem, a czarodziejskie inferno na zewnątrz z rykiem uderzało o sieć powstrzymujących je zaklęć. Dokładniej mówiąc, drzwi zostały całkowicie wepchnięte do środka; odciągnął je na bok, by sprawdzić przyczynę, i jęknął cicho.

Coś poruszyło się za nim. Obejrzał się.

— Co. . . — zaczął. Stanowiło to dość marną sylabę na zakończenie życia.

* * *

Lecąc nad Okrągłym Morzem, Rincewind zaczynał czuć się jak idiota.

Prędej czy później zdarza się to każdemu.

Na przykład w gospodzie ktoś trąca człowieka w łokieć, a on odwraca się i rzuca wiązką przekleństw w — jak z wolna zdaje sobie sprawę — kłamrę pasa mężczyzny, który — okazuje się — został raczej wykuty niż urodzony.

Albo małe autko wjeżdża człowiekowi w bagażnik, więc biegnie, żeby pogrozić pięścią kierowcy, który — jak powoli staje się jasne, w miarę gdy wysuwa coraz więcej ciała, niczym w jakiejś okropnej sztuczce iluzjonistycznej — musiał siedzieć na tylnym siedzeniu.

Albo człowiek prowadzi zbuntowanych kolegów do kajuty kapitańskiej i wali w drzwi, a stary wysuwa swoją wielką głowę i trzyma w obu rękach po jataganie, a człowiek oznajmia: „Przejmujemy ten okręt, śmieciu! Chłopcy są ze mną!”, a on na to „Jacy chłopcy”, a człowiek czuje nagle za plecami wielką pustkę i stęka tylko: „Ee. . .”.

Inaczej mówiąc, było to znajome uczucie tonięcia, znane każdemu, kto pozwolił fali swego gniewu wyrzucić się zbyt daleko na brzeg odwetu, a ta cisnęła go, by użyć pospolitego języka, po szyję w bagno.

Rincewind wciąż był zagniewany, urażony i tak dalej, jednak emocje trochę już przygasły i powrócił częściowo jego zwykły charakter. Nie jest przyjemnie znaleźć się wysoko ponad błyszczącymi falami na kilku nitkach złotego i niebieskiego splotu.

Leciał w stronę Ankh-Morpork. Próbował sobie przypomnieć, po co.

Oczywiście, tam się wszystko zaczęło. Może to przez obecność Uniwersytetu, tak ciężkiego od magii, że niby kula armatnia zagłębiał się w kapę niewstrzeżliwości wszechświata. Pod jego wpływem rzeczywistość rozciągała się i stawała cienka. Ankh było miejscem, gdzie wszystko się zaczynało. . . i kończyło.

A ponadto był to jego dom, jedyny jaki znał. I przyzywał go.

Wspomniano już chyba, że Rincewind musiał posiadać wśród przodków jakiegoś gryzonia; w chwilach napięcia czuł przemożną chęć ucieczki do swojej norki.

Pozwolił dywanowi szybować przez chwilę na powietrznych prądach, gdy jutrenka, którą Kreozot określiłby zapewne jako różanopalcą, rozpałała ognisty krąg wokół krawędzi Dysku. Rozlewał on swój leniwy blask po świecie, który był nieco inny.

Rincewind zamrugał. To było dziwne światło. Nie... Kiedy się zastanowić, to właściwie nawet dziwaczne, czyli o wiele dziwniejsze. Miał wrażenie, że spogląda na świat przez drżące od upału powietrze. Ale to drżenie żyło własnym życiem. Tańczyło, rozprasało się i wyraźne sugerowało, że nie jest tylko złudzeniem optycznym, ale samą rzeczywistością, naprężaną i rozpychaną niczym gumowy balon, który usiłuje pomieścić zbyt wiele gazu.

To drżenie najsilniejsze było w kierunku Ankh-Morpork, gdzie błyski i fontanny dręczonego powietrza dowodziły, że walka wciąż trwa. Podobna kolumna wyrastała nad Al Khali. I nagle Rincewind uświadomił sobie, że jest ich więcej.

Czy to nie wieża wznosiła się nad Quirm, gdzie Okrągłe Morze otwierało się na wielki Ocean Krawędziowy? Były też inne.

Sytuacja stała się krytyczna. Nastąpił rozłam wśród magów. Żegnaj, Uniwersytecie, żegnajcie stopnie i obrządki. W głębi serca każdy z magów był przekonany, że naturalną jednostką magii jest jeden mag. Wieże będą się mnożyć i walczyć ze sobą, aż pozostanie tylko jedna. A potem magowie będą walczyć, aż pozostanie tylko jeden.

Później pewnie ten jeden zacznie się bić sam ze sobą.

Rozpadała się cała struktura zapewniająca równowagę sił magii. Rincewindowi bardzo się to nie podobało. Nigdy nie umiał za dobrze czarować, ale nie w tym rzecz. Zawsze wiedział, gdzie jest jego miejsce. Na samym dole, to prawda, ale przynajmniej jego własne. Mógł podnieść wzrok i zobaczyć, jak cała delikatna konstrukcja porusza się spokojnie, wchłaniając naturalną magię generowaną obrotami Dysku.

Nie miał nic, ale to już było coś, a teraz mu to odebrano.

Rincewind wykręcił dywanem, kierując go w stronę Ankh-Morpork — jaśkrawy punkcik na porannym niebie. Ta część jego umysłu, która nie miała nic innego do roboty, zastanawiała się, czemu miasto tak błyszczy. W dodatku była chyba pełnia księżyca, a nawet Rincewind, którego pojęcie o historii naturalnej było dość mgliste, był przekonany, że widział taką ledwie przedwczoraj.

To zresztą nieistotne. Miał już dosyć. Niczego nie chciał rozumieć. Wracał do domu.

Tyle że magowi nie da się wrócić do domu.

Jest to jedna ze starożytnych i pełnych głębokich znaczeń sentencji dotyczących magów; mówi o nich coś, czego nigdy nie potrafili do końca zrozumieć. Magom nie wolno się żenić, ale wolno mieć rodziców i wielu z nich wraca do rodzinnych miasteczek na Noc Strzeżenia Wiedźm albo Niechudy Czwartek. Chcą pośpiewać sobie z rodziną albo zobaczyć rozgrzewający serce obraz wszystkich dręczących ich w dzieciństwie chłopaków z sąsiedztwa, pospiesznie uciekających przed nimi na ulicy.

Sentencja podobna jest w tym do innego przysłowia, które mówi, że nie można dwa razy przekroczyć tej samej rzeki. Doświadczenia prowadzone z długonogim magiem i wąską rzeczką wykazały, że tę samą rzekę można przekroczyć trzydzieści do trzydziestu pięciu razy na minutę.

Magowie nie przepadają za filozofią. Jeśli o nich chodzi, to klaskanie jedną ręką wywołuje dźwięk brzmiący jak „kl”.

W tym jednak szczególnym przypadku Rincewind nie mógł wrócić do domu, ponieważ już go nie było. Wciąż istniało miasto nad rzeką Ankh, ale nie było tym samym, które pamiętał; stało się jasne i czyste i nie pachniało jak wychodek pełen zdechłych śledzi.

Wylądował na tym, co było kiedyś Placem Pękniętych Księżyców. Zobaczył fontanny. Oczywiście, fontanny były tu już przedtem, ale raczej sączyła się z nich niż tryskała woda, przypominająca rzadką zupę. Pod stopami miał mleczne, półprzezryste płyty z jakimiś błyszczącymi odpryskami we wnętrzu. I chociaż słońce wyszło już zza horyzontu i przypominało połówkę dojrzałego grapefruita, wokół nie zauważył nikogo. Normalnie Ankh-Morpork było nieustannie zatłoczone, a odcień nieba uznawano za nieistotny szczegół tła.

Gęste obłoki dymu dryfowały przez miasto od strony aureoli wrzącego powietrza nad Uniwersytetem. Jeśli nie liczyć fontann, był to jedyny ruch.

Rincewind często szczyił się tym, że wciąż czuje się samotny nawet w pełnym gwaru mieście. Samotność jednak okazała o wiele gorsza, kiedy został całkiem sam.

Zwinął dywan, zarzucił go sobie na ramię i poczłapał martwymi ulicami w stronę Uniwersytetu.

Brama stała otworem. Większość zabudowań została obrócona w ruinę przez rykoszety i zbłąkane magiczne pociski. Czarodziejska wieża, zbyt wysoka by była prawdziwa, zdawała się nietknięta. W przeciwieństwie do starej Wieży Sztuk. Trafił w nią chyba i drugi strzał wymierzony w wieżę sąsiednią. Niektóre fragmenty stopniały i zaczęły ściekać, inne skryzalizowały się, a jeszcze inne chyba zostały wyrwane z normalnych trzech wymiarów. Rincewindowi zrobiło się żal kamieni, które nie zasłużyły sobie na takie traktowanie. Właściwie Wieżę Sztuk spotkało już wszystko z wyjątkiem runięcia w gruzy. Wyglądała na tak zniszczoną, że pewnie nawet grawitacja dała jej spokój.

Rincewind westchnął, wyminął ją i ruszył do Biblioteki.

Do miejsca, gdzie kiedyś stała Biblioteka.

Pozostał jeszcze łuk wejścia, a większa część murów przetrwała ale zapadł się duży fragment dachu, a wszystko poczerniało od sadzy.

Rincewind stanął nieruchomo i przyglądał się temu przez długą chwilę.

Nagle rzucił dywan i pobiegł, potykając się i ześlizgując z częściowo blokującego wejście rumowiska. Kamienie były jeszcze ciepłe, tu i tam dymiły resztki regałów.

Ktoś, kto by go w tej chwili obserwował, zobaczyłby, jak Rincewind biega tam i z powrotem przez tłące się stosy, przeciska się rozpaczliwie między nimi, odrzuca zwęglone meble i z nieco mniej niż nadludzką siłą odciąga bryły zwałonego dachu.

Zobaczyłby, jak raz czy dwa przystaje, by chwycić oddech, czym nurkuje znowu, kalecząc dłonie o nadtopione odpryski i z dachowej kopuły. Zauważyłby, że chyba szłocha.

W końcu badawcze palce natrafiły na coś miękkiego i ciepłego.

Rozgorączkowany mag odrzucił na bok nadpaloną krokiew, przekopał się przez zaspę porozbijanych kafelków i zajrzał pod nie.

Na ziemi, na wpół rozgnieciona belką i zapieczona w ogniu na brąz, leżała duża kiść przejrzałych, miękkich bananów.

Bardzo ostrożnie podniósł jeden, usiadł i przyglądał mu się przez jakiś czas, aż w końcu z banana odpadł czubek.

Wtedy go zjadł.

— Nie powinniśmy pozwolić mu tak odejść — stwierdziła Conena.

— A jak mogliśmy go powstrzymać, o cudownie sarniookie orlątko?

— Przecież może zrobić coś głupiego!

— Uważam, że to bardzo prawdopodobne — rzekł Kreozot z godnością.

— Gdy my tymczasem robimy coś mądrego: siedzimy na rozpalonym piasku i nie mamy nic do jedzenia ani picia. Dobrze zrozumiałam?

— Mogłabyś mi coś opowiedzieć — zaproponował Kreozot, drżąc lekko.

— Siedź cicho!

Szeryf zwilżył wargi językiem.

— Przypuszczam, że nawet krótka anegdota jest wykluczona? — wychrypiał.

Conena westchnęła.

— Życie to coś więcej niż opowieści.

— Przepraszam. Trochę się zapomniałem.

Słońce weszło już i plaża z tłuczonych muszli jaśniała niczym solna równina. W świetle dnia morze nie wyglądało lepiej. Falowano jak rzadki olej.

Po obu stronach ciągnęły się długie, nużąco płaskie łuki brzegu, urozmaicone zaledwie kilkoma kępami pozółkłej trawy, żyjącej dzięki wilgoci powietrza. Nie

było nawet śladu cienia.

— Moim zdaniem — oświadczyła Conena — jesteśmy na plaży. To oznacza, że prędzej czy później dotrzemy do rzeki. Trzeba tylko iść stale w jedną stronę.

— Jednakże, czarujący śniegu na zboczach góry Eritor, nie wiemy w którą.

Nijel westchnął i sięgnął do sakwy

— Ehem — zaczął. — Przepraszam. Może to się na coś przyda?! Ukradłem to. Przykro mi.

Wyjął lampę, którą widzieli w skarbcu.

— Jest magiczna, prawda? — spytał z nadzieją. — Słyszałem o takich. Może spróbujemy?

Kreozot pokręcił głową.

— Przecież mówiłeś, że dzięki niej twój dziad zdobył fortunę! — przypomniała Conena.

— Dzięki lampie — odparł szeryf. — Skorzystał z lampy. Nie tej lampy. Nie, prawdziwa lampa była stara i poobijana, a pewnego dnia ten oszukańczy kupiec zjawił się znowu; proponował nowe lampy za stare. Moja prababka oddała mu tamtą za tę. Rodzina zatrzymała ją w skarbcu jako rodzaj pamiątki. Prawdziwie głupia kobieta. Ta oczywiście nie działa.

— A próbowałeś?

— Nie, ale przecież by jej nie oddał, gdyby do czegoś się nadawała.

— Potrzyj ją — poleciła Conena. — To na pewno nie zaszkodzi.

— Nie robiłbym tego — ostrzegł Kreozot.

Nijel ostrożnie podniósł lampę. Wydawała się niezwykle smukła, jakby ktoś próbował zrobić lampę, która szybko lata.

Potał.

Rezultat był dziwnie nieciekawym. Usłyszeli dyskretny stuk i strużka dymu uniosła się z piasku w pobliżu stóp Nijela. O kilka sążni dalej na piasku pojawiła się linia, wydłużyła się i zamknęła w kształt kwadratu, który zniknął.

Z otworu wyskoczyła jakaś postać, wyhamowała z wysiłkiem i jękła.

Miała na sobie turban, kosztowną opaleniznę, nieduży złoty medalion, błyszczące szorty i nowoczesne buty biegowe z zakręconymi noskami.

— Wyjaśnijmy to sobie od razu — powiedziała. — Gdzie jestem?

Conena pierwsza odzyskała przytomność umysłu.

— To jest plaża — poinformowała.

— No tak — mruknął dżin. — Ale pytałem, w której lampie. Na jakim świecie?

— Nie wiesz?

Dżin wyjął lampę z dłoni Nijela.

— Aha, ta staruszka... Mamy przydział czasu. Co roku w sierpniu dostaję dwa tygodnie, ale zwykle nie można się wyrwać.

— Tak dużo masz tych lamp? — zdziwił się Nijel.

— Do lamp jestem bardzo przywiązany — przyznał dżin. — Szczerze mówiąc, zastanawiam się nad wejściem w rynek pierścieni. Pierścienie w tej chwili mają przyszłość. W pierścieniach panuje ruch. Przepraszam, ale co mogę dla was zrobić?

Ostatnie zdanie wypowiedział szczególnym głosem, używanym zwykle dla humorystycznej autoparodii, ludziom wydaje się wtedy, że nie wyjdą na nudziarzy.

— My... — zaczęła Conena.

— Chciałbym się napić — wtrącił Kreozot. — A ty powinienesz przecież powiedzieć, że moje życzenie jest dla ciebie rozkazem.

— Nikt już nie mówi takich rzeczy — odparł dżin i z niczego stworzył szklanekę. Obdarzył Kreozota promiennym uśmiechem, trwającym niewielki procent jednej sekundy.

— Chcemy, żebyś nas przeniósł przez morze do Ankh-Morpork — oświadczyła stanowczo Conena.

Dżin spojrział nie rozumiejąc. Potem wyciągnął z pustki bardzo grubą książkę²¹ i coś w niej sprawdził.

— To naprawdę doskonały pomysł — przyznał w końcu. — Może w przyszły wtorek zjemy razem lunch?

— Co zrobimy?

— W tej chwili jestem trochę zajęty.

— Jesteś trochę...

— Doskonale — ucieszył się szczerze dżin i zerknął na przegub dłoni. — Zaraz, która to godzina?

I zniknął.

Cała trójka w osłupieniu wpatrywała się w lampę. Po chwili odezwał się Nijel.

— Co się stało, no wiecie, z tymi grubymi duchami w szarawarach i „Słucham i jestem posłuszny, panie”?

Kreozot parsknął. Właśnie wypił swój napój. Przekonał się, że to woda z bąbelkami, smakująca jak ciepłe żelazko.

— Nie mam zamiaru go słuchać — warknęła Conena.

Chwyciła lampę i potarła ją z miną, jakby żałowała, że nie ma pasty korundowej.

²¹ Był to Mitatnik, bezcenny dla tych, którzy zajmują się sprawami tajemnymi i hermetycznymi. Zawiera listę obiektów, które nie istnieją i w pewien głęboko znaczący sposób nie mają znaczenia. Niektóre stronicie można czytać tylko po północy albo przy niezwykłym i mało prawdopodobnym oświetleniu. Mieściły się tam opisy podziemnych konstelacji i win jeszcze nie sfermentowanych. Dla okultystów idących z duchem epoki, mogących sobie pozwolić na wersję w okładkach z pajęczą skórą, była nawet wkładka przedstawiająca plan londyńskiego metra z trzema stacjami, których nigdy nie ośmielono się umieścić na mapach publicznych.

Dżin pojawił się w innym miejscu, ale nadal o kilka łokci od cichej eksplozji i obowiązkowej chmurki dymu.

Trzymał przy uchu coś zagiętego i błyszczącego, i słuchał z uwagą. Spojrzał na zagniewaną Conenę i starał się przekazać — poruszając brwiami i nerwowo machając wolną ręką — że akurat jest w tej chwili zajęty całkiem nieciekawymi sprawami, które jednak nie pozwalają poświęcić jej pełnej uwagi. Ale gdy tylko uwolni się od swego natrętnego rozmówcy, może być pewna, że jej życzenie — z pewnością życzenie stylowe i eleganckie — stanie się jego rozkazem.

— Rozbiję lampę — ostrzegła spokojnie.

Dżin uśmiechnął się do niej i zwrócił się pospiesznie do przedmiotu trzymanego między policzkiem a ramieniem.

— Świetnie — powiedział. — Doskonale. Wierz mi, to wyjątkowa okazja. Niech twoi ludzie skontaktują się z moimi. Sam trzymaj się z tyłu. W porządku? Cześć. — Odsunął przedmiot od ucha. — Drań — mruknął.

— Naprawdę rozbiję lampę — powtórzyła Conena.

— A która to? — spytał niespokojnie dżin.

— A ile ich masz? — zdziwił się Nijel. — Zawsze myślałem, że dżiny mają po jednej.

Dżin wyjaśnił znużonym głosem, że ma kilka. Pewną niewielką, ale położoną w dobrym punkcie, lampę, gdzie mieszka w tygodniu; inną, dość unikalną lampę za miastem; starannie odnowiony chłopski kaganek wśród winnic w dzikiej, nie zniszczonej okolicy Quirmu; a od niedawna również zestaw starych lamp w dokach Ankh-Morpork; doki mają ogromny potencjał i kiedy tylko dotrą tam biznesmeni, przerobi swoje lampy na okultystyczny odpowiednik kompleksu biurowego i winiarni.

Słuchali z podziwem, jak ryba, która przypadkiem trafiła na wykład o lataniu.

— A kim są ci twoi ludzie, z którymi mają się skontaktować ci inni? — zapytał Nijel, który był pod wrażeniem, choć nie wiedział dokładnie, dlaczego i co na nim owo wrażenie wywarło.

— Właściwie to nie mam jeszcze żadnych ludzi — odparł dżin i zrobił dziwny grymas, jednak z wyraźnie wygiętymi w górę kącikami ust. — Ale będę miał.

— Wszyscy cisza — przerwała ostro Conena. — A ty zabierzesz nas do Ankh-Morpork.

— Na twoim miejscu bym posłuchał — dodał Kreozot. — Kiedy wargi tej młodej damy przypominają skrzynkę na listy, najlepiej robić, co każe.

Dżin zawahał się.

— Nie znam się najlepiej na transporcie.

— Ucz się — poradziła Conena. Przerzuciła lampę z ręki do ręki.

— Teleportacja to poważny problem — oświadczył zdesperowany dżin. — Może jednak zjemy razem. . .

— To wystarczy — przerwała mu Conena. — Potrzebne mi będą dwa duże płaskie kamienie. . .

— Dobrze, dobrze. Tylko się uspokój. Postaram się jak najlepiej, ale to może się okazać poważną pomyłką. . .

Astrofilozofom z Krulla udało się kiedyś dowieść ponad wszelką wątpliwość, że wszystkie miejsca są jednym miejscem, a odległości między nimi to tylko iluzja. Wieści o tym wprawiły w zakłopotanie wszystkich myślicieli, ponieważ teoria ta nie wyjaśniała, między innymi, istnienia drogowskazów. Po latach zmagania z problemem przedstawiono go w końcu Ly Tin Weedle, uważanemu za największego filozofa na Dysku²². Ten po namyśle oznajmił, że choć w istocie wszystkie miejsca są tylko jednym miejscem, miejsce to jest bardzo duże.

W ten sposób przywrócono psychiczny ład. Odległość jednak pozostała fenomenem czysto subiektywnym. Istoty magiczne mogą zmieniać ją wedle woli.

Co nie znaczy, że dobrze im to wychodzi.

* * *

Rincewind siedział przygnębiony wśród okopconych ruin Biblioteki. Próbowił się zorientować, co takiego wydaje mu się nie w porządku.

Właściwie to wszystko. To nie do pomyślenia, by Biblioteka spłonęła. Stanowiła przecież największą skarbnicę magii na Dysku. Była podstawą wszelkich czarów. Każde użyte kiedyś zaklęcie zostało zapisane w jakiejś księdze. Spalenie ich to. . . to. . .

Brakowało popiołów. Było mnóstwo popiołu spalonego drewna, mnóstwo łańcuchów, sporo poczerńiałych kamieni, masa odpadków. Ale tysiący ksiąg nie da się łatwo spalić. Pozostają po nich strzępy okładek i stopy lekkiego popiołu. A tego nie widział.

Rincewind zaczął rysować coś w sadzy palcem u nogi.

Do Biblioteki prowadziły tylko jedne drzwi. Były jeszcze piwnice — widział prowadzące do nich zasypane gruzami schody — ale tam nie można ukryć wszystkich ksiąg. Nie można ich również teleportować, są odporne na działanie magii. Ktokolwiek by próbował, skończyłby z mózgiem na kapeluszu.

Gdzieś wysoko nastąpiła eksplozja. Pierścień pomarańczowego ognia formował się mniej więcej w połowie wysokości czarodziejskiej wieży, pofrunął w górę i odleciał w stronę Quirnu.

Rincewind okręcił się na zaimprovizowanym siedzisku i spojrzął na Wieżę Sztuk. Odniósł niejasne wrażenie, że ona też na niego patrzy. Co prawda nie miała okien, ale zdawało mu się, że dostrzega jakiś ruch między rozkruszonymi blankami.

²²On sam zawsze się za takiego uważał.

Zastanowił się, jak jest stara. Z pewnością starsza niż Uniwersytet. Starsza niż miasto, które powstało wokół niej niczym piarg wokół szczytu góry. Może nawet starsza niż geografia. Rincewind wiedział, że bardzo dawno temu kontynenty wyglądały inaczej, a potem dopiero układały się niby szczeniaki w koszu. Być może wieża przypląnęła tu na skalnych falach nie wiadomo skąd. Może istniała jeszcze, zanim powstał Dysk, chociaż o tym Rincewind wolał nie myśleć. Budziło to w myślach niewygodne pytania, kto ją wybudował i po co.

Zwrócił się do sumienia.

Odpowiedziało: nie mam żadnych pomysłów. Rób, co chcesz. Rincewind wstał i strzepnął z szaty kurz i popiół, przy okazji strącając sporo liniejącego czerwonego pluszu. Zdjął kapelusz, bez powodzenia spróbował wyprostować czubek, po czym wcisnął go na głowę.

Następnie ruszył niepewnie do Wieży Sztuk.

U jej podstawy znajdowały się bardzo stare i całkiem małe drzwi. Nie zdziwił się, kiedy otworzyły się przed nim.

Dziwne miejsce — zauważył Nijel. — Zabawnie wygięte ściany.

— Gdzie jesteśmy? — spytała Conena.

— Czy jest tu jakiś alkohol? — chciał wiedzieć Kreozot. — Pewnie nie ma — dodał.

— I dlaczego tak się kołyszemy? — ciągnęła Conena. — Nigdy jeszcze nie byłam w pomieszczeniu z metalowymi ścianami. — Pociągnęła nosem. — Czujecie oliwę? — spytała podejrzliwie.

Dżin pojawił się znowu, choć tym razem bez dymu i efektu ruchomej kłapy. Można było zauważyć, że próbuje się trzymać tak daleko od Coneny jak tylko pozwala mu uprzejmość.

— Wszystko w porządku? — upewnił się.

— Czy to Ankh? — zapytała. — Co prawda, kiedy chcieliśmy się tam dostać, miałam nadzieję, że umieścisz nas gdzieś, gdzie są drzwi.

— Jesteście w drodze — wyjaśnił dżin.

Jakieś niewyraźne wahanie ducha sprawiło, że umysł Nijela przeskoczył — bez rozbiegu — do niezwyklego wniosku. Chłopiec spojrzął na lampę w dłoni.

Poruszył nią na próbę. Podłoga zakołysała się.

— No nie — rzekł. — To fizycznie niemożliwe.

— Jesteśmy w lampie? — nie dowierzała Conena.

Pomieszczenie znowu się zakołysało — to Nijel usiłował zajrzeć do dziobka.

— Nie przejmujcie się — uspokoił ich dżin. — Jeśli to możliwe, w ogóle o tym nie myślcie.

Wyjaśnił — chociaż „wyjaśnił” jest określeniem nadto pozytywnym i w tym przypadku oznacza raczej „nie zdołał wyjaśnić”, choć mówił długo — że całkiem

możliwa jest podróż przez świat w małej lampie trzymanej przez jedną osobę z grupy w jej wnętrzu. A to z powodu a) fraktalnej natury rzeczywistości, co oznacza, że wszystko można sobie wyobrazić jako tkwiące we wnętrzu wszystkiego innego, oraz b) kreatywnego podejścia do klienta. Sztuczka polegała na tym, żeby prawa fizyki nie wykryły sprzeczności, dopóki podróż nie dobiegnie końca.

— W tych okolicznościach lepiej się nad tym nie zastanawiać. Prawda?

— To tak jak nie myśleć o różowych nosorożcach — mruknął Nijel i roześmiał się z zakłopotaniem, gdy wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni. — Mieliliśmy taką grę — wyjaśnił. — Trzeba było nie myśleć o różowych nosorożcach. — Odkasłnął. — Nie mówię, że była to bardzo mądra gra.

Znowu zajrzał do dziobka lampy.

— Nie — zgodziła się Conena. — Nie bardzo.

— Ehm... — chrząknął dżin. — Może kawy? Trochę muzyki? Szybka partyjka Znaczących Poszukiwań²³?

— Coś do picia? — spytał Kreozot.

— Białe wino?

— Ohydne męty.

Dżin osłupiał.

— Czerwone szkodzi na...

— ... na falach burzy każde porto się nada — przerwał mu nerwowo Kreozot. — A nawet sauterne. Ale bez parasolki. — Przyszło mu do głowy, że nie wypada zwracać się tak do dżina. Wyprostował się z godnością. — Żadnych parasolek, na Pięć Księżyców Nasreemu. Ani kawałków owoców, oliwek, powyginanych słomek, ani ozdobnych małpek... Nakazuję ci, na Siedemnaście Syderytów Sarudina...

— Nie przepadam za parasolkami — mruknął ponuro dżin.

— Trochę tu pusto — zauważyła Conena. — Dlaczego nie wstawisz jakichś mebli?

— Jednego nie rozumiem — oświadczył Nijel. — Jeśli wszyscy siedzimy w lampie, którą trzymam w ręku, wtedy ten ja w lampie trzyma mniejszą lampę, a w niej...

Dżin nerwowo zamachał rękami.

— Nie mów o tym! — przypomniał. — Proszę! Zmarszczka przecięła szczere czoło Nijela.

— Dobrze. Ale... Czy jest mnie tak dużo, czy co?

— Wszystko powtarza się cyklicznie, ale nie zwracaj na to uwagi, dobrze? A niech to... Zabrzmiał delikatny, drażniący dźwięk wszechświata, który nagle

²³Gra bardzo popularna wśród bogów, półbogów, demonów i innych nadprzyrodzonych istot, które lubią pytania w stylu „O Co W Tym Wszystkim Chodzi?” i „Do Czego To Dojdzie?”

wracał na miejsce.

* * *

W wieży było ciemno: trwały rdzeń pradawnej ciemności, który istniał tutaj od zarania czasu i oburzał się wtargnięciem niedojrzałego dziennego światła, wlewającego się za Rincewindem.

Rincewind poczuł, że drzwi zamykają się za nim i ciemność przelewa się z powrotem, wypełnia przestrzeń po świetle tak dokładnie, że nie można zauważyć połączenia, nawet gdyby światło wciąż tam było.

Wnętrze wieży pachniało starożytnością, z lekką sugestią kruczych odchodów.

Stanie w tym miejscu wymagało wielkiej odwagi. Rincewind nie posiadał aż takiej, ale stał mimo wszystko.

Coś zaczęło obwąchiwać mu stopy i Rincewind znieruchomiał. Jedynym powodem, dla którego się nie poruszał, był lęk, że nadejście na coś gorszego.

A potem jego ręki dotknęła bardzo delikatnie dłoń podobna do starej skórzanej rękawiczki, a cichy głos powiedział:

— Uuk.

Rincewind podniósł głowę.

Ciemność ustąpiła — tylko na chwilę — przed jaskrawym błyskiem światła. I wtedy zobaczył.

Cała wieża była wyłożona książkami. Tłoczyły się na każdym stopniu spiralnych schodów, wijących się po wewnętrznej stronie ściany. Leżały w stosach na podłodze, choć coś w ich układzie sugerowało, że słowo „kuliły się” byłoby bardziej odpowiednie. Stały. . . no dobrze, obsiadły. . . wszelkie kruszące się występy.

Obserwowały go skrycie, w sposób nie mający żadnego związku ze zwykłymi sześciami zmysłami. Książki dobrze potrafią przekazać treść, zresztą niekoniecznie własną treść. Rincewind łatwo zrozumiał, że usiłują coś mu powiedzieć.

Znowu błysnęło. Zdał sobie sprawę, że to zaklęcia z wieży czarodziela, odbite w dalekim otworze prowadzącym na dach.

Udało mu się przynajmniej rozpoznać Szczekacza, który skomlał przy jego prawej nodze. Przyjął to z ulgą. Gdyby jeszcze potrafił zidentyfikować cichy, nieustanny, wilgotny odgłos przy lewym uchu. . .

Kolejny błysk zajaśniał posłusznie i Rincewind odkrył, że patrzy prosto w oczy patrycjusza, który cierpliwie pocierał łapką szkło słoika. To bezmyślne, delikatne drapanie sugerowało, że jaszczurka wcale nie próbuje się wydostać, a raczej jest zaciekawiona, jak długo potrwa przecieranie szkła na wylot.

Rincewind spojrział w dół, na gruszkowatą sylwetkę bibliotekarza.

— Są ich przecież tysiące — szepnął. Głos został wessany i wyciszony przez nieprzeliczone szeregi książek. — Jak je tutaj przeniosłeś?

- Uuk uuk.
- One co?
- Uuk — powtórzył bibliotekarz, energicznie machając zgiętymi w łokciach rękami.
- Przefrunęły?
- Uuk.
- Potrafią latać?
- Uuk — kiwnął głową bibliotekarz.
- To musiało robić wrażenie. . . Chciałbym to kiedyś zobaczyć.
- Uuk.

Nie każdej książce udało się ucieczka. Najważniejsze grimoire'y jakoś się dostały, ale siedmiotomowy zielnik stracił w płomieniach swój indeks, a niejedna trylogia opłakiwała zaginiony tom. Sporo książek miało ślady spalenizny na grzbietach, wiele straciło okładki, niektóre smętnie wlokły po podłodze nici szycia.

Błysnęła zapalka i strony zaszeleściły niespokojnie. Ale to tylko bibliotekarz zapalił świecę i począł u stóp swego groźnego cienia, tak wielkiego, że mógłby się wspinać na drapacze chmur. Pod ścianą ustawił surowy stół zasypyany precyzyjnymi narzędziami, słojami rzadkich lepiszcz i imadłem introligatorskim, ścisakającym przerażony foliał. Wędrowało po nim kilka białych linii magicznego ognia.

Orangutan wcisnął świecę w dłoń Rincewinda, wziął skalpel i pincetę, po czym schylił się nad drżącą księgą. Rincewind zbladł.

— Tego. . . — zaczął. — No. . . Może lepiej wyjdę? Mdleję na widok kleju.

Bibliotekarz pokręcił głową i z roztargnieniem wskazał kciukiem tacę z narzędziami.

— Uuk — polecił.

Rincewind żałośnie kiwnął głową i posłusznie wręczył mu długie nożyce. Skrzywił się, gdy odcięta para uszkodzonych stronic opadła na podłogę.

— Co jej robisz? — zdołał wykrztusić.

— Uuk.

— Operację? Ach tak. . .

Nie oglądając się, małpolud znowu machnął kciukiem. Rincewind odszukał na tacy igłę i nitkę. Zaległa cisza, zakłócana jedynie odgłosem szycia i przeciągania nitki przez papier. Wreszcie bibliotekarz się wyprostował.

— Uuk — rzekł.

Rincewind sięgnął po chusteczkę i otarł mu czoło.

— Uuk.

— Nie ma o czym mówić. Czy. . . czy ona wyzdrowieje? Bibliotekarz przytaknął. Z kondygnacji książek zabrzmiało powszechnie, prawie niedosłyszalne westchnienie ulgi.

Rincewind usiadł. Książki się bały. Były wręcz przerażone. Obecność czarodzieciela budziła dreszcze w ich grzbietach. Swoją skupioną uwagą ścisnęły Rincewinda jak w imadle.

— Wiem — wymruczał. — Ale co mogę na to poradzić?

— Uuk.

Bibliotekarz rzucił Rincewindowi spojrzenie, które było całkiem jak badawczy wzrok sponad pary półokrągłych okularów, gdyby je nosił. Po czym sięgnął po kolejną zranioną książkę.

— Przecież wiesz, że nie radzę sobie z czarami.

— Uuk.

— To czarodziecielstwo, które teraz szaleje, jest straszne. Wiesz, to pradawna magia, z samego świtu czasu. A w każdym razie nie później niż sprzed śniadania.

— Uuk.

— W końcu zniszczy wszystko, prawda?

— Uuk.

— Pora, żeby ktoś położył temu kres?

— Uuk.

— Tylko że to nie mogę być ja. Rozumiesz? Kiedy tu leciałem, sądziłem, że zdołam czemuś zaradzić, ale ta wieża. . . Jest ogromna! Z pewnością zabezpieczona przed magią. Najpotężniejszy mag nic by tu nie wskórał, więc jak ja mogę?

— Uuk — zgodził się bibliotekarz, zszywając złamany grzbiet.

— Dlatego, rozumiesz, wolę, żeby tym razem ktoś inny ratował świat. Ja nie potrafię.

Małpolud kiwnął głową, wyciągnął rękę i z głowy Rincewinda zdjął kapelusz.

— Zaraz!

Nie zwracając na niego uwagi, bibliotekarz sięgnął po nożyce.

— Zaraz, to mój kapelusz. . . Pozwól. . . Nawet tego nie próbuj z moim. . .

Skoczył do przodu i został wynagrodzony ciosem w głowę, który by go oszłomił, gdyby tylko miał czas się zastanowić. Owszem, bibliotekarz zwykle człapał spokojnie, jak dobroduszny rozkołysany balon, ale pod luźną skórą kryło się rusztowanie potężnych kości i mięśni, które mogłyby pięścią przebić dębową deskę. Zderzenie z ramieniem bibliotekarza przypominało trafienie owłosioną żelazną sztabą.

Szczekacz zaczął podskakiwać nerwowo i piszczeć z podniecenia.

Rincewind wydał z siebie chrapliwy, nieartykułowany ryk furii. Odbił się od ściany, niczym niezgrabną maczugę pochwycił leżący na ziemi kamień, poderwał się i znieruchomiał.

Bibliotekarz przykucnął pośrodku podłogi, dotykając — ale jeszcze nie tnąc — nożycami kapelusza.

I szczyrzył do Rincewinda zębami.

Przez kilka sekund stali jak w końcowej scenie przedstawienia. Potem orangutan odrzucił nożyce, strzepnął z kapelusza jakiś nie istniejący pyłek, poprawił szpic i wsunął go Rincewindowi na głowę.

Po kilku chwilach osłupienia Rincewind uświadomił sobie, że wciąż trzyma w uniesionej ręce duży i bardzo ciężki kamień. Zdołał odsunąć go na bok, zanim ten przyszedł do siebie po wstrząsie i przypomniał sobie, że powinien na maga upaść.

— Rozumiem — rzekł Rincewind, oparł się o ścianę i roztarł łokcie. — Wszystko to powinno coś mi udowodnić. Nauka moralna. Niech Rincewind pozna swoje prawdziwe „ja”, niech sam odkryje, za co gotów jest walczyć. Zgadłem? Ale to tania sztuczka. I coś ci powiem: jeśli myślisz, że ci się udała. . . — Chwyć rondo kapelusza. — Jeśli myślisz, że ci się udała. Jeśli myślisz, że ja. Zastanów się lepiej. Słuchaj, to. Jeśli myślisz.

Jego głos cichł z wolna.

— No dobrze. — Wzruszył ramionami. — Ale tak naprawdę to co właściwie mógłbym zrobić?

Bibliotekarz odpowiedział szerokim gestem, który wskazywał — równie wyraźnie, jak gdyby powiedział „Uuk” — że Rincewind jest magiem, ma kapelusz, bibliotekę magicznych ksiąg i wieżę. Niczego chyba więcej nie trzeba praktykowi sztuki czarodziejskiej. Małpa, mały terier z cuchnącym oddechem i jaszczurka w słoju były dodatkową premią.

Rincewind poczuł lekki nacisk na stopę. To Szczekacz, który wolno kojarzył, zgryzł w bezzębnych dziąsłach czubek Rincewindowego buta i ssał z furją.

Mag podniósł psa za skórę na grzbiecie i szczeciniasty kikut, który z braku lepszego określenia nazywano ogonem, i odsunął na bok.

— No dobrze — westchnął. — Lepiej mi powiedz, co się tutaj dzieło.

Od strony Gór Carrack, spoglądających na Równinę Sto, pośrodku której Ankh-Morpork leżało niby rozsypana torba porzuconych zakupów, widok był szczególnie imponujący. Chybione strzały i rykoszety z magicznej bitwy rozbiegały się na boki i w górę w wielkim, podobnym do misy obłoku ściętego powietrza, w którego sercu błyskały niezwykle światła.

Na drogach wiodących z tamtej strony tłoczyli się uchodźcy, a każda gospoda czy przydrożny zajazd były wypełnione po brzegi. A przynajmniej prawie każda.

Nikt jakoś nie chciał się zatrzymać w miłej, niedużej tawernie między drzewami, tuż przy drodze do Quirmu. Rzecz nie w tym, że uciekinierom nie wolno było wejść do środka. Po prostu w tej chwili nie pozwolono im jej zauważać.

Coś zawirowało w powietrzu o pół mili dalej i trzy postacie wypadły z pustki na kępę lawendy.

Leżeli na wznak w słońcu, między połamanymi, wonnymi gałązkami. Po chwili odzyskali zmysły.

— Jak myślicie, gdzie jesteśmy? — zapytał Kreozot.

— Pachnie jak w czyjejś szufladzie z bielizną — zauważyła Conena.
— Nie mojej — zapewnił stanowczo Nijel. Uniósł się nieco.
— Czy ktoś widział lampę?
— Zapomnij o niej — mruknęła Conena. — Na pewno zostanie przerobiona na winiarnię.

Nijel pełzał wśród lawendowych łodyg, aż jego palce trafiły na niewielki metaliczny przedmiot.

— Mam ją! — zawołał.

— Nie pocieraj — ostrzegła chórem pozostała dwójka. Spóźnili się, ale nie miało to większego znaczenia, gdyż jedynym skutkiem ostrożnego muśnięcia lampy przez Nijela było pojawienie się w powietrzu dymiących czerwonych liter.

— Cześć — przeczytał Nijel. — Nie odkładaj lampy. Cieszymy się, że właśnie nas wybrałeś. Po usłyszeniu sygnału przekaz swoje życzenie, a wkrótce stanie się ono naszym rozkazem. Tymczasem życzymy ci miłej wieczności. . . On się chyba pracuje — dodał.

Conena milczała. Spoglądała na wrzącą chmurę magii ponad równiną. Od czasu do czasu jakaś część odrywała się i płynęła ku jakiejś odległej wieży. Dziewczyna zadrżała mimo narastającego upału.

— Jak najszybciej musimy się stąd wydostać — oznajmiła. — To bardzo ważne.

— Dlaczego? — zdziwił się Kreozot.

Jeden kieliszek wina nie przywrócił mu dawnego, swobodnego nastroju.

Conena otworzyła usta i — co dla niej niezwykle — zamknęła je znowu. Nie potrafiłaby wytłumaczyć, że wszystkie jej geny pchały ją naprzód, powtarzały, że powinna się włączyć; wizje mieczy i kolczastych kul na łańcuchach wdzierały się do salonów fryzjerskich jej umysłu.

Nijel nie odczuwał takiego pociągu. Jego pchała do przodu wyłącznie wyobraźnia, ale miał jej dość, by wochować w niej niewielką galeryę wojenną. Spoglądał na miasto z czymś, co — gdyby nie brak podbródka — nazwalibyśmy zaciśniętymi zębami i ponurą determinacją.

Kreozot zrozumiał, że jest w mniejszości.

— Czy mają tam coś do picia? — spytał tylko.

— Mnóstwo.

— To na początek wystarczy — westchnął szeryf — Dobrze więc.

Prowadź, brzoskwiniopiersna córo. . .

— I żadnej poezji.

Wyplątali się z krzewów i zeszedli z boczem wzgórza. Dotarli do drogi, która całkiem niedaleko mijała wspomnianą poprzednio tawernę, czy też — jak z uporem nazywał ją Kreozot — karawanseraj.

Zawahali się przed wejściem. Tawerna nie wyglądała gościnnie. Jednak Conena, która w wyniku wychowania i pochodzenia miała skłonności do przemykania się na tyły budynków, znalazła uwiązane na podwórzu cztery konie. Starannie rozważyli tę kwestię.

— To będzie kradzież — oznajmił z naciskiem Nijel. Conena otworzyła usta, by się z nim zgodzić. Z warg spłynęły jej słowa:

— A dlaczego nie? Wzruszyła ramionami.

— Może powinniśmy zostawić trochę pieniędzy — zaproponował Nijel.

— Nie patrzcie tak na mnie — powiedział Kreozot.

— ... Albo jakąś kartkę pod wędzidłem. Albo coś. Nie sądzisz? Zamiast odpowiedzi Conena wskoczyła na największego konia, który — sądząc z wyglądu — musiał należeć do żołnierza. Cały był obwieszony bronią.

Kreozot nerwowo wspiał się na drugiego wierzchowca, dość płochliwego kasztana. I westchnął.

— Znowu jest podobna do skrzynki na listy — ostrzegł. — Na twoim miejscu robiłbym, co każe.

Nijel podejrzliwie przyglądał się pozostałym zwierzętom. Jedno z nich było wielkie i niewiarygodnie białe; nie siwe, co potrafi osiągnąć wiele koni, ale niemal przejrzyste białe, białe jak kość słoniowa w tym rzadkim odcieniu, który Nijel mimowolnie chciał nazwać „białą całunu”. Odniósł przy tym niejasne wrażenie, że jest mądrzejszy niż jest.

Wybrał tego drugiego. Koń był trochę chudy, ale spokojny i chłopiec zdołał na niego wsiąść już przy drugiej próbie.

Ruszyli.

Tętent kopyt z trudem przebił się przez mrok w tawernie. Oberżysta poruszał się jak ktoś pogrążony we śnie. Wiedział, że ma klientów; rozmawiał z nimi nawet i widział, jak siedzą przy kominku. Gdyby jednak poprosić go, by opisał, z kim rozmawiał i co widział, byłby zagubiony. To dlatego, że ludzki umysł znakomicie potrafi zamykać się przed tym, o czym nie chce wiedzieć. W tej chwili mógłby służyć za zabezpieczenie bankowego skarbcza.

I jeszcze te drinki! O większości nigdy nie słyszał, ale dziwaczne butelki wciąż się pojawiały na półkach nad beczkami z piwem. Problem w tym, że kiedy próbował się zastanowić, myśli gdzieś odpływały...

Postacie przy stole uniosły głowy znad kart.

Jedna z nich podniosła rękę. Sterczała z ramienia i miała pięć palców na końcu, twierdził umysł oberżysty. Zatem musiała być ręką.

Jedynym, od czego umysł oberżysty nie zdołał się odciąć, były głosy. Ten brzmiał tak, jakby ktoś zwiniętym arkuszem ołowiu uderzał w skałę.

BAROWA OSOBO.

Oberżysta jęknął słabo. Termiczne lance grozy z wolna wytapiały stalowe drzwi umysłu.

NIECH POMYŚLĘ. TO... ZARAZ, CO TO BYŁO?

— Krwawa Mary.

Ten głos z kolei sprawiał, że zwykle zamówienia brzmiały jak wypowiedzenie wojny.

A TAK. I JESZCZE...

— Ja miałem ajerkoniak — oświadczył Zaraza.

I AJERKONIAK.

— Z wisienką.

DOBRE, stwierdził ciężki głos nieszczerze. A DLA MNIE MAŁY KIELISZEK PORTO. I... Mówiący zerknął naprzeciw, na ostatniego członka kwartetu, i westchnął. MOŻE LEPIEJ PRZYNIEŚ JESZCZE JEDNĄ PORCJĘ ORZESZKÓW.

Jakieś dwieście sążni dalej, na drodze, trójka koniokradów starała się przyzwyczaić do nowej sytuacji.

— Płynna jazda — wykrztusił wreszcie Nijel.

— I piękne... piękne widoki — dodał Kreozot. Jego słowa porywał wiatr.

— Ale nie jestem pewien — mówił dalej Nijel — czy postąpiliśmy właściwie.

— Przecież jedziemy, prawda? — spytała ostro Conena. — Nie bądź drobiazgowy.

— Chodzi o to, że... no wiesz... cumulusy oglądane z góry są...

— Siedź cicho.

— Przepraszam.

— Zresztą to stratusy. Co najwyżej stratocumulusy.

— Zgadza się — przyznał żałośnie Nijel.

— Czy to jakaś różnica? — wtrącił Kreozot, który wtulił twarz w końską grzywę i mocno zacisnął powieki.

— Około tysiąca stóp.

— Och.

— No, może siedemset pięćdziesiąt — ustąpiła Conena.

— Ach.

* * *

Wieża czarodzielstwa zadrzała. Barwne kłęby dymu przetoczyły się po jej wysokich komnatach i lśniących korytarzach. W wielkiej sali na samym szczycie powietrze było gęste, oleiste i miało metaliczny posmak. Wielu magów omdlało od bitewnego wysiłku. Ale pozostało ich dosyć. Siedzieli w szerokim kręgu, nieruchomi i skoncentrowani.

Z pewnym wysiłkiem można było dostrzec migotanie w powietrzu, gdy pierwotna magia spływała z laski w rękę Coina do środka oktogramu.

Obce kształty pojawiły się na moment i zniknęły. Samą osnowę rzeczywistości przepuszczano tu przez zgrzeblarkę. Carding zadrżał i odwrócił wzrok na wypadek, gdyby zobaczył coś, czego nie mógłby zignorować.

Żyjący jeszcze najstarsi magowie utrzymywali zawieszoną w powietrzu kopię Dysku. Gdy Carding zerknął na nią, lekka czerwona poświata nad miastem Quirm zajaśniała nagle i zgasła.

Powietrze zatrzęszczało.

— Już po Quirmie — mruknął Carding.

— Jeszcze tylko Al Khali — odparł któryś z pozostałych.

— Działa tam jakaś wielka moc.

Carding ponuro skinął głową. Właściwie to lubił Quirm, miłe miasteczko — kiedyś — na brzegu Oceanu Krawędziowego.

Niewyraźnie pamiętał, że był tam jako mały chłopiec. Przez chwilę ze smutkiem spoglądał w przeszłość. Rosły tam dzikie geranie, przypomniawszy sobie, wypełniające ciężkim aromatem pochyłe, brukowane uliczki.

— Rosły na murach — powiedział głośno. — Różowe. Były różowe. Inni magowie popatrzyli na niego ze zdziwieniem. Jeden czy dwóch wyjątkowo paranoicznych — nawet jak na magów — podejrzliwie zerknęło na ściany.

— Dobrze się czujesz? — spytał jeden z nich.

— Co? — nie zrozumiał Carding. — A tak. Przepraszam. Zamyśliłem się.

Obejrzał się na Coina, który siedział z boku, trzymając na kolanach laskę. Zdawało się, że chłopiec zasnął. Może i tak. Jednak w głębi swej udreżonej duszy Carding wiedział, że laska nie śpi, że obserwuje go, bada jego umysł.

Wiedziała. Wiedziała nawet o różowych geraniach.

— Nie chciałem, żeby do tego doszło — wyznał cicho. — Wszystkim nam zależało tylko na odrobinie szacunku.

— Jesteś pewien, że dobrze się czujesz?

Carding z roztargnieniem skinął głową. Jego koledzy znowu się skoncentrowali. Zerknął na nich z ukosa.

Zniknęli wszyscy jego przyjaciele. No, może nie przyjaciele. Mag nie ma przyjaciół. Potrzebne jest inne słowo... A tak, to jest to: wrogowie. Ale bardzo porządni wrogowie. Dżentelmeni. Najlepsi z najlepszych. Nie tacy jak ci tutaj, chociaż od przybycia czarodziela poczynili tak wielkie postępy w Sztuce.

Nic tylko śmietanka zwykła wypływać na wierzch, pomyślał z niechęcią.

Skupił uwagę na Al Khali. Sondował umysłem wiedząc, że pozostali robią to samo, że bezustannie poszukują słabych punktów.

Może to ja jestem słabym punktem, pomyślał. Spelter próbował mi coś powiedzieć. Chodziło o laskę. Człowiek powinien wspierać się na swojej lasce, nie odwrotnie. Ona nim kieruje, prowadzi go... szkoda, że nie wysłuchałem Speltera. To niedobrze, jestem słabym punktem...

Raz jeszcze dryfując na falach mocy, pozwolił im nieść swój umysł do nieprzyjacielskiej wieży. Nawet Abrim wykorzystywał czarodzieństwo, a Carding modulował falę, prześlizgując się przez wzniesione przeciw sobie osłony.

Pojawiło się wewnątrz wieży Al Khali, wyostrzyło...

... Bagaż sunął przez lśniące korytarze. Był wściekły. Został rozbudzony z hibernacji, odepchnięty, był atakowany przez rozmaite mityczne, a teraz już wymarłe stworzenia, bolało go wieko, a w tej chwili, wkraczając do Głównej Sali, wykrył kapelusz. Ten straszliwy kapelusz, przyczynę wszystkich jego cierpień. Ruszył stanowczo...

Carding, badając odporność umysłu Abrima, poczuł nagle, że słabnie koncentracja przeciwnika. Przez moment patrzył jego oczami, widział krępy podłużny kształt zbliżający się po posadzce. Abrim usiłował przesunąć ognisko uwagi. I wtedy, nie bardziej zdolny się zatrzymać niż kot, gdy zobaczy coś małego i piszczącego, Carding uderzył.

Nie mocno. Nie było potrzeby. Umysł Abrima kierował ogromnymi mocami i utrzymywał je w równowadze. Wystarczyło najmniejsze pchnięcie by strącić go z pozycji.

Abrim wyciągnął ręce, by zniszczyć Bagaż, wydał z siebie ledwie wstęp do krzyku i implodował.

Zebranych wokół magom zdawało się, że widzą, jak w ułamku sekundy staje się niewiarygodnie mały, a potem znika, pozostawiając tylko czarną plamę powidoku.

Co bardziej inteligentni rzucili się do ucieczki...

A magia, którą kierował, rozlała się i popłynęła niepowstrzymaną falą; stochastyczny rozbłysk rozniósł kapelusz na strzępy, zniszczył całe dolne piętra wieży i większą część tego, co pozostało z miasta.

Tak wielu magów w Ankh koncentrowało umysły na wrogiej wieży, że współczulny rezonans cisnął ich na ściany. Carding wylądował na plecach, z kapeluszem wbitym na oczy.

Postawili go na nogi, otrzepali i ponieśli do Coina i laski. Wiwatowali... chociaż kilku starszych magów zrezygnowało z wiwatów. Ale on nie zwracał na to uwagi.

Nie widzącymi oczyma spojrzął na chłopca, po czym wolno podniósł dłonie do uszu.

— Nie słyszysz ich? — zapytał.

Magowie umilkli. Carding wciąż miał autorytet. Ton jego głosu uciszyłby sztorm.

Oczy Coina błysnęły.

— Niczego nie słyszę — oświadczył.

Carding zwrócił się do magów.

— Wy też nie słyszycie?

Pokręcili głowami.

— Co mamy słyszeć, bracie? — zdziwił się któryś. Carding uśmiechnął się... szeroko i maniakalnie. Nawet Coin odstał o krok.

— Usłyszysz wkrótce — rzekł. — Zapaliłeś latarnię. Wszyscy ich usłyszycie. Ale nie będziecie ich słuchać długo.

Odepchnął młodszych magów, którzy trzymali go za ramiona i zbliżył się do Coina.

— Wprowadzasz czarodzieństwo do świata, a z nim wdzierają się inne istoty — rzekł. — Byli już tacy, co otwierali im ścieżkę, ale ty wskazałeś im aleję!

Przyskoczył i wyrwał Coinowi czarną laskę. Zamachnął się, jakby chciał złamać ją o ścianę.

Zesztywniał, gdy laska zaatakowała. Potem jego skórę pokryły pęcherze...

Większość magów zdążyła odwrócić głowy. Kilku — zawsze znajdują się tacy — patrzyło z obsceniczną fascynacją.

Coin też patrzył. Szeroko otworzył zdumione oczy. Uniósł dłoń do ust. Próbował się cofnąć. Nie zdołał.

* * *

— To jednak są cumulusy.

— Cudownie — jęknął cicho Nijel.

* * *

CIEŻAR NIE MA TU NIC DO RZECZY. MÓJ WIERZCHOWIEC PRZENOSIŁ ARMIE. PRZENOSIŁ MIASTA. PRZENOSIŁ WSZYSTKIE ISTOTY, KIEDY NADESZŁA ICH GODZINA, oznajmił Śmierć. ALE WAS TRZECH NOSIŁ NIE BĘDZIE.

— Dlaczego nie?

TO KWESTIA SPOJRZENIA NA SPRAWĘ.

— No to nieźle będziemy wyglądać — mruknął z przekąsem Wojna. — Jeden Jeździec i Trzech Pieszych Apokalipsy.

— *Może byś ich poprosił, żeby na nas zaczekali?* — zaproponował Zaraza głosem brzmiącym jak ściekanie kropli na dno trumny.

MAM SPRAWY DO ZAŁATWIENIA, odparł Śmierć. Zastukał cicho zębami. JESTEM PEWIEN, ŻE JAKOŚ SOBIE PORADZICIE. ZWYKLE SIĘ WAM UDAJE.

Wojna spoglądał za oddalającym się koniem.

— On czasami naprawdę działa mi na nerwy. Dlaczego tak mu zawsze zależy, żeby mieć ostatnie słowo?

— *Przypuszczam, że to siła przyzwyczajenia.*

Zawrócili do tawerny. Przez chwilę żaden się nie odzywał.

— Gdzie jest Głód? — spytał w końcu Wojna.

— *Poszedł szukać kuchni.*

— Aha.

Wojna kopnął opancerzoną stopą w ziemię i pomyślał o odległości dzielącej ich od Ankh. Popołudnie było niezwykle upalne. Apokralipsa mogła sobie pocze-kać.

— Strzemienego? — zaproponował.

— *A powinniśmy?* — spytał z powątpiewaniem Zaraza. — *Czekają, na nas. Nie chciałbym zawieść ludzi.*

— Mamy dość czasu na jeden szybki — nalegał Wojna. — Zegary w tawer-nach nigdy dobrze nie chodzą. Mamy mnóstwo czasu. Do końca świata.

* * *

Carding osunął się i upadł na lśniącą białą posadzkę. Laska wypadła mu z pal-ców i stanęła pionowo.

Coin szturchnął stopą bezwładne ciało.

— Ostrzegałem go — rzekł. — Mówiłem, co się stanie, jeśli znowu jej do-tknie. Co to za „oni”, o których mówił?

Nastąpiły ogólne pochrząkiwania i generalny wzrost zainteresowania paznok-ciami.

— O kim on mówił? — powtórzył Coin.

Ovin Hakardly, wykładowca Sztuki, znowu spostrzegł, że magowie rozstępują się przed nim niczym mgła. Zdawało się, że stojąc nieruchomo wystąpił naprzód. Rozglądał się nerwowo, jak zwierzę schwyte w pułapkę.

— Ee... — zaczął. Rozłożył ręce. — Świat, widzisz, to znaczy rzeczywistość, w jakiej żyjemy, w istocie, można ją sobie wyobrazić jako, w pewnym sensie, gumową błonę.

Zawahał się, świadom, że zdanie to nie pojawi się w niczyjej księdze intere-sujących cytatów.

— To dlatego — dodał pośpiesznie — że jest zniekształcana, uhm, naciągnię-ta obecnością magii w każdym jej przejawie... Jeśli wolno mi uczynić porów-nanie, to zbyt wiele magicznego potencjału zgromadzonego w jednym miejscu wygina naszą rzeczywistość, ee, w dół, chociaż oczywiście określenia tego nie

można traktować dosłownie (albowiem w żadnym sensie nie staram się sugerować fizycznych wymiarów). Istnieje hipoteza, że zbyt wydatkowanie magicznej energii może, powiedzmy, rozerwać realność w najniższym punkcie i odkryć, niewykluczone, ścieżkę mieszkańcom czy też, by użyć poprawnego terminu, lokatorom niższej płaszczyzny (którą gadatliwi nazywają Piekielnymi Wymiarami)... Ci, być może z powodu różnic poziomów energetycznych, odczuwają naturalny pociąg do jasności tego świata. Naszego świata.

Nastąpiła typowa długa chwila ciszy, która tradycyjnie kończyła przemowy Hakardly'ego. Każdy ze słuchaczy w myślach dodawał przecinki i zszywał razem porwane zdania.

Wargi Coina poruszały się bezgłośnie.

— Chcesz powiedzieć, że magia przyciąga te istoty? — zapytał wreszcie.

Głos miał całkiem inny niż zwykle, a jego twarz straciła wyraz stanowczości. Laska wisiała w powietrzu nad ciałem Cardinga i wirowała powoli. Ściągała na siebie wzrok wszystkich magów.

— Tak się wydaje — odparł Hakardly. — Badacze tych problemów twierdzą, że ich obecność zapowiada chrapliwe syczenie. Coin spojrział niepewnie.

— Brzęczą — odpowiedział ktoś.

Chłopiec przyklęknął i z bliska przyjrzał się Cardingowi.

— Wcale się nie rusza — stwierdził z zaciekawionym. — Czy stało mu się coś złego?

— Całkiem możliwe — przyznał Hakardly. — Nie żyje.

— Wolałbym, żeby żył.

— Tę opinię, przypuszczam, podziela.

— Ale mogę mu pomóc — oświadczył Coin. Uniósł ręce i laska wpłynęła w nie natychmiast. Gdyby miała twarz uśmiechałaby się pogardliwie.

Kiedy chłopiec znów się odezwał, jego głos zabrzmiał odległym tonem kogoś, kto przemawia z pokoju o żelaznych ścianach.

— Gdyby porażka nie znała kary, sukces nie byłby nagrodą — rzekł.

— Słucham? — nie zrozumiał Hakardly. — Chyba straciłem wątek.

Coin odwrócił się na pięcie i wrócił na miejsce.

— Nie musimy bać się niczego — oznajmił. — I co z tymi piekielnymi Wymiarami? Jeśli będą nam sprawiać kłopoty, pozbedziemy się ich. Prawdziwy mag nie lęka się niczego. Niczego!

Znowu się poderwał i ruszył do modelu świata. Wizerunek był perfekcyjny w każdym szczególe, aż po widmo Wielkiego A'Tuina, płynącego wolno przez międzygwiazdne otchłanie, o kilka stóp nad posadzką.

Coin wzgardliwie machnął ręką, przesuając dłoń przez model.

— Do nas należy świat magii — rzekł. — I kto zdoła się nam tu oprzeć?

Hakardly uznał, że czegoś od niego oczekują.

— Absolutnie nikt — zapewnił. — Z wyjątkiem bogów, oczywiście.

Zapadła martwa cisza.

— Bogów? — powtórzył spokojnie Coin.

— No... Tak. Z pewnością. Nie wyzywamy bogów. Oni mają swoją robotę, a my swoją. Nie warto...

— Kto rządzi Dyskiem? Magowie czy bogowie?

Hakardly zastanowił się szybko.

— Magowie, naturalnie. Ale jednak pod władzą bogów. Kiedy ktoś przypadkiem wdepnie stopą w bagno, jest to niemiłe przeżycie. Lecz nie tak bardzo jak to, kiedy próbuje mocniej stanąć na drugiej nodze i słyszy, że ona także zapada się z cichym młaśnięciem.

Hakardly nie ustępował.

— Widzisz, magowie są bardziej...

— Zatem nie jesteśmy potężniejsi od bogów? — zapytał Coin. Niektórzy magowie w tylnych szeregach zaczęli nerwowo przestępować z nogi na nogę.

— Cóż, tak i nie — stwierdził Hakardly, zapadając się już po kolana.

Rzecz w tym, że magowie byli w kwestii bogów nieco nerwowi. Istoty zamieszkujące Cori Celesti nigdy nie zdradziły swoich poglądów na ceremonialną magię, która przecież zawiera w sobie odrobinę boskości. Magowie starali się unikać tego tematu. Kłopot z bogami polegał na tym, że kiedy coś im się nie podobało, nie ograniczali się do delikatnych napomknień. Zdrowy rozsądek sugerował więc, że niemądrze jest stawiać bogów w sytuacji, w której muszą decydować.

— Mam wrażenie, że nie ma co do tego pewności — powiedział Coin.

— Jeśli wolno mi doradzić... — zaczął Hakardly.

Coin machnął ręką. Mury zniknęły. Magowie stali na szczycie wieży czarodzielstwa i jak jeden mąż zwrócili oczy ku dalekiej iglicy Cori Celesti, domowi bogów.

— Kiedy pokona się już wszystkich, można się zmierzyć tylko z bogami — oświadczył Coin. — Czy któryś z was ich widział? Zabrzmiał chór niepewnych zaprzeczeń.

— Pokażę wam ich.

* * *

— Znajdziesz miejsce na jeszcze jeden, staruszkule — zapewnił Wojna. Zaraza chwiał się niepewnie.

— *Chyba powinniśmy już ruszać* — wymruczał bez przekonania.

— Daj spokój.

— *No dobrze, ale tylko pół. A potem zaraz idziemy.*

Wojna klepnął go w plecy i zerknął na Głód.

— Dla ciebie musimy poszukać kolejnych piętnastu torebek fistaszków.

* * *

— Uuk — zakończył bibliotekarz.

— No tak — westchnął Rincewind. — Czyli to laska jest problemem.

— Uuk.

— Czy ktoś próbował mu ją odebrać?

— Uuk.

— I co się z nimi stało?

— Iik!

Rincewind jęknął.

Bibliotekarz zgasił świecę, ponieważ odkryty płomień niepokoił książki. Teraz, kiedy Rincewind przyzwyczał się do mroku, odkrył, że wcale nie jest ciemno. Delikatny oktarynowy poblask książek wypełniał wnętrze wieży czymś, co wprawdzie nie było dokładnie światłem, ale było czernią, w której można widzieć. Od czasu do czasu rozlegał się szelest zdrętwiałych stronic.

— Czyli w zasadzie nie ma sposobu, by pokonać go przy pomocy magii. Zgadzają się?

Bibliotekarz uuknął niechętnie na potwierdzenie i nadal obracał się wolno na siedzeniu.

— W takim razie to nie ma sensu. Może zauważyłeś, że nie jestem szczególnie uzdolniony w dziedzinie czarów. I pojedynek będzie przebiegał mniej więcej tak: „Dzień dobry, jestem Rincewind”... a zaraz potem: łubudu!

— Uuk.

— Właściwie to chcesz mi powiedzieć, że mam sobie sam radzić.

— Uuk.

— Dzięki.

W słabej poświacie Rincewind raz jeszcze spojrzął na książki stłoczone wokół wewnętrznych ścian starożytnej wieży.

Westchnął, ruszył dziarsko do drzwi i wyraźnie zwolnił, gdy do nich dotarł.

— No to ruszam — powiedział.

— Uuk.

— Na spotkanie któż wie, jak straszliwych niebezpieczeństw — dodał. — Byłoby to dobre życie w służbie ludzkości...

— Iik.

— No dobrze, dwunogów...

— Hau.

— I czworonogów. Niech będzie. — Pokonany, zerknął jeszcze na patrycjusza w słoiku po dżemie. — I jaszczurek. Mogę już iść?

* * *

Huragan dmuchał w dół z czystego nieba, gdy Rincewind brnął ku wieży czarodzielstwa. Jej smukłe białe drzwi były zamknięte tak szczelnie, że ledwie mógł dostrzec ich kształt na mleczej powierzchni kamienia.

Postukał w nie, ale nic się nie wydarzyło. Drzwi zdawały się pochłaniać dźwięki.

— Niezła robota — mruknął do siebie. I wtedy przypomniał sobie o dywanie.

Leżał tam, gdzie go zostawił, co było kolejnym dowodem, że Ankh uległo przemianie. W dawnych złodziejskich dniach sprzed czarodziecia, nic nie leżało długo w miejscu, gdzie zostało porzucone. W każdym razie nic, o czym wypadałoby pisać w przyzwoitej książce.

Rozwinał dywan na bruku, tak że złote smoki popęzły po niebieskim gruncie... Chyba że były to niebieskie smoki frunące po złotym niebie.

Usiadł.

Wstał.

Usiadł znowu, podwinął szatę i z pewnym wysiłkiem ściągnął skarpetę. Potem włożył z powrotem but i pokręcił się dookoła, aż wśród gruzów znalazł połówkę cegły. Włożył ją do skarpety i zakręcił kilka razy na próbę.

Rincewind wychował się w Morpork. A każdy mieszkaniec Morpork lubił mieć w walce po swojej stronie przewagę przynajmniej dwudziestu do jednego. Gdy jednak było to niemożliwe, skarpetę z połówką cegły i ciemny zaułek, żeby się w nim zacziąć, uznawano powszechnie za lepsze wyposażenie niż dowolne dwa magiczne miecze razem wzięte.

Usiadł znowu.

— W górę — rozkazał.

Dywan nie zareagował. Rincewind przyjrzał się smokom, potem podwinął róg i spróbował się zorientować, czy druga strona wygląda lepiej.

— No dobrze — ustąpił. — W dół. Bardzo, bardzo ostrożnie w dół.

* * *

— Prosiaczki — wybełkotał Wojna. — To były prosiaczki. — Okryta hełmem głowa stuknęła o bar. Uniósł ją z wysiłkiem. — Prosiaczki — powtórzył.

— Nie nie nie — sprzeciwił się Głód, niepewnie unosząc palec.

— To jakieś inne udamo... udoma... domowe zwierzęta. Jak owca. Jałówka. Kotki? Coś takiego. Nie prosiaczki.

— *Pszczółki* — stwierdził Zaraza i wolno zsunął się ze stołka.

— No d... dobrze — rzeki Wojna, nie zwracając na niego uwagi. — Jeszcze raz. Od początku.

Podał rytm, stukając w brzeg kieliszka.
— Były sobie... niezidentyfikowane udomowione zwierzęta... i trzy i był wilk okropnie zły... — głos mu zadrżał.
— *Traaa luan luna* — zawodził z podłogi Zaraza.
Wojna pokręcił głową.
— Wiecie, to nie to samo — westchnął. — Bez niego jakoś nie idzie. Pięknie wchodził basem.
— *Traaa laaa laaa* — powtórzył Zaraza.
— Zamknij się — burknął Wojna i niepewną dłonią sięgnął po butelkę.

* * *

Wichura atakowała szczyt wieży: gorący, nieprzyjemny wicher, który szeptał niezwykłymi głosami i drażnił skórę jak drobny papier ścierny.

Pośrodku stał Coin z laską nad głową. A kiedy pył wzniósł się w powietrze, magowie zobaczyli tryskające z niej linie sił magicznych.

Wygięły się w górę, formując ogromny bąbel, który rozrastał się, aż był chyba większy niż miasto. Pojawiły się w nim jakieś postacie, zwiewne i niewyraźne, falujące niczym wizje w krzywym zwierciadle, nie bardziej materialne, niż kółka z dymu albo kształty w chmurach, ale przerażająco znajome.

Tam przesunął się zębaty pysk Offlera. A tutaj, przez moment wyraźny w szalejącej burzy, stał Ślepy Io, przywódca bogów, ze swymi orbitującymi oczami.

Coin wymruczał coś bezgłośnie i bąbel zaczął maleć. Napinał się przy tym i uwypuklał obrzydliwie, gdy istoty we wnętrzu walczyły, by się wydostać... Nie zdołały powstrzymać kurczenia.

Teraz był większy niż teren Uniwersytetu. A teraz wyższy niż wieża.

Teraz był dwa razy wyższy od człowieka i szary jak dym. Teraz stał się lśniąca perłą wielkości... wielkości dużej perły. Wichura ucichła, zastąpiona ciężką, martwą ciszą. Samo powietrze trzeszczało z wysiłku. Większość magów leżała płackiem na ziemi, przyciskana energią, która zagęściła powietrze i tłumiała dźwięki niczym uniwersum pierza. Jednak każdy z nich słyszał bicie własnego serca, tak głośne, że mogłoby zburzyć wieżę.

— Spójrzcie na mnie — rozkazał Coin.

Zwrócili oczy ku górze. W żaden sposób nie mogli mu się sprzeciwić.

Trzymał w dłoni błyszczącą kulkę. W drugiej dzierżył laskę. Z obu jej końców sączył się dym.

— Bogowie — powiedział. — Uwięzieni we wnętrzu myśli. Może zawsze byli jedynie snem.

Głos wydał się nagle głębszy, starszy.

— Magowie Niewidocznego Uniwersytetu — rzekł ów głos. — Czy nie dałem wam władzy absolutnej?

Za jego plecami przy ścianie wieży powoli wzniósł się dywan. Rincewind ze wszystkich sił starał się utrzymać równowagę. Oczy miał rozszerzone tą szczególną grozą, która ogarnia każdego, gdy stoi na paru nitkach i stu sążniach powietrza.

Lękliwie przeskoczył z dywanu na wieżę, szerokimi kręgami wymachując nad głową obciążoną skarpetą.

Coin zobaczył go, odbitego w zdumionych spojrzeniach magów. Odwrócił się powoli i patrzył, jak Rincewind zbliża się chwiejnie.

— Kim jesteś? — zapytał.

— Przybyłem — odparł chrapliwie Rincewind — by wyzwąć czarodziela. Który to z was?

Podrzucając w dłoni cegłę zmierzył wzrokiem rozciągniętych na ziemi magów.

Hakardly zaryzykował szybkie spojrzenie i gorączkowo poruszył brwiami, by ostrzec Rincewinda. Ten jednak nawet w najlepszej formie nie był dobrym interpretatorem komunikatów niewerbalnych.

— Ze skarpetką? — zdziwił się Coin. — Co ci przyjdzie ze skarpetki?

Ręka z laską uniosła się. Coin spojrział na nią z łagodnym zdziwieniem.

— Nie. Przestań — rzucił. — Chcę porozmawiać z tym człowiekiem.

Obserwował Rincewinda, który kołysał się w przód i w tył pod wpływem niewyspania, przerażenia i skutków działania zbyt dużej dawki adrenaliny.

— Czy jest magiczna? — dopytywał się zaciekawiony. — Może to skarpetka nadrektora? Skarpeta mocy?

Rincewind skoncentrował się.

— Raczej nie — odparł. — Kupiłem ją chyba w sklepie albo gdzieś... Ehm... Mam jeszcze drugą taką.

— Ale na końcu ma coś ciężkiego?

— No... tak — przyznał Rincewind. — To połówka cegły — dodał tytułem wyjaśnienia.

— I to ona ma wielką moc?

— Tego... Można coś nią podeprzeć. Gdyby znaleźć drugą, miałyby się całą cegłę.

Rincewind mówił powoli. Asymilował sytuację metodą jakiejś strasznej osmozy. Patrzył, jak laska obraca się groźnie w dłoni chłopca.

— Aha. Zatem to cegła pospolitości wewnątrz skarpety. Całość tworzy broń.

— No... tak.

— Jak ona działa?

— No... Trzeba się zamachnąć, a potem... Uderzyć nią w coś. Albo czasem we własną rękę, czasami.

— A potem może zniszczyć całe miasto? — spytał Coin.

Rincewind spojrział w złociste oczy chłopca, a potem na swoją skarpetę. Zdejmował ją i wkładał kilka razy do roku, już od lat. Miała cery, które zdążył poznać i poko no, poznać. Niektóre dorobiły się całych rodzin własnych cerowań. Można było ją określić rozmaitymi terminami, jednak „dewastatorka miast” do nich nie należała.

— Właściwie nie — wyznał w końcu. — Ona tak jakby zabija ludzi, ale budynki pozostawia nienaruszone.

Umysł Rincewinda działał z szybkością dryfu kontynentalnego. Niektóre części przekonywały, że stoi przed czarodzieciem, jednak znajdowały się w bezpośrednim konflikcie z innymi częściami. Rincewind wiele się nasłuchiwał o potędze czarodziela, lasce czarodziela, złośliwości czarodziela i tak dalej. Jedyne, o czym nikt mu nie wspomniał, był wiek czarodziela.

Zerknął na laskę.

— A to do czego służy? — zapytał.

A laska odezwała się:

Musisz zabić tego człowieka.

Magowie, którzy podnosili się ostrożnie, znowu padli na podłogę.

Głos kapelusza dźwięczał dostatecznie strasznie, jednak głos laski był metaliczny i precyzyjny; nie udzielał rady, tylko po prostu ogłaszał przyszłość. Brzmiał, jakby nie sposób było go zignorować.

Coin uniósł rękę i zatrzymał się w połowie drogi.

— Dlaczego? — spytał.

Masz być mi posłuszny.

— Wcale nie musisz — wtrącił pospiesznie Rincewind. — To tylko przedmiot.

— Nie rozumiem, dlaczego mam go skrzywdzić — powiedział Coin. — Wygląda tak nieszkodliwie... Jak rozżłoszczony królik.

Buntuje się przeciw nam.

— Wcale nie — zapewnił Rincewind. Schował za plecy rękę ze skarpetą i starał się zapomnieć część zdania o króliku.

— Dlaczego muszę robić wszystko, co mi każesz? — zwrócił się Coin do laski. — Zawsze robię to, co mówisz, ale to wcale ludziom nie pomaga.

Ludzie muszą się ciebie bać. Czy niczego cię nie nauczyłem?

— Ale on wygląda tak zabawnie. Ma skarpetkę.

Nagle chłopiec krzyknął, a jego ręka szarpnęła się gwałtownie. Rincewindowi włosy stanęły dęba.

Uczynisz to, co ci nakazałem.

— Nie!

Zaskwierczało i rozszedł się zapach palonego ciała. Coin osunął się na kolana.

— Zaraz, chwileczkę... — zaczął Rincewind.

Coin otworzył oczy. Wciąż były złote, ale pojawiły się piwne plamki.

Rincewind zakręcił skarpetkę szerokim, świszczącym łukiem, trafiając laskę w połowie jej długości. Rozprysnął się ceglany pył i spalona wełna, a laska wypadła chłopcu z palców. Magowie rozbiegli się, gdy wirując sunęła po posadzce.

Uderzyła o parapet, podskoczyła i spadła za krawędź.

Zamiast jednak runąć w dół, zatrzymała się w powietrzu, obróciła wokół osi i pomknęła z powrotem, ciągnąc za sobą ogon oktarynowych iskier i brzęcząc jak piła tarczowa.

Rincewind odepchnął oszołomionego chłopca za siebie, odrzucił spaloną skarpetę i zerwał z głowy kapelusz. Opędzał się szaleńczo, gdy laska pędziła ku niemu. Trafiła go w skroń, powodując wstrząs, który niemal zespawał mu zęby, i powaliła jak cienkie, poszarpane drzewo.

Potem zawróciła w powietrzu, rozżarzona do czerwoności, i zatoczyła krąg przed kolejnym, z pewnością już ostatecznym atakiem.

Rincewind uniósł się na łokciach i patrzył z pełną grozy fascynacją, jak sunie przez chłodne powietrze, które z jakiejś niezrozumiałej przyczyny zdawało się pełne śnieżnych płatków.

A potem nabrało odcienia fioletu w błękitne plamy. Czas zwolnił i zatrzymał się jak nie nakręcony patefon.

Rincewind podniósł głowę i spojrzał na wysoką, czarną postać, która pojawiła się o kilka stóp od niego.

Był to, oczywiście, Śmierć.

Zwrócił na Rincewinda swe płomienne oczodoły i rzekł głosem podobnym do zapadających się podmorskich szczelin:

DZIEŃ DOBRY.

Odwrócił się, jakby chwilowo załatwił wszystkie pilne sprawy. Przez chwilę wpatrywał się w horyzont, po czym zaczął odruchowo stukać nogą o posadzkę. Brzmiało to jak cały worek marakasów.

— Ehm — odezwał się Rincewind.

Śmierć jakby go sobie przypomniał.

SŁUCHAM? spytał uprzejmie.

— Zawsze się zastanawiałem, jak to się stanie.

Z tajemniczych głębin swej szaty Śmierć wyjął klepsydrę i przyjrzał się jej uważnie.

DOPRAWDY? odparł obojętnie.

— Chyba nie mogę narzekać — stwierdził mężnie Rincewind. — Przeżyłem dobre życie. No, niezłe. — Zawahał się. — No, może nie całkiem dobre. Przypuszczam, że większość nazwałaby je okropnym. — Zastanowił się. — Ja bym nazwał — dodał jeszcze, jakby do siebie.

CZŁOWIEKU, O CZYM TY MÓWISZ?

Rincewind zdziwił się.

— Czy nie pojawiaasz się zawsze, kiedy ma umrzeć mag?

OCZYWIŚCIE. I PRAGNĘ ZAUWAŻYĆ, ŻE MAM PRZEZ WAS MASE ROBOTY.

— Jak ci się udaje być w tylu miejscach równocześnie?

DOBRA ORGANIZACJA.

Czas powrócił. Laska, wisząca wciąż o kilka stóp od Rincewinda, znowu pomknęła ze świstem.

Zabrzmiał metaliczny stuk, gdy Coin jedną ręką pochwycił ją w locie.

Laska wydała dźwięk, jakby tysiąc paznokci drapało po szkle. Szarpała się dziko w górę i w dół, ciągnąc trzymającą ją rękę. Na całej długości rozkwitła złowrogim zielonym ogniem.

A więc w końcu i ty mnie zawiodłeś.

Coin jęknął, ale ścisnął metal z całych sił. Czubki palców poczerwieniały mu, potem zbieleły.

Wyciągnął rękę przed siebie, a moc płynąca z laski z rykiem przeleciała obok niego, zapalając iskry we włosach i wydymając szatę w dziwaczne i niemiłe kształty. Krzyknął wtedy, zatoczył laską koło i uderzył w parapet, pozostawiając w kamieniu długą, kipiącą szramę.

Potem ją odrzucił. Zastukała o kamienie, potoczyła się i zatrzymała. Magowie uskakiwali jej z drogi.

Coin przykleknął. Drżał cały.

— Nie chcę zabijać ludzi — powiedział. — Jestem pewien, że to niedobrze.

— Słuszna myśl — pochwalił go Rincewind.

— Co się dzieje z ludźmi, którzy umierają? — spytał Coin.

Rincewind obejrzał się na Śmierć.

— To chyba było do ciebie.

ON NIE MOŻE MNIE WIDZIEĆ ANI SŁYSZEĆ, oznajmił Śmierć. DOPÓKI SAM NIE ZECHCE.

Brzęknęło cicho. To laska toczyła się z powrotem w stronę Coina, który przyglądał się jej ze zgrozą.

Podnieś mnie.

— Nie musisz — przypomniał znowu Rincewind.

Nie możesz mi się sprzeciwić. Nie możesz pokonać sam siebie, rzekła laska.

Coin bardzo powoli wyciągnął rękę i podniósł ją z posadzki.

Rincewind zerknął na swoją skarpetę. Była już tylko skrawkiem przypalonej wełny. Krótka kariera narzędzia wojny zaprowadziła ją poza granice możliwości igły i nitki.

A teraz go zabij.

Rincewind wstrzymał oddech. Obecni magowie wstrzymali oddech. Nawet Śmierć, który niczego nie mógł trzymać prócz swej kosy, trzymał ją w napięciu.

— Nie — odparł Coin.

Wiesz, co spotyka niegrzecznych chłopców?

Rincewind spostrzegł, że czarodzieciel pobladał. Głos laski zmienił się. Teraz był przymilny.

Beze mnie, kto by ci mówił, co masz robić?

— Nie wiem — powiedział Coin.

Spójrz tylko, co osiągnąłeś.

Coin rozejrzał się, badając wzrokiem przerażone twarze.

— Widzę — powiedział.

Nauczyłem cię wszystkiego, co sam wiedziałem.

— Myślę, że nie wiedziałeś dosyć.

Niewdzięczniku! Kto ci ukazał twoje przeznaczenie?

— Ty — przyznał chłopiec. Uniósł głowę. — Teraz rozumiem, że popełniłem błąd — dodał cicho.

To dobrze...

— Nie wyrzuciłem cię dostatecznie daleko.

Coin poderwał się płynnie i wzniosł łaskę nad głowę. Stał nieruchomy jak posąg, a jego dłoń otoczyła kula światła barwy roztopionej miedzi. Pozieleniała, wzniosła się przez odcienie błękitu, zawisła w fiolecie, wreszcie wystrzeliła w czystą oktawę.

Rincewind osłonił oczy przed blaskiem i zobaczył dłoń Coina, wciąż całą, wciąż ściskającą łaskę, z kroplami płynnego metalu błyskającymi między palcami.

Wycofał się niepewnym krokiem i wpadł na Hakardly'ego. Stary mag stał niczym posąg, z otwartymi ustami.

— Co się stanie? — zapytał Rincewind.

— Nigdy jej nie zwycięży — odparł chrapliwie Hakardly. — Należy do niego. Jest tak silna jak on. To on ma moc, ale ona wie, jak nią kierować.

— To znaczy, że oboje się zniwelują?

— Miejmy nadzieję.

Bitwa toczyła się pod osłoną piekielnego blasku. Podłoga zadygotała nagle.

— Sięgają do wszystkiego, co magiczne — stwierdził Hakardly. — Lepiej opuśćmy wieżę.

— Dlaczego?

— Podejrzewam, że wkrótce zniknie. Rzeczywiście, białe kamienie wyglądały, jakby rozplatały się i znikały w kuli blasku.

Rincewind zawahał się.

— Nie pomożemy mu?

Hakardly spojrział na niego, potem na jaśniejące pole bitwy. Raz czy dwa otworzył i zamknął usta.

— Przykro mi — stwierdził.

— No tak, ale odrobina wsparcia dla niego... Sam wiedziałeś, czym jest ta laska...

— Przykro mi.

— On wam pomógł. — Rincewind zwrócił się do pozostałych magów, którzy pospiesznie biegli do wyjścia. — Wam wszystkim. Dał wam przecież to, czego pragnęliście.

— Być może nigdy mu tego nie wybaczymy — mruknął Hakardly.

Rincewind jęknął.

— Ale co pozostanie, kiedy to się skończy? Co zostanie? Hakardly spuścił głowę.

— Przykro mi — powtórzył.

Oktarynowa łuna jaśniała coraz mocniej, a na krawędziach przechodziła w czerń. Nie w czerń będącą zaledwie przeciwieństwem światła; była to ziarnista, falująca czerń, która lśni poza blaskiem i nie ma czego szukać w żadnej przyzwoitej rzeczywistości. I brzęczy.

Rincewind zatańczył w miejscu, gdy stopy, nogi, instynkty i niezwykle mocno wykształcony odruch samozachowawczy przeciążyły jego system nerwowy do granic wytrzymałości. I kiedy właśnie miał się przepalić, sumienie przebiło się jakoś do przodu.

Skoczył w ogień i chwycił laskę.

Magowie uciekali. Niektórzy lewitowali z wieży.

Okazali się o wiele bardziej przewidujący od tych, którzy zbiegali po schodach, ponieważ około trzydziestu sekund później wieża zniknęła.

Wokół brzęczącej kolumny czerni padał śnieg.

Ocaleli magowie, którzy odważyli się obejrzeć, zobaczyli opadający z nieba niewielki przedmiot, ciągnący za sobą ogon płomieni. Upadł na bruk, gdzie tlił się jeszcze przez chwilę, zanim gęstniejący śnieg zgasił ogień.

Wkrótce stał się tylko niewielką zaspą.

Jakiś czas później krępa postać przemknęła po dziedzińcu na nogach i dłoniach, rozgrzebała śnieg i wyjęła tajemniczy obiekt.

Był to — ale jakiś czas temu — kapelusz. Życie nie traktowało go łaskawie. Spora część szerokiego runda spłonęła, czubek zniknął całkowicie, a zaśniedziałe srebrne litery były prawie nieczytelne. Zresztą i tak kilku brakowało. Te pozostałe głośiły: MGS.

Bibliotekarz wolno obracał kapelusz w dłoniach. Był całkiem sam, jeśli nie liczyć płomiennej kolumny czerni i opadających jednostajnie płatków.

Zniszczone zabudowania Uniwersytetu opustoszały. Tu i tam leżało kilka innych szpiczastych kapeluszy, zgniecionych przez ogarniętą paniką stopy. A poza tym żadnego znaku, że kiedyś byli tu ludzie.

Wszyscy magowie stchórzyli.

* * *

— *Wojno...*
 — *Cco...?*
 — *Czy nie było...* — Zaraza po omacku szukał kieliszka. — *... Nie mieliśmy jakiejś sprawy?*
 — *Cco...?*
 — Powinniśmy... Chyba coś powinniśmy teraz robić — wtrącił Głód.
 — Zgadza się. Mamy spotkanie.
 — *Te...* — Zaraza wpatrzył się zadumany w swój drink. — *To coś.*
 Smętnie patrzyli na ladę. Oberżysta już dawno uciekł. Pozostało jeszcze kilka nie otwartych butelek.
 — Okra — oznajmił w końcu Głód. — To było to.
 — *Nie.*
 — Apo... Apostrof — zaproponował niepewnie Wojna. Pokręcili głowami. Przez chwilę zgodnie milczeli.
 — *A co to znaczy „apokryficzny”?* — spytał Zaraza, zaglądając w skupieniu do jakiegoś wewnętrznego świata.
 — Wątpliwy — odparł Wojna. — Tak myślę.
 — *Wiec to nie to?*
 — Chyba nie — przyznał posępnie Głód. Zapadło kłopotliwe milczenie.
 — Lepiej łyknijmy jeszcze po jednym. — Wojna wziął się w garść.
 — *I słusznie...*

* * *

Mniej więcej pięćdziesiąt mil dalej i tysiąc sążni wyżej Conena zdołała w końcu zapanować nad skradzionym wierzchowcem i zmusić go do spokojnego kłusa w powietrzu. Demonstrowała chyba najbardziej stanowczą nonszalancję, jaką widziano na Dysku.

— Śnieg? — zdziwiła się.

Chmury kłębiły się bezgłośnie, nadlatując od strony Osi. Były ciemne i ciężkie, i nie powinny przesuwac się tak prędko. Pod nimi sunęły śnieżyce, pokrywając pejzaż bielą niby kartka papieru.

Ten śnieg nie wyglądał jak śnieg, który opada łagodnie wśród nocy, by raniem zmienić okolicę w cudowną krainę niezwykłego, eterycznego piękna. Wyglądał raczej jak śnieg, który zamierza uczynić świat tak wściekle zimnym, jak to tylko możliwe.

— Trochę za późno. Zima minęła — zauważył Nijel. Zerknął w dół i natychmiast zamknął oczy.

Kreozot obserwował wszystko w zdumionym zachwycie.

— Więc to tak wygląda? — upewnił się. — Słyszałem tylko opowieści o śniegu. Zawsze myślałem, że jakoś wyrasta z ziemi. Jak grzyby.

— Te chmury mi się nie podobają — stwierdziła Conena.

— Czy moglibyśmy zjechać już na dół? — poprosił słabym głosem Nijel. — Kiedy się poruszaliśmy, nie wyglądało to tak tragicznie. Conena nie zwracała na niego uwagi.

— Sprawdź lampę — poleciała.

Nijel sięgnął do sakwy i wyjął lampę.

— Proszę czekać na połączenie... — zabrzmiał głos dzina, odległy i metaliczny.

Potem rozległa się dźwięczna melodyjka — taka, którą zagrałaby szwajcarska górská chata, gdyby umiała grać. Po chwili w powietrzu pojawił się obrys klapy, przez którą wyszedł sam dzin. Rozejrzał się, po czym spojrzął na nich.

— No no... — mruknął.

— Coś się dzieje z pogodą — oznajmiła Conena. — Dlaczego?

— Chcesz powiedzieć, że nie wiecie? — zdziwił się dzin.

— Chybabym nie pytała, prawda?

— Cóż, nie mnie o tym sądzić, ale wygląda to na Apokralipsę.

— Co!?

Dzin wzruszył ramionami.

— Bogowie zniknęli, tak? — spytał. — Zatem, według tej, no wiecie, legendy, oznacza to...

— Lodowych Gigantów — wyszeptał z drżeniem Nijel.

— Głośniej — poprosił Kreozot.

— Lodowych Gigantów — powtórzył głośno Nijel, lekko zirytowany. — Bogowie ich więzili, rozumiesz. Pod Osią. Ale przed końcem świata wyrwą się na wolność i dosiędą swoich straszliwych lodowców, by odzyskać dawne panowanie. Zgniotą i stłumią ogniki cywilizacji, a świat legnie nagi i zamrznięty pod strasznymi zimnymi gwiazdami, dopóki sam Czas nie zamarznie. Albo jakoś tak.

— Ale jeszcze nie pora na Apokralipsę — zaprotestowała rozpaczliwie Conena. — Przecież musi powstać straszny władca, musi wybuchnąć straszliwa wojna, czterech przerażających jeźdźców musi ruszyć przez świat, a potem Piekielne Wymiary muszą przebić się do naszej rzeczywistości...

Urwała, błada nagle jak śnieg.

— W każdym razie przywalenie tysiącstopową pokrywą lodu bardzo przypomina Apokralipsę — stwierdził dzin. Wyciągnął rękę i wyrwał Nijelowi lampę. — Strasznie mi przykro — rzekł. — Ale pora już zlikwidować przedsięwzięcia w tej rzeczywistości. Do zobaczenia. Czy co tam wypada powiedzieć...

Zniknął do pasa, po czym ze słabnącym wołaniem: „Szkoda, że z tym lunchem nie wyszło...” rozpląnął się do końca.

Trójka jeźdźców spoglądała przez zasłony padającego śniegu w stronę Osi.
— Może to tylko wyobraźnia — rzekł Kreozot. — Ale czy nie słyszycie jakby trzeszczenia i stękania?

— Cicho bądź — odparła odruchowo Conena. Kreozot pochylił się i poklepał jej dłoń.

— Nie martw się tak — powiedział. — To jeszcze nie koniec świata. — Zastanowił się nad tym, po czym dodał: — Przepraszam, ale tak się mówi. . .

— Co zrobimy? — jęknęła dziewczyna.

Nijel wyprostował się.

— Myślę — rzekł z mocą — że powinniśmy pojechać tam i im wytłumaczyć. Zwrócili się ku niemu z minami zarezerwowanymi zwykle dla mesjaszy albo absolutnych idiotów.

— Tak — dodał, odrobinę bardziej pewnie. — Trzeba im wytłumaczyć.

— Wytłumaczyć Lodowym Gigantom?

— Tak.

— Przepraszam — powiedziała Conena. — Czy dobrze zrozumiałam? Uważasz, że powinniśmy odszukać straszliwych Lodowych Gigantów i wyjaśnić im, że istnieje mnóstwo ciepłych ludzi, którzy woleliby, żeby Giganci nie pędzili przez świat, miażdżąc wszystko pod górami lodu, więc czy mogliby jeszcze raz przemyśleć swoje plany? Czy tak właśnie twoim zdaniem mamy postąpić?

— Tak. Świetnie rozumiałaś.

Conena i Kreozot porozumieli się wzrokiem. Nijel siedział dumnie w siodle, z lekkim uśmiechem na twarzy.

— Czy imperia sprawiają ci problemy? — spytał szeryf.

— Imperatyw — poprawił go Nijel spokojnie. — Nie sprawia mi żadnych problemów. Nakazuje tylko przed śmiercią dokonać jakiegoś męznego czynu.

— Więc o to chodzi — mruknął Kreozot. — To raczej smutne. Zrobisz coś męznego, a potem zaraz umrzesz.

— A jaki mamy wybór? — zapytał Nijel.

Zastanowili się.

— Tłumaczenie nie wychodzi mi najlepiej — stwierdziła Conena niepewnie.

— Mnie tak — oświadczył stanowczo Nijel. — Zawsze muszę się tłumaczyć.

* * *

Rozproszone cząsteczki tego, co było umysłem Rincewinda, zebrały się razem i dryfowały w górę przez warstwy mrocznej nieświadomości niczym trzydniowy topielec wznoszący się ku powierzchni.

Badały ostatnie wspomnienia w podobny sposób, w jaki człowiek drapie świeżą ranę.

Przypominał sobie coś o lasce, o bólu tak przenikliwym, że zdawał się wbi-
jać dłuto między każde dwie komórki ciała, po czym raz po raz uderzać w nie
młotkiem.

Pamiętał, jak laska pofrunęła i pociągnęła go za sobą. Potem nastąpił ten
straszliwy moment, kiedy Śmierć pojawił się i sięgnął poza niego, laska skrzyła
się nagle i ożyła, a Śmierć powiedział:

TERAZ CIĘ MAM, IPSLORE RUDY.

A potem było to.

Z dotyku sądząc, Rincewind leżał na piasku. Piasek był zimny jak lód.

Zaryzykował widok czegoś okropnego i otworzył oczy.

Pierwszym, co zobaczył, była jego lewa ręka oraz, co zadziwiające, dłoń. Cał-
kiem zwyczajna, niezbyt czysta. Spodziewał się raczej kikuta.

Miał wrażenie, że jest noc. Plaża, czy cokolwiek to było, ciągnęła się ku linii
dalekich gór pod niebem przyprószonym milionem białych gwiazd.

Trochę bliżej dostrzegł nierówną linię w srebrzystym piasku. Uniósł nieco
głowę i zobaczył rozpryski stopionych kropli. To był oktiron, metal wewnętrznie
magiczny do tego stopnia, że żadna kuźnia na Dysku nie potrafiłaby nawet go
rozgrzać.

— Aha — powiedział. — Zatem wygraliśmy.

I znowu zasnął.

Po chwili prawa ręka uniosła się instynktownie i klepnęła czubek głowy. Po-
tem poklepała z boków. Potem, z rosnącą nerwowością, zaczęła szperać po piasku
dookoła.

Wreszcie musiała zakomunikować o swoim zmartwieniu reszcie Rincewinda,
ponieważ usiadł i powiedział:

— A niech to!

W pobliżu nie dostrzegł żadnego kapelusza. Zauważył za to niewielki biały
kształt leżący nieruchomo na piasku, a kawałek dalej...

Kolumnę dziennego światła.

Brzęczała cicho i kołysała się: trójwymiarowy otwór prowadzący gdzie in-
dziej. Od czasu do czasu dmuchała na boki śniegiem. W tym świetle widział
skrzywione obrazy czegoś, co mogło być budynkami albo pejzażami zniekształ-
conymi nietypową krzywizną. Nie mógł się przyjrzeć im dokładniej z powodu
wysokich, pochylonych cieni wokół kolumny.

Umysł ludzki jest zadziwiający. Potrafi funkcjonować na kilku poziomach
równocześnie. I kiedy Rincewind marnował swój intelekt na jęki i szukanie kape-
lusza, wewnętrzna część mózgu obserwowała, oceniała, analizowała i porówny-
wała.

Teraz przeczołgała się do mózdzku, stuknęła go w ramię, wcisnęła do ręki
wiadomość i uciekła ile siły.

Wiadomość stwierdzała mniej więcej tyle: „Mam nadzieję, że czuję się dobrze. Ostatnia próba magii okazała się zbyt silna dla zużytej osnowy rzeczywistości. Otworzyła przejście. Jestem teraz w Piekielnych Wymiarach. A te stwory przede mną to... Stwory. Miło mi było się poznać”.

Najbliższy Rincewinda Stwór miał jakieś dwadzieścia stóp wysokości. Wyglądał jak zdechły koń, wykopany po trzech miesiącach i poddany serii nowych doświadczeń, z których przynajmniej jedno dotyczyło również ośmiornicy.

Nie zauważył Rincewinda. Zbyt był zajęty patrzeniem w światło. Rincewind podpełził do nieruchomego ciała Coina i szturchnął je delikatnie.

— Żyjesz? — zapytał. — Bo jeśli nie, to wolałbym, żebyś nie odpowiadał.

Coin przewrócił się na wznak i spojrzął na niego oczyma pełnymi zdumienia.

— Przypominam sobie... — oświadczył po chwili.

— Lepiej nie — poradził Rincewind.

Dłoń chłopca odruchowo obmacywała piasek.

— Już jej nie ma — uspokoił go Rincewind.

Dłoń zaprzestała poszukiwań.

Rincewind pomógł chłopcu usiąść. Coin patrzył nie rozumiejąc na zimny, srebrzysty piasek, na niebo, potem na dalekie Stwory, a w końcu na Rincewinda.

— Nie wiem, co robić — wyznał.

— To nic takiego. Ja też nigdy nie wiem — zapewnił Rincewind ze sztuczną wesołością. — Przez całe życie jestem kompletnie zagubiony. — Zawahał się. — O ile pamiętam, nazywa się to człowieczeństwem czy jakoś tak.

— Ale ja zawsze wiedziałem, co robić!

Rincewind otworzył już usta, by poinformować, że widział tego skutki... ale zrezygnował.

— Uszy do góry — powiedział zamiast tego. — Szukaj dobrych stron. Mogło być gorzej.

Coin rozejrzał się ponownie.

— A pod jakim względem? — zapytał normalniejszym głosem.

— Ehm...

— Co to za miejsce?

— To tak jakby inny wymiar. Magia się przebiła, a my przelecieliśmy razem z nią. Tak myślę.

— A te stwory?

Popatrzyli na Stwory.

— To chyba Stwory. Próbują przedostać się przez otwór. To nie takie łatwe... Poziomy energetyczne czy coś w tym rodzaju. Pamiętam, kiedyś mieliśmy o nich wykład. Hm...

Coin skinął głową, po czym wąską bladą dłonią sięgnął do czoła Rincewinda.

— Pozwolisz... — zaczął.

Rincewind zadrżał, czując jego dotyk.

— Na co pozwolę? — zapytał.
— ... że zajrzę do twojej głowy?
— Aargh.
Trochę tu nieporządku. Nic dziwnego, że niczego nie możesz znaleźć.
— Ergh.
Powinieneś posprzątać.
— Uugh.
— Au.
Poczucie obcej obecności zanikło. Coin zmarszczył brwi.
— Nie możemy ich przepuścić — oświadczył. — Posiadają straszliwą moc. Próbuja poszerzyć przejście i mogą to uczynić. Czekają, żeby wedrzeć się do naszego świata... Już całe... — Zmarszczył czoło. — ... tona?
— Eony — wyjaśnił Rincewind.
Coin otworzył drugą dłoń, dotąd zaciśniętą mocno. Pokazał Rincewindowi niewielką szarą perlę.
— Czy wiesz, co to jest? — zapytał.
— Nie. A co to jest?
— To... Nie pamiętam. Ale powinniśmy to odnieść.
— Jasne. Użyj tylko czarodzielstwa. Roznieś te Stwory na strzepy i wracamy do domu.
— Nie. One żywią się magią. Tylko pogorszyłbym sytuację. Nie wolno mi korzystać z czarów.
— Jesteś pewien?
— Obawiam się, że twoje wspomnienia były w tej kwestii całkiem wyraźne.
— Więc co zrobimy?
— Nie wiem!
Rincewind pomyślał chwilę, a potem, z miną świadcząca o podjęciu ostatecznej decyzji, zaczął zdejmować swoją ostatnią skarpetę.
— Nie ma cegłówek — zauważył, nie zwracając się do nikogo konkretnego.
— Musi wystarczyć piasek.
— Masz zamiar je zaatakować skarpetką z piaskiem?
— Nie. Mam zamiar przed nimi uciekać. Skarpetka z piaskiem jest na wypadek, gdyby mnie goniły.

* * *

Mieszkańcy wracali do Al Khali, gdzie zburzona wieża była już tylko dymiącym stosem gruzów. Kilka śmielszych duchów skierowało swe zainteresowanie ku ruinom w nadziei, że mógł tam ocaleć ktoś, kogo można będzie uratować, obrabować albo jedno i drugie.

Pośród kamieni dała się słyszeć następująca rozmowa:
— Coś się tu rusza pod spodem!
— Pod tym? Na dwie brody Imtala, musiałeś się przestyszeć. Ten głaz waży chyba cetnar.
— Tutaj, bracia!
Potem rozległ się odgłos dźwigania. I znowu:
— To skrzynia!
— Jak myślisz, może to skarb?
— Wypuszcza nogi, na Siedem Księżyców Nasrima!
— Pięć księżyców...
— Gdzie uciekła? Gdzie uciekła?
— Daj spokój, to nieważne. Ustalmy pewne fakty. Zgodnie z legendą było pięć księżyców...

W Klatchu traktują mitologię bardzo poważnie. To tylko w zwyczajne życie nie chcą wierzyć.

* * *

Zniżając się przez ciężkie śnieżne chmury na osiowym, krańcu równiny Sto, troje jeźdźców wyczuło zmianę. Powietrze było ostre i rześkie.

— Czujecie? — upewnił się Nijel. — Pamiętam, kiedy byłem mały i leżałem w łóżku rankiem pierwszego dnia zimy... Można było wtedy niemal smakować powietrze i...

Chmury rozstały się przed nimi i na rozległej wyżynie zobaczyli ogromne stada Lodowych Gigantów.

Rozciągały się we wszystkie strony na całe mile, a od ich pędu drżała ziemia.

Prowadziły bycze lodowce, ryczące i wyrzucające płaty ziemi, gdy parły niepowstrzymanie naprzód. Za nimi tłoczyła się masa krów i cieląt, sunących po drodze zdartej już przez przywódców stada do skały macierzystej.

Miały w sobie tyle podobieństwa do zwykłych lodowców, które świat sądził, że poznał, ile lew śpiący w cieniu do trzystu funtów groźnie i precyzyjnie skoordynowanych mięśni, pędzących na człowieka z rozwartą paszczą.

— ...i... i kiedy się podeszło do okna... — Usta Nijela, z braku jakichkolwiek poleceń z mózgu, wyhamowały powoli.

Ruchomy, ściśnięty lód pokrywał równinę i z hukiem sunął do przodu pod wielką chmurą wilgotnej pary. Ziemia drżała, gdy przewodnicy stad przepływali dołem, a patrzący nie mieli wątpliwości, że dla powstrzymania ich nie wystarczy parę funtów soli i łopata.

— No proszę — rzuciła Conena. — Idź, tłumacz. Tylko lepiej krzycz.

Nijel z roztargnieniem przyjrzał się stadu.

— Chyba widzę jakieś postacie — oznajmił Kreozot, chcąc pomóc. — Patrz, na grzbiecie tych. . . tych z przodu.

Nijel wyteżył wzrok. Przez zasłone śniegu dostrzegł, że istotnie na grzbietach lodowców jada jakieś postacie. Ludzkie postacie, czy człekokształtne, przynajmniej z grubsza. Nie wydawały się bardzo duże.

Okazało się, że to dlatego, iż same lodowce były bardzo duże, a Nijel nie radził sobie z perspektywą. Konie zniżyły się nad czołowym lodowcem, ogromnym bykiem pociętym szczelinami i bliznami moren. Wtedy zrozumieli, że jednym z powodów nazwania Lodowych Gigantów Lodowymi Gigantami był fakt, że są. . . no. . . gigantyczni.

Drugi powód to ten, że są zbudowani z lodu. Osobnik wielkości sporego domu przykucnął na grzbiecie byka i z pomocą haka na długiej tyce zachęcał go do większego wysiłku. Był kanciasty, czy raczej wielościenny, połyskiwał w świetle zielenią i błękitem, na śnieżnych lokach miał wąską srebrną opaskę, a oczy małe, czarne i głęboko osadzone, podobne do bryłek węgla²⁴.

Coś trzasnęło w przedzie — to prowadzące lodowce wbiły się w las. Ptaki wleciały w panice. Śnieg i drzazgi padały wokół Nijela, który galopował w powietrzu obok giganta. Odkasznął.

— Ehm. . . — zaczął. — Przepraszam. . .

Przed wrzącą falą ziemi, śniegu i zmiażdżonego drewna pędziło ogarnięte ślepą paniką stado karibu. Kilka łokci dzieliło ich tylne kopyta od sunącej masy.

Nijel spróbował jeszcze raz.

— Hej tam! -wrzasnął.

Gigant odwrócił ku niemu głowę.

— Czego chcesz? — zapytał. — Odejdź, gorronca osobo!

— Przepraszam, ale czy to naprawdę konieczne?

Gigant przyjrzał mu się z lodowatym zdumieniem. Potem odwrócił się i popatrzył na swoje stado, które zdawało się rozciągać do samej Osi. A potem znów na Nijela.

— Tak — powiedział. — Raczej tak. Inaczej po co to robić?

— Ale tam żyje mnóstwo ludzi, którzy woleliby, żebyście przestali — ciągnął desperacko Nijel.

Skalna iglica wyrosła na moment przed lodowcem, kołysała się przez sekunde i runęła.

— A także małe dzieci — dodał. — I kudłate zwierzątka.

— Bedom cierrpiedź za sprawę rozwoju. Nadeszła chwila, kiedy zdobędziemy żwiat — zahuczał gigant. — Cały żwiat lodu. Zgodnie z nieuniknionym

²⁴To jednak jedyne podobieństwo do bożków budowanych — w odpowiedzi na pradawne i nieświadome wspomnienia — przez dzieci w czasie śnieżnej zimy. I trudno liczyć na to, że Lodowy Gigant zmieni się do rana w niewielką zaspę brudnego śniegu ze sterczącą na czubku marchewką.

postępem historii i tryumfem termodynamiki.

— Tak, ale przecież nie musicie.

— Ale chcemy! Bogowie zniknęli, a my zrzucamy okowy dawnych przeson-
dów!

— Zamrożenie całego świata na głucho nie wydaje mi się szczególnie rozwo-
jowe — stwierdził Nijel.

— Nam się podoba.

— Tak, tak — zapewnił Nijel maniakalnie uprzejmym tonem kogoś, kto pró-
buje spojrzeć na problem ze wszystkich punktów widzenia i jest przekonany, że
znajdzie się rozwiązanie, gdy tylko ludzie dobrej woli siądą przy stole i racjonal-
nie wyjaśnią wszystkie kwestie. — Ale czy to odpowiednia pora? Czy świat jest
już gotów na tryumf lodu?

— Niech lepiej bendzie — odparł gigant i machnął na Nijela swoją tyką.

Cios minął konia, ale chłopca trafił prosto w pierś, zmiotł z siodła i cisnął na
powierzchnię lodowca. Mimo rozłożonych rąk, Nijel zawirował i zsunął się po
lodowej flance, fala ziemi i kamieni odrzuciła go na bok, aż wreszcie stoczył się
w mieszanie lodu i błota między pędzącymi ścianami.

Podniósł się chwiejnie i bezradnie popatrzył przez marznącą mgłę. Kolejny
lodowiec pędził wprost na niego.

Conena również. Pochyliła się, kiedy jej koń wyskoczył z mgły, chwyciła Ni-
jela za skórzaną uprząż barbarzyńcy i wrzuciła na siodło przed sobą.

Pociągnął nosem, kiedy wznieśli się w górę.

— Zimnokrwisty drań. Przez chwilę myślałem już, że jakoś się dogadamy.
Ale niektórzy zwyczajnie nie chcą niczego zrozumieć.

Stado lodowców pokonało kolejne wzniesienie, zdzierając przy tym sporą jego
część. Gęsta od miast równina Sto stanęła przed nimi otworem.

* * *

Rincewind przesuwiał się do najbliższego Stwora, jedną ręką ciągnąc Coina,
a drugą wymachując obciążoną skarpeta.

— Żadnej magii. Jasne? — upewnił się.

— Jasne — potwierdził chłopiec.

— Cokolwiek się stanie, nie wolno ci używać magii.

— Tak jest. Nie tutaj. Jeśli nie korzysta się z magii, to one nie mają wielkiej
mocy. Ale kiedy się przedrą. . .

Umilkł.

— Będzie strasznie. — Rincewind kiwnął głową.

— Okropnie — zgodził się Coin.

Rincewind westchnął. Chciałby mieć swój kapelusz. Ale będzie musiał sobie radzić bez niego.

— No dobrze — podsumował. — Kiedy krzyknę, ty biegniesz do światła. Rozumiesz? Nie oglądaj się ani nic. Cokolwiek się stanie.

— Cokolwiek? — powtórzył niepewnie Coin.

— Cokolwiek. — Rincewind uśmiechnął się dzielnie, choć z wysiłkiem. — A zwłaszcza cokolwiek usłyszysz.

Trochę go pocieszyło, że wargi Coina ułożyły się w przerażone „O”.

— A potem — mówił dalej — kiedy wrócisz na tamtą stronę. . .

— Co mam zrobić?

Rincewind zawahał się.

— Nie wiem — przyznał. — Co tylko możesz. Magii, ile zechcesz. Wszystko. Byle je powstrzymać. I tego. . .

— Tak?

Rincewind zerknął na Stwora, nadal wpatzonego w światło.

— Jeżeli. . . no wiesz. . . jeżeli ktoś się wydostanie i wszystko w końcu jakoś dobrze się skończy, tak jakby. . . to chciałbym, żebyś tak jakby im opowiedział, że ja tak jakby tu zostałem. Może zechcą to gdzieś tak jakby zapisać. Wiesz, nie chciałbym posągu ani nic takiego — dodał bohatersko.

A po chwili dodał jeszcze:

— Chyba powinienes wytrzeć nos.

Coin wytarł — o skraj szaty — po czym z powagą uściśnął Rincewindowi dłoń.

— Jeśli kiedykolwiek. . . — zaczął. — To znaczy. . . Jesteś pierwszym. . . Wspaniale było. . . Widzisz, ja właściwie nigdy. . . — Zamilkł na moment, po czym zakończył: — Chciałem, żebyś to wiedział.

— Jeszcze jedno. . . — podjął Rincewind i puścił rękę chłopca. — A tak. Koniecznie musisz pamiętać, kim naprawdę jesteś. Nie warto polegać na innych ludziach ani przedmiotach, żeby pilnowali tego za ciebie. Zawsze coś pomylą.

— Spróbuję zapamiętać — obiecał Coin.

— To bardzo ważne — powtórzył Rincewind, na wpół do siebie. — A teraz już biegnij.

Przysunął się do Stwora. Ten akurat miał kurze łapy, ale prawie cała reszta była łaskawie ukryta pod czymś, co przypominało złożone skrzydła.

Nadeszła pora, pomyślał, na kilka ostatecznych słów. To, co teraz powie, może być kiedyś bardzo ważne. Może ludzie zapamiętają te słowa, będą je przekazywać kolejnym pokoleniom albo nawet wykuwać w granicie.

A zatem słowa bez nazbyt zawijanych liter.

— Naprawdę wolałbym, żeby mnie tu nie było — mruknął. Zważył w dłoni skarpetę, zakręcił nią raz czy dwa i walnął Stwora w to, co — miał nadzieję — było kolanem.

Stwór wydał przenikliwy dźwięk, odwrócił się gwałtownie, z trzaskiem rozłożył skrzydła, zaatakował Rincewinda swą sępią głową i ponownie oberwał skarpetą piasku.

Zatoczył się do tyłu, a Rincewind rozejrzał się gorączkowo. Zobaczył, że Coin wciąż stoi tam, gdzie go zostawił. Ku swemu przerażeniu spostrzegł, że chłopiec rusza w ich stronę, odruchowo wyciągając ręce, by uderzyć magią, która tutaj zgubi ich obu.

— Uciekaj, ty idioto! — wrzasnął, gdy Stwór odzyskał równowagę i ruszył do kontrataku. Nie wiadomo skąd przypomniał sobie słowa: — Wiesz, co spotyka niegrzecznych chłopców?

Coin zbladł, odwrócił się i pobiegł do światła. Poruszał się jak w gęstym syropie, z wysiłkiem pokonując zbocze entropii. Zniekształcona wizja wywróconego wnętrzem na wierzch świata zawisła o kilka stóp od niego, potem o cale, zafalowała niepewnie. . .

Macka owinęła mu się wokół kostki i powaliła na twarz. Padając wyrzucił przed siebie ręce i jedna z nich dotknęła śniegu. Natychmiast pochwyciło ją coś, co przypominało ciepłą, miękką skórzaną rękawiczkę, lecz pod tym delikatnym dotykiem krył się uchwyt twardy jak hartowana stal. . . Pociągnęło go naprzód, wlokąc jednocześnie to coś, co go trzymało.

Światło i ziarnista ciemność zamigotały wokół i nagle Coin ześliznął się po zasypanych śniegiem kamieniach.

Bibliotekarz puścił jego dłoń i stanął nad nim z odłamkiem ciężkiej drewnianej belki w ręku. Przez moment mała wznosiła się na tle mroku, jej ramię, łokieć i przegub rozkładały się niczym poemat dźwigni stosowanej; potem płynny ruch, niepowstrzymany jak narodziny inteligencji, z wielką mocą przesunął je w dół. Coś chlupnęło, zaskrzeczało gniewnie, i pałacy ucisk na nodze Coina zniknął.

Kolumna mroku zafalowała. Dobiegały z niej zniekształcone odległością piski i głuche uderzenia.

Coin wstał z trudem i pobiegł z powrotem w ciemność, ale tym razem ramię bibliotekarza zablokowało mu drogę.

— Nie możemy go tam zostawić!

Mała wzruszyła ramionami.

Z ciemności dobiegł kolejny trzask. A potem nastąpiła niemal absolutna cisza.

Ale tylko niemal. Obu zdawało się, że słyszą — bardzo daleko, ale bardzo wyraźnie — cichnący w oddali odgłos biegnących stóp.

Echo tego dźwięku zabrzmiało nagle w rzeczywistym świecie. Mała rozejrzała się, po czym gwałtownie odepchnęła Coina na bok. Coś krępego i poobijanego, z setkami małych nóżek, przemknęło przez pusty dziedziniec i nie gubiąc rytmu wskoczyło w niknącą ciemność, która zamigotała raz jeszcze i rozplynęła się bez śladu.

W miejscu, gdzie była jeszcze przed chwilą, gęsto zawirował śnieg.

Coin wyrwał się bibliotekarzowi i wbiegł do kręgu, który już teraz okrywał się bielą. Stopy wzbity obłok drobnych płatków.

— On nie wyszedł! — zawołał.

— Uuk — potwierdził filozoficznie bibliotekarz.

— Myślałem, że wyjdzie. No wiesz, w ostatniej chwili.

— Uuk?

Coin przyjrzał się płytom bruku, jakby samą koncentracją mógł odmienić to, co widział.

— Czy on zginął?

— Uuk — odparł bibliotekarz. Zdołał przez to wyrazić, że Rincewind znajduje się w krainie, gdzie nawet takie pojęcia jak czas i przestrzeń są odrobinę niepewne, więc zapewne nie warto spekulować na temat jego stanu w konkretnym punkcie czasowym, jeśli w ogóle znajduje się on w jakimś punkcie czasowym. I że, podsumowując, może zjawić się tutaj jutro albo wręcz wczoraj. I wreszcie, jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa przetrwania, to Rincewindowi z całą pewnością się to uda.

— Aha — westchnął Coin.

Bibliotekarz odwrócił się i ruszył z powrotem do Wieży Sztuk. Chłopca ogarnęło rozpaczliwe poczucie samotności.

— Hej! — wrzasnął.

— Uuk?

— Co powinienem teraz zrobić?

— Uuk?

Machnięciem ręki Coin ogarnął całą pustynię zniszczeń wokół siebie.

— Wiesz, może mógłbym jakoś to naprawić? — spytał głosem drżącym na skraju przerażenia. — Jak myślisz, czy to dobry pomysł? Mógłbym pomóc ludziom. Na pewno chciałbyś znów stać się człowiekiem. . .

Rozciągnięte w wiecznym uśmiechu wargi bibliotekarza przesunęły się nieco wyżej — akurat tyle, by odsłonić zęby.

— A może i nie. . . — dokończył szybko Coin. — Ale mógłbym zadbać o inne sprawy.

Bibliotekarz przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, po czym spuścił wzrok na dłoń chłopca. Coin drgnął zawstydzony i rozprostował palce.

Nim srebrzysta kulka uderzyła o ziemię, orangutan pochwycił ją zręcznie. Podniósł do oka. Powąchał, potrząsnął lekko i nasłuchiwał przez moment.

A potem zamachnął się i odrzucił jak najdalej.

— Co. . . — zaczął Coin i jak długi wylądował w śniegu. To bibliotekarz pchnął go mocno i nakrył własnym ciałem.

Kulka przekroczyła najwyższy punkt lotu i pomknęła w dół. Perfekcyjny łuk jej trajektorii został nagle przerwany przez powierzchnię ziemi. Zabrzmiął dźwięk

jakby pękającej struny harfy, krótki gwar niezrozumiałych głosów, dmuchnął ciepły wiatr i bogowie Dysku odzyskali wolność.

Byli bardzo rozgniewani.

* * *

— Nic już nie pomożemy, prawda? — spytał Kreozot.

— Nie — potwierdziła Conena.

— Łód zwycięży, prawda? — spytał Kreozot.

— Tak — potwierdziła Conena.

— Nie — oświadczył Nijel.

Dygotał z wściekłości, czy może z zimna, i był niemal tak blady, jak grzmiące w dole lodowce. Conena westchnęła.

— A jak zamierzasz... — zaczęła.

— Wysadź mnie na ziemi, kilka minut przed nimi.

— Naprawdę nie rozumiem, jak to ma pomóc.

— Nie pytałem cię o radę — odparł spokojnie chłopiec. — Po prostu zrób, co mówię. Wysadź mnie kawałek przed nimi, żebym miał czas się rozejrzeć.

— I co chcesz znaleźć?

Nijel nie odpowiedział.

— Pytałam — powtórzyła Conena — co chcesz...

— Cicho bądź!

— Nie rozumiem, dlaczego...

— Posłuchaj — rzeki Nijel z cierpliwością, którą krok tylko dzieli od zarażbywania toporem. — Łód pokryje wkrótce cały świat, tak? Wszyscy zginą, tak? To znaczy my nie, przez jakiś czas, dopóki konie nie zechcą... nie zechcą obroku albo do toalety czy czegośkolwiek. Niewiele nam z tego przyjdzie. Może Kreozot zdąży napisać sonet albo coś w tym rodzaju o tym, jak nagle zrobiło się zimno. Cała historia ludzkości zostanie wymazana... W tych okolicznościach chciałbym bardzo, by było całkiem jasne, że nie życzę sobie żadnych dyskusji i czy to absolutnie rozumiałe?

Przerwał, by nabrać tchu. Drżał jak napięta struna.

Conena zawahała się. Kilka razy otworzyła i zamknęła usta, jakby zastanawiała się jednak nad dyskusją, ale po namyśle zrezygnowała.

Znaleźli niewielką polanę w sosnowym lesie o milę czy dwie przed stadem, choć wyraźnie słyszeli huk jego przemarszu, nad drzewami widzieli kłęby pary, a ziemia dygotała jak skóra na bębnie.

Nijel przeszedł na środek polanki i kilka razy dla wprawy machnął mieczem. Pozostali przyglądali mu się w zadumie.

— Nie obraż się — szepnął Conenie Kreozot — ale pojedę już. W takich chwilach jak ta trzeźwość traci na atrakcyjności. Jestem pewien, że koniec świata lepiej będzie wyglądał przez dno kielicha. Więc jeśli ci to nie przeszkadza. . . Czy wierzysz w Raj, kwiecie o brzoskwiniowych policzkach?

— Nie, nie jako taki.

— Hm. . . W takim razie zapewne już się nie zobaczymy. — Westchnął. — Co za strata. I wszystko to z powodu imperatywu. No tak. . . Oczywiście, gdyby w wyniku jakiegoś niewyobrażalnego zbiegu okoliczności. . .

— Żegnaj — przerwała mu Conena. Kreozot smętnie kiwnął głową, zawrócił konia i zniknął nad czubkami drzew.

Śnieg opadał z gałęzi wokół polany. Powietrze drżało od huku nadciągających lodowców.

Nijel podskoczył, gdy klepnęła go w ramię. Upuścił miecz.

— Co ty tu robisz? — burknął, grzebiąc nerwowo w śniegu.

— Wiesz, nie chcę się wtrącać ani nic takiego — zapewniła pokornie Conena. — Ale co właściwie planujesz?

Widziała już sunące ku nim przez las zwały śniegu i ziemi. Wśród ogłuszającego ryku czołowych lodowców słychać było rytmiczne trzaski łamanych pni. Zauważyła też zbliżające się nieuchronnie powyżej szczytów drzew — tak wysoko, że z początku wzięła je za niebo — błękitno-zielone ściany.

— Nic — odparł Nijel. — Zupełnie nic. Po prostu musimy im stawić opór i tyle. Po to tu jesteśmy.

— Przecież to niczego nie zmieni.

— Dla mnie tak. Skoro mamy zginąć, to wolę zginąć tak właśnie. Bohatersko.

— Zginąć w ten sposób to bohaterstwo? — zdziwiła się Conena.

— Takie jest moje zdanie. A w kwestii umierania liczy się tylko własna opinia.

— Aha.

Para jeleni wbiegła na polanę i zniknęła w lesie, nie zwracając uwagi na ludzi.

— Nie musisz ze mną zostawać — powiedział Nijel. — Mam ten imperatyw, rozumiesz. . .

Conena spojrzała na swoje dłonie.

— Chyba powinnam — rzekła. — Wiesz, pomyślałam sobie, że może gdybyśmy mieli czas lepiej się poznać. . .

— Pan i pani Harebut. O to ci chodzi? — spytał zuchwale. Otworzyła szeroko oczy.

— No wiesz. . . — zaczęła.

— A którym z nich zamierzałaś zostać?

Prowadzący lodowiec wdarł się na polanę tuż za własnymi śnieżnymi odkosami. Jego szczyt ginał w chmurach.

I dokładnie w tej samej chwili drzewa naprzeciw zakotływały się pod uderzeniem gorącego wiatru od Krawędzi. Niósł ze sobą glosy — zirytowane i kłótlive

— i przebił się przez chmury niby gorący nóż przez wodę.

Conena i Nijel padli na śnieg, który pod nimi zmienił się w ciepłe błoto. Coś jakby grom huknęło w górze, zabrzmiały wołania i coś, co z początku wzięli za krzyki, ale później, po namyśle, uznali za bardzo gwałtowne sprzeczki. Trwały długo, by wreszcie ucichnąć gdzieś po stronie Osi.

Ciepła woda ściekała po kurcie Nijela. Podniósł się ostrożnie i szturchnął Conenę.

Razem przebrnęli przez topniejący śnieg i błoto na szczyt wzniesienia, pokonując zwały połamanego drewna i kamieni. Rozejrzeli się.

Lodowce odstępowały pod chmurą pełną błyskawic. Za nimi teren zmieniał się w szachownicę jezior i stawów.

— My to zrobiliśmy? — spytała Conena.

— Miło by było wierzyć, że tak — odparł Nijel.

— Owszem, ale czy...

— Prawdopodobnie nie. Kto wie? Lepiej poszukajmy konia.

* * *

— Apogeum — oświadczył Wojna. — Albo coś podobnego. Jestem pewien.

Wytoczyli się z tawerny i siedzieli teraz na ławce, grzejąc się w popołudniowym słońcu. Nawet Wojna dał się przekonać i zdjął niektóre części pancerza.

— Nie wiem — mruknął Głód. — Nie wydaje mi się. Zaraza przymknął przekrwione oczy i oparł się o rozgrzany kamień.

— *Myszę* — powiedział — *że miało to jakiś związek z końcem świata.*

Wojna wyprostował się i w zadumie poskrobał podbródek. Czknął.

— Jak to? — zdziwił się. — Całego świata?

— *Chyba tak.*

Wojna zastanawiał się jeszcze przez chwilę.

— W takim razie odbył się bez nas — stwierdził.

* * *

Ludzie wracali do Ankh-Morpork, które nie było już miastem nagiego marmuru, ale powróciło do swej dawnej postaci, rozpostartej bezładnie i barwnie niby kałuża wymiocin przed drzwiami nocnego baru Historii.

Uniwersytet odbudowano, czy raczej sam się odbudował, albo też w jakiś niepojęty sposób nigdy nie został zburzony: każde pnące bluszczu, każda gnijąca futryna wróciły na miejsca. Czarodzieciel zaproponował, że odtworzy wszystko

jak nowe: lśniące drewno, czyste mury... Jednak bibliotekarz był w tej kwestii nieugięty. Chciał, żeby wszystko było jak stare.

Magowie wracali ukradkiem wraz ze świtem, samotnie albo parami, przemylkali do swoich dawnych pokojów i unikali patrzenia sobie w oczy. Usiłowali zapamiętać niedawną przeszłość, która już stawała się nierealna jak senna ułuda.

Conena i Nijel przybyli w porze śniadania i z czystej dobroci znaleźli stajnię dla konia Wojny²⁵. To Conena uparła się, żeby poszukać Rincewinda na Uniwersytecie, i to ona pierwsza zobaczyła książki.

Wylatywały z Wieży Sztuk, krążyły nad budynkami Uniwersytetu i nurkowały do drzwi wskrzeszonej Biblioteki. Jeden czy dwa bardziej swawolne grimoire'y goniły wróble albo krążyły nad rynkiem jak jastrzębie.

Bibliotekarz opierał się o framugę i z dobroduszną miną obserwował swoich podopiecznych. Poruszył brwiami na widok Coneny — nigdy jeszcze nie zbliżył się tak bardzo do konwencjonalnego powitania.

— Czy jest tu Rincewind? — zapytała.

— Uuk.

— Słucham?

Orangutan nie odpowiedział, ale wziął oboje za ręce i idąc między nimi niczym worek między dwoma tyczkami, poprowadził ich aż do wieży.

Wewnątrz płonęło kilka świec. Zobaczyli siedzącego na stołku Coina. Bibliotekarz postawił ich przed nim i skłonił się, niby stary sługa najstarszego rodu na świecie. Potem wyszedł.

Coin skinął im na powitanie.

— Wie, kiedy ludzie go nie rozumieją — powiedział. — Jest zadziwiający.

— Kim jesteś? — spytała Conena.

— Mam na imię Coin — odparł Coin.

— Studiujesz tutaj?

— Wiele się uczę. Tak sędzę.

Nijel spacerował wzdłuż ścian i od czasu do czasu stukał w nie na próbę. Musiał być pewnie jakiś powód, dla którego się nie przewracały, lecz jeśli tak, to leżał poza granicami wiedzy budowlanej.

— Szukacie Rincewinda? — domyślił się Coin. Conena zmarszczyła czoło.

— Skąd wiedziałeś?

— Mówił mi, że jacyś ludzie będą o niego pytać.

Conena odprężyła się.

— Przepraszam — powiedziała. — Mieliśmy ciężkie dni. Myślałam, że to może magia albo coś takiego. Nic mu się nie stało, prawda? A właściwie, to co

²⁵Który rozsądnie postanowił więcej nie latać. Nikt się po niego nie zgłosił, więc dożył końca swych dni w zaprzęgu pewnej starszej damy. Nie odnotowano, co począł w tej sprawie Wojna. Wydaje się pewne, że znalazł sobie innego wierzchowca.

się tu działo? Walczył z czarodzieciem?

— O tak. I zwyciężył. To było bardzo... ciekawe. Widziałem na własne oczy. Ale potem musiał odejść — rzekł Coin, jakby recytował z pamięci.

— Ot tak? — zdziwił się Nijel.

— Tak.

— Nie wierzę — oświadczyła Conena.

Pochyliła się groźnie. Kostki jej palców pobiełały.

— To prawda — zapewnił Coin. — Wszystko, co mówię, jest prawdą. Musi być.

— Chcę... — zaczęła Conena.

Lecz Coin wstał, wyciągnął rękę i powiedział:

— Stop.

Zamarła. Nijel zeszywniał ze zmarszczonymi brwiami.

— Wyjdziecie stąd — powiedział Coin miłym, spokojnym głosem. — I nie będziecie zadawać więcej pytań. Będziecie całkowicie usatysfakcjonowani. Użytkujecie wszystkie odpowiedzi. Będziecie żyli długo i szczęśliwie. Zapomnicie, że słyszeliście te słowa. A teraz odejdziecie.

Odwrócili się i powoli, sztywno jak kukielki, ruszyli do drzwi. Bibliotekarz otworzył je przed nimi, przepuścił ich i zamknął.

Potem spojrzął na Coina, który zniechęcony siadł na stołku.

— Dobrze, dobrze — mruknął. — Ale to przecież tylko maleńki czar. Nie miałem wyjścia. Sam mówiłeś, że ludzie muszą zapomnieć.

— Uuk?

— Nie mogę się powstrzymać! Za łatwo jest wszystko zmieniać! — Chłopiec ukrył twarz w dłoniach. — Wystarczy tylko pomyśleć! Nie mogę tu zostać! Czego dotknę, to psuję... To jakbym próbował spać na stosie jajek. Ten świat jest zbyt cienki! Proszę cię, powiedz, co mam robić!

Bibliotekarz obrócił się kilka razy na siedzeniu: wyraźna oznaka głębokiego namysłu.

Nie zapisano, co dokładnie powiedział, ale Coin uśmiechnął się, kiwnął głową, uściśnął bibliotekarzowi dłoń, rozłożył ręce, wznosił je, zatoczył krąg wokół siebie i wstał w inny świat. Było tam jezioro, jakieś odległe góry, kilka bażantów przyglądało mu się podejrzliwie spod drzewa. Tej magii uczą się w końcu wszyscy czarodziele.

Czarodziele nigdy nie stają się częścią świata. Po prostu przez pewien czas noszą go na sobie.

Stojąc na murawie Coin obejrzał się jeszcze i pomachał bibliotekarzowi ręką. Małpa z aprobatą skinęła mu głową.

A potem bąbel zapadł się w siebie i ostatni czarodzieciel zniknął z tego świata,

odchodząc we własny.

Chociaż nie ma to wiele wspólnego z naszą historią, warto wspomnieć o pewnej ciekawostce. Jakies pięćset mil od Ankh-Morpork niewielkie stado ptaków ostrożnie wybierało drogę wśród drzew. Miały głowy podobne do flamingów, tułowia indyków i nogi godne zapaśników sumo. Poruszały się krótkimi szarpnięciami, jakby głowy były gumkami umocowane do stóp. Należały do gatunku wyjątkowego nawet wśród fauny Dysku; mianowicie ich podstawowy sposób obrony polegał na rozśmieszeniu drapieżnika do tego stopnia, że uciekały, zanim się uspokoił.

Rincewind byłby chyba zadowolony wiedząc, że są to imperatywy.

* * *

Pod Załatanym Bębnem było pusto. Troll przykuty do drzwi siedział w cieniu i w zadumie wydłubywał kogoś spomiędzy zębów.

Kreozot śpiewał cicho pod nosem. Odkrył właśnie piwo i nie musiał za nie płacić, gdyż moneta komplementów — rzadko używana przez amantów z Ankh — zdumiewająco oddziaływała na córkę oberżysty. Była to mocna, dobrodusznna dziewczyna o figurze koloru i — żeby nie zagłębiać się zbyt mocno w szczegóły — kształtu nie wypieczonego chleba. I była zaintrygowana. Nikt jeszcze nie porównywał jej piersi do wysadzanych klejnotami melonów.

— Absolutnie — zapewnił szeryf, z gracją zsuwając się z ławy. — Nie ma cienia wątpliwości.

Albo te duże i żółte, albo małe zielone, z tymi szerokimi żyłami narośli, dodał w duchu.

— A co mówiłeś o moich włosach? — spytała zachęcająco, podciągając go z powrotem i napełniając kufel.

— Och... — Szeryf zmarszczył brwi. — Jak koza stad pasąca się na zboczach góry Jakjejtam. Właśnie takie. A co do twoich uszu — dodał szybko — to żadne różowe muszle, które zdobiją całowany falami piasek...

— Ale dokładnie w czym są podobne do stada kóz? — przerwała.

Szeryf zawahał się. Zawsze uważał to za jeden ze swych najlepszych werśów. Teraz — po raz pierwszy — zderzył się on ze słynną dosłownością Ankh-Morpork. To dziwne, ale raczej mu zaimponowała.

— To znaczy rozmiarem, kształtem czy zapachem? — dopytywała się dziewczyna.

— Myślę — oświadczył szeryf — że fraza, o jaką mi chodziło, mówiła, że właśnie nie jak stado kos.

— Tak? — dziewczę pociągnęło do siebie dzban.
— I chyba wypiłbym jeszcze jedno — wymamrotał niewyraźnie.
— A potem... potem... — Zerknął na nią z ukosa, po czym wypalił:
— Czy jesteś krasomówczynią?
— Czym?
Oblizał zaschnięte nagle wargi.
— To znaczy, czy znasz różne opowieści — wyjąkał.
— O tak. Mnóstwo.
— Mnóstwo? — wyszeptał Kreozot. Większość jego konkubin znała tylko jedną starą historię, czasem dwie.
— Setki. A co, chciałbyś posłuchać?
— Jak to? Teraz?
— Jeśli chcesz... Dzisiaj jest dość spokojnie.
Może naprawdę umarłem, pomyślał Kreozot. Może jestem już w raju.
Ujął jej dłoń.
— Wiesz — wyznał — wieki minęły, od kiedy słyszałem jakąś dobrą opowieść. Ale nie chciałem, żebyś robiła coś, na co nie masz ochoty.
Poklepała go po ręce. Taki miły starszy pan, pomyślała. W porównaniu do różnych takich, którzy tu zagląдают.
— Jest taka historia, którą opowiadała mi babcia. Umie ją nawet od tyłu.
Kreozot łyknął piwa i w ciepłym nastroju spoglądał na ścianę. Setki, myślał. I niektóre umie od tyłu...
Odchrząknęła i zaczęła śpiewnym głosem, od którego puls Kreozota przyspieszył gwałtownie.
— Żył sobie raz człowiek, który miał ośmiu synów...

* * *

Patrycjusz siedział przy oknie i pisał. Umysł wypełniała wata, przynajmniej jeśli idzie o ostatni tydzień czy dwa. Wcale mu się to nie podobało.

Służący zapalił lampę, by rozproszyć mrok. Wokół niej orbitowały nieliczne wczesne, wieczorne ćmy. Patrycjusz obserwował je z uwagą. Z jakiegoś powodu czuł się niepewnie w obecności szkła, ale — gdy patrzył nieruchomo na owady — nie to najbardziej go martwiło.

Najbardziej martwił się tym, że musi zwalczać przemożną chęć łapania ich językiem.

A Szczekacz leżał na grzbiecie u stóp swego pana i warczał przez sen.

* * *

Latarnie płonęły już w całym mieście, ale kilka ostatnich promieni słońca oświetlało gargulce, pomagające sobie nawzajem w długiej wspinaczce na dach.

Bibliotekarz przyglądał się im z otwartych drzwi, czochrając się przy tym filozoficznie. Potem odwrócił się i zatrzasnął drzwi przed nocą.

W Bibliotece było ciepło. W Bibliotece zawsze było ciepło, ponieważ rozproszona magia, wywołująca słabą poświatę, równocześnie łagodnie podgrzewała powietrze.

Bibliotekarz z aprobatą spojrział na swych podopiecznych, zrobił ostatni obchód między zaspanymi półkami, potem wciągnął koc pod biurko, zjadł banana na dobranoc i zasnął.

Cisza stopniowo opanowywała Bibliotekę. Cisza dryfowała wokół resztek kapelusza, pogniecionego, wystrzępionego i przypalonego na brzegach, który z pewnym ceremoniałem umieszczono w ściennej niszy. Choćby mag odszedł nie wiedzieć jak daleko, zawsze wróci po swój kapelusz.

Cisza wypełniła Uniwersytet tak jak powietrze wypełnia naczynie. Noc rozlała się po Dysku jak śliwkowe powidła albo może jeżynowa konfitura.

Ale przecież nadejdzie ranek. Zawsze w końcu nadchodzi ranek.